

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

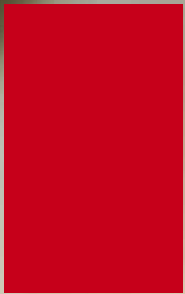


**JOANNA
OKUNIEWSKA**
Islandia nosi sweter,
który czasem drapie
• Wroński: PiS wziął
armię do niewoli



**WYSOKIE
OBCASY**
Mamy
naprawdę
fajne życie

FOT. AMADEUSZ PIJAŃSKI



GAZETA
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Prof. Adam
Strzembosz

Trąbki zabrzmiały, Ojczyzna wzywa

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Ministerstwo pamięci
Historia w zamrażarce
– amerykańska dziennikarka
patrzy na IPN



Nasz ład utracony
Polskie elity c.k.
monarchii z trudem
odnalazły się w II RP

Bój na słowa i gesty
Jak marszałek
Piłsudski walczył
o miejsce w historii

Mirostaw
Maciorowski



Roszkowskizm

Teoretycznie jest wolność wyboru, nauczyciele nie muszą korzystać z podręcznika do HiT-u prof. Wojciecha Roszkowskiego. Ale w państwie PiS wolność jest swoście pojmowaną wartością i jeśli coś dziś jest możliwe, jutro może już nie być. Tak jest też z niezależnością organizacji czy instytucji. Prokuratura nie powinna działać pod polityczne zamówienie, ale działa.

Zaraz minie pięć lat od dnia, gdy Leszek Czarnecki nagrał propozycję korupcyjną szefa KNF Marka Chrzanowskiego, lecz do dziś nie stanął on przed sądem. We mgle rozplynęło się mnóstwo innych afer: dwóch wież, respiratorowa, kopertowa, Pegasusa itd. Jeśli ktoś więc uważa, że po wyborach, które może znów wygra PiS, w kwestii podręcznika nadal będzie miał wybór, może się zawieść. Nie po to Jarosław Kaczyński szefem resortu edukacji zrobił nacjonalistycznego fundamentalistę, żeby zostawić komuś jakiś wybór. A ten fundamentalista nie po to wspomógł finansowo promocję dzieła podręcznika Roszkowskiego, żeby nauczyciele wybierali inny.

Czy Roszkowski różni się czymś od PiS-owskich aparatczyków? Teoretycznie tak – nie zajmuje stanowisk, nie zasiada w Sejmie. W praktyce – niezbyt. Jest członkiem tej samej drużyny, tylko pracuje na odcinku edukacyjno-ideologicznym. Jak niegdyś PZPR-owscy twórcy podręczników dba o to, żeby przekaz był w nich zgodny z wizją władzy. O Wałęsie, Tusku czy całym tym zginiłym Zachodzie działwa ma

myśleć tak jak Kaczyński i sam Roszkowski.

Spośród tematów z „HiT-u”, którymi można to zobrazować, wybiorę jeden. O katastrofie smoleńskiej czytam tak: „Wiele osób było i jest do dziś przekonanych, że doszło do zamachu, ale wersja ta nabiera ostatnio znaczenia oficjalnego”.

Na czym Roszkowski opiera informację, że „wiele osób” wierzy w zamach? Tego nie wiadomo. A także ile to jest „wiele osób”? Równie dobrze mogę napisać, że znacznie więcej uważa, że zamachu nie było. I na jakiej podstawie Roszkowski twierdzi, że wersja o zamachu „nabiera znaczenia oficjalnego”? Na podstawie wiecowych krzyków Kaczyńskiego? A może raportu komisji Macierewicza? Na ten ostatni się nie powołuje, ponieważ zdaje sobie sprawę, że stworzyło go do cna skompromitowane gremium.

Stwierdzenie, że wersja o zamachu „nabiera znaczenia oficjalnego”, ma taką wartość jak osławiona teoria lysenkizmu. Trofim Lysenko, sowiecki szarlatan od rolnictwa, twierdził, że geny nie istnieją. I choć świat nauki już wtedy wiedział, że istnieją, lysenkizm również „nabrał znaczenia oficjalnego”.

Podręczniki Roszkowskiego to przynębiająca lektura nie tylko ze względu na treść, ale także dlatego, że ich autorem jest człowiek zasłużony. W PRL-u wydawał w drugim obiegu podręczniki, które stały się alternatywą dla oficjalnych. Trudno zrozumieć, dlaczego dziś sięgnął po metody tych, którym wówczas się przeciwstawiał. ●

Andrzej rysuje



Rock and roll Ku chwale Rolling Stonesów



Rzeźbiarka Amy Goodman pozuje przy pomniku The Glimmer Twins, liderów The Rolling Stones – Micka Jaggera i Keitha Richardsa. Pomnik został odsłonięty w środę w Bell Corner w Dartford w Anglii.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU**
i bądź na bieżąco
przez cały weekend *

LWLW087

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 12.08.2023 r. do 13.08.2023 r.

Sójka idzie jak burza



Nowa ministra zdrowia Katarzyna Sójka nie chce być gorsza i dołączyła do drużyny „winy Tuska”. To gwarantuje rozpoznawalność.

Więcej ►
Wyborcza.pl/kraj

Wyzwania antropocenu Cały świat w garści

Oto najbardziej bioróżnorodne środowisko naturalne na Ziemi. Żyje w nim 59 proc. wszystkich gatunków. Las tropikalny? Rafa koralowa? Ogród babci Stasi? Kompost? Blisko. To gleba.

W garści gleby żyje więcej mikroorganizmów niż ludzi na całej Ziemi.

Większości tego mikroświata nie znamy. Liczba gatunków mikroorganizmów (bakterii, archeanów, grzybów) jest szacowana na co najmniej kilkanaście miliardów. Liczba wszystkich znanych gatunków roślin i zwierząt wynosi obecnie 1,9 mln (z czego milion to owady).

W najnowszym wydaniu tygodnika „PNAS” uczeni ze Szwajcarii wskazują jednak, że nie samymi mikrobami gleba żyje. Jak podliczają, gleba jest domem dla aż 59 proc. gatunków, które obecnie występują na naszej planecie.

To dwa razy większy odsetek, niż dotychczas uważano. Wśród organizmów osiągających rozmiary widoczne gołym okiem najbardziej ukochały sobie glebę grzyby. Zamieszkują ją aż 90 proc. ich gatunków. Na drugim miejscu są rośliny – gleba jest domem dla 85,5 proc. ich gatunków. Trzecie miejsce dzierżą termity – aż



84 proc. gatunków mieszka w ziemi. Gatunkowo najmniej odsetek organizmów żyjących w glebie stanowią ssaki – 4 proc.

Autorzy publikacji zwracają uwagę, że gleba jest wciąż bardzo słabo przebadana. Zachęcają więc innych naukowców do pobierania jej próbek i analizowania w laboratoriach. Bo choć ziemia utrzymuje nas przy życiu (większość tego, co jemy, w niej rośnie), bezrozumnie ją niszczymy. ●

Tomasz Ulanowski

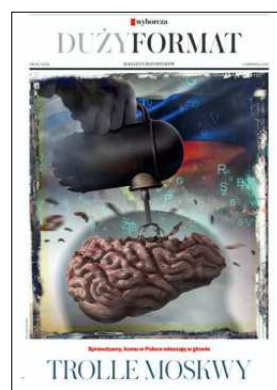
W poniedziałek „Duży Format”

Komu Moskwa mieszka w głowie

Ujawniamy prorosyjskich trolli i dezinformacje, jakie sięgają w Polsce.

Zapraszamy do mrocznego uniwersum putinofilów i innych siewców moskiewskich wpływów – wywieranych nie na rządy, ale na nas, obywateli i użytkowników sieci.

Tekst Piotra Głuchowskiego i Katarzyny Bieleckiej

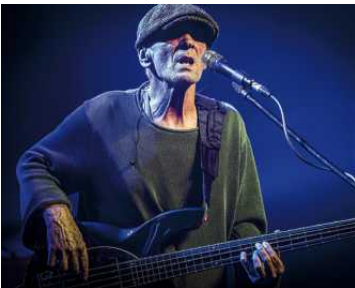


Top 2 wybrane z tygodnia
Letnie festiwale

Czwartek

Rock na Podkarpaciu...

1 Czyli Cieszanów Festiwal (17-19 sierpnia) oczywiście w Cieszanowie. Zagrają m.in. Lech Janerka (**na zdjęciu**), Cool Kids of Death, Spięty, Strachy na Lachy, Brodka, Majka Jeżowska, Manga, Renata Przemyk – cały piątek pod hasłem „Kobieta jest jak muzyka”. Po raz kolejny przyjadą też sędziowie (obu płci) ze stowarzyszenia Iustitia, zapraszają do spotkań i rozmów o prawie i sprawiedliwości.



FOT. ROMAN BOSIACKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

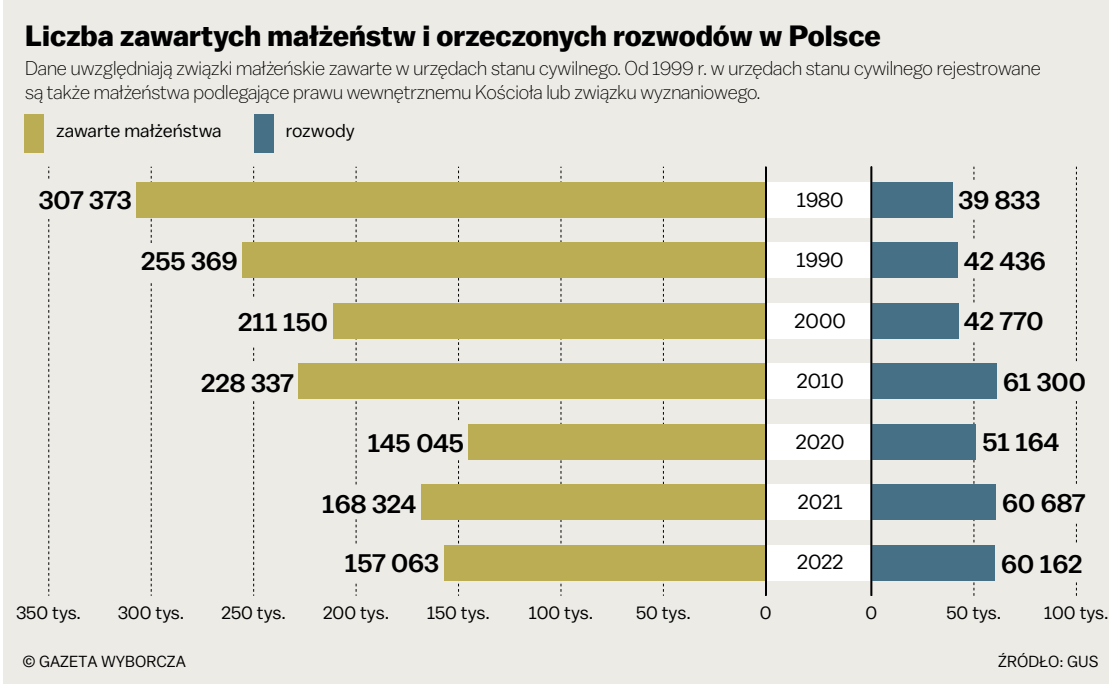
Czwartek

...czy czytanie nad morzem

2 Specjalnym gościem dwunastej edycji festiwalu Literacki Sopot (17-20 sierpnia) jest literatura i kultura niemiecka. Oprócz polskich pisarzy i pisarek (m.in. Krzysztof Varga, Mikołaj Grynberg, Zyta Rudzka) przybędą m.in. Erica Fischer, Zsuzsa Bánk i Ulrich Hub ze swoją „Kulawą kaczką i ślepą kurą” – bo ten festiwal ma też program dla dzieci. Udział we wszystkich wydarzeniach jest bezpłatny.



Wykres tygodnia
Coraz mniej ślubów



W 1980 r. spośród ponad 307 tys. ślubów ponad 187 tys. (61 proc.) zostało zawartych w mieście. W 2022 r. na 157 tys. ślubów 94 tys. przypadło na miasta (59 proc.). Gwałtowny spadek zawartych małżeństw w 2020 r. był spowodowany pandemią koronawirusa COVID-19.

Więcej danych: [Bigdata.wyborcza.pl](https://bigdata.wyborcza.pl)

Wrzesień na wsi może być gorący

Zboże wyborcze

Rząd nie rozwiązuje problemów rolników, tylko próbuje przekierować ich złość na Ukrainę

Naszkowska

Minister Robert Telus łatwo nie ma. Musi pogodzić ze sobą dwa pozornie sprzeczne interesy. Z jednej strony jego obowiązkiem jako ministra rolnictwa jest dbanie o interesy rolników, a ci nie chcą wpuszczania do Polski ukraińskiego zboża. Boją się powtórkę z zeszłego roku, kiedy nie mogli sprzedać swojego, bo ukraińskie zapelniało magazyny. Z drugiej strony w interesie całego społeczeństwa jest wspieranie Ukrainy w jej walce z Rosją, bo tak najlepiej dbamy o własne bezpieczeństwo.

Te dwie opcje można jednak pogodzić. Ale minister Telus nawet nie próbuje tego zrobić. Wybrał inną drogę – buduje wrogość do Ukrainy, bo to leży w interesie partii rządzącej. Nie jest przecież osamotniony.

Finansami rolników tak się przejął Marcin Przydacz, minister w kancelarii prezydenta Dudy, że wywołał dyplomatyczny zgrzyt, domagając się wdzięczności od Ukrainy za dotychczasową pomoc. A Jarosław Kaczyński na spotkaniu w Chelmie powiedział jasno: „obowiązkiem partii rządzącej, także wobec Ukrainy, jest dbanie o interesy naszych rolników”.

Można by pomyśleć, że istotnie wieś ma w rządzie nadzwyczajnych opiekunów. Ale jest dokładnie odwrotnie: rząd nie rozwiązuje problemów rolników, tylko próbuje przekierować ich złość na wschodniego sąsiada. A siebie przedstawia jako dobroczyńcę, który gasi pożary budżetowymi dotacjami (a czasem strażacką gaśnicą). Tak chce zapewnić sobie głosy wsi w wyborach.

Cały kłopot rolników wziął się z zeszłorocznego niekontrolowanego napływu zboża z Ukrainy. Rząd miesiącami biernie się przyglądał, jak ze wschodu transportowano do nas ziarno, które miało przejeżdżać tranzytem, a zostawało w magazynach. Odrzucał



• **Minister Robert Telus podczas kwietniowego spotkania z rolnikami protestującymi przed urzędem Wojewódzkim w Szczecinie**
FOT. CEZARY ASZKIEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

wszelkie sugestie, by od importerów pobierać kaucje wwozowe, plombować wagony, monitorować wagony ze zbożem. Nie inwestował ani w magistralę kolejową, ani w porty, które nie są przystosowane do tak dużego przepływu zboża. A jeszcze do tego ówczesny minister Henryk Kowalczyk zachęcał rolników, by nie sprzedawali własnego ziarna, bo później będzie droższe. Skutek był taki, że magazyny się zapchały, ceny poleciały na łeb na szyję, a rolnicy ruszyli na drogi protestować.

Rząd wymienił Kowalczyka na Telusa, a ten „dał głowę”, że do żniw opróżni magazyny, i dziś chwali się, że to osiągnął. Gdyby tak było, to rolnicy nie byłiby tak wkurzeni, jak są. A są, bo punkty skupu nie chcą od nich kupować ziarna, a jak kupują, to płacą byle jak, niemal o połowę mniej niż rok temu o tej porze – wtedy było 1600 zł za tonę pszenicy, dziś jest 820-850 zł.

Ale może być jeszcze gorzej, bo nad rolnikami wisi data 15 września. Wtedy upływa termin unijnego zakazu importu ukraińskiego ziarna przez pięć krajów przygranicznych – Polskę, Węgry, Bułgarię, Rumunię i Słowację. Te kraje chcą jego przedłużenia o kolejne miesiące. Premier Mateusz Morawiecki już zapowiedział, że niezależnie od

decyzji Komisji Europejskiej Polska zadba o swoich rolników i zboża z Ukrainy nie wpuści. Z Unii płyną sygnały, że zakazu nie przedłuży, bo Ukraina jest w bardzo trudnej sytuacji po zablokowaniu przez Rosję korytarza czarnomorskiego i trzeba jej teraz pomagać.

Minister Telus nie jest zainteresowany tym, jak zarabiać na ukraińskim zbożu, woli wygłupiać się na TikToku i tańczyć piriuty z gaśnicą

Z Rumunii, Bułgarii i Słowacji z kolei, że się decyzji Unii podporządkują w zamian za pomoc w rozbudowie infrastruktury drogowej i kolejowej (Rumunia zresztą już od miesięcy inwestuje w porty nad Dunajem). Nasz rząd niczego nie robi, by udrożnić drogę przewozu zboża przez Polskę i przeładunku na statki w portach. Do dziś nawet nie rozstrzygnięto przetargu na rozbudowę terminala portowego, co zapowiedział jeszcze minister Kowalczyk.

– Martwimy się napływem zboża z Ukrainy, a przecież można z tego wyciągnąć korzyści. Polska mogłaby stać się wielkim przetwórcą ukraińskiego ziarna. Prędzej czy później Ukraina wejdzie do Unii, granica zostanie otwarta na stałe i już teraz moglibyśmy się do tego przygotować. Ukraina ma duże ilości tańszego zboża, my mamy silne przetwórstwo, moglibyśmy współpracować i to przetworzone u nas ziarno eksportować. Ale wolimy machać szabelką i straszyć, że granicy po 15 września nie otworzymy – mówi prof. Andrzej Kowalski z SGH, były szef Instytutu Ekonomiki Rolnictwa.

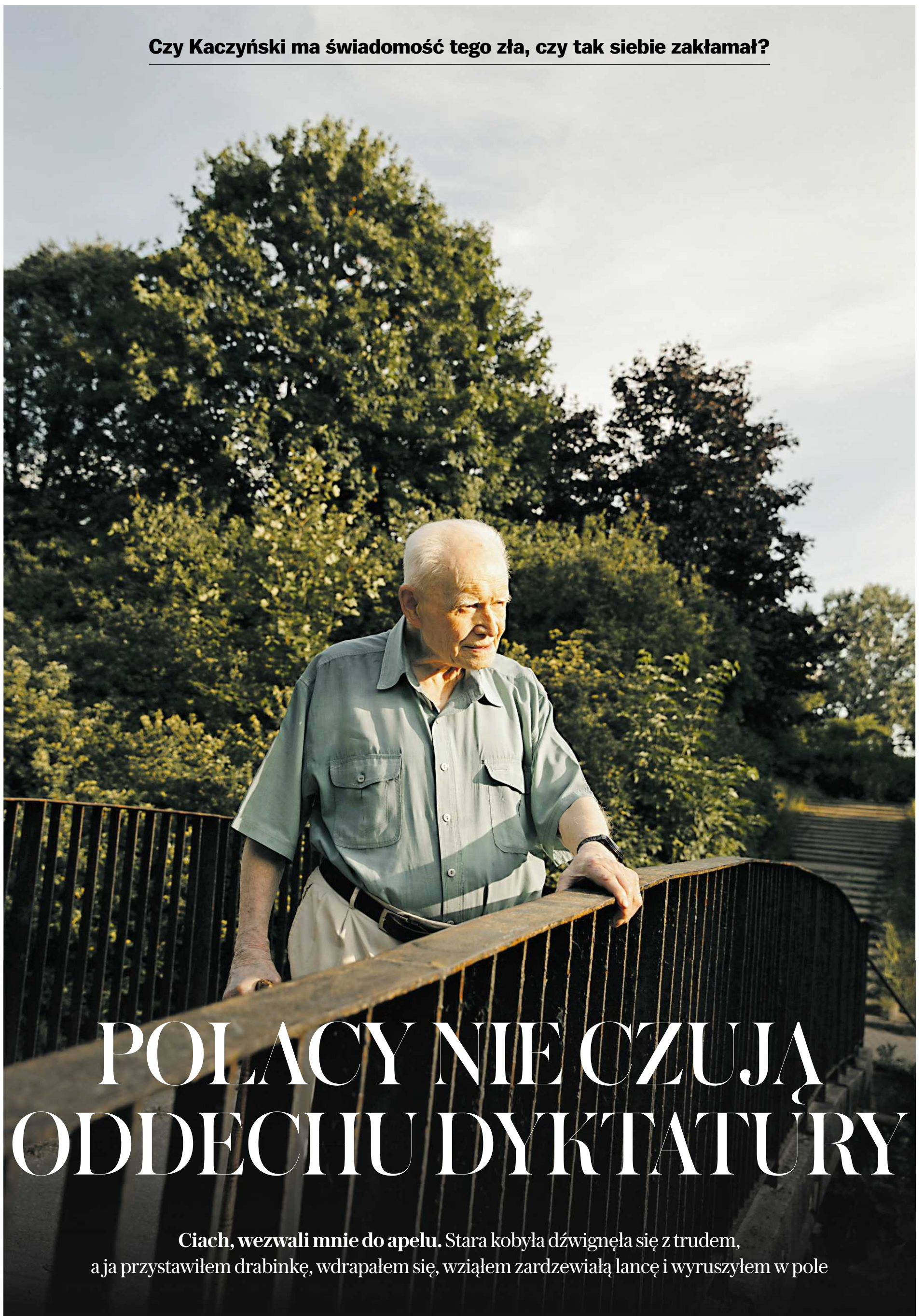
Minister Telus nie jest tym zainteresowany, woli wygłupiać się na TikToku i tańczyć piriuty z gaśnicą jako panaceum na problemy rolników, niż zabrać się do roboty.

A problemów ma poza zbożem mnóstwo. Nie martwi się tym, że spada u nas spożycie mięsa, a to oznacza wielki problem dla hodowców i producentów pasz. Do tego trzeba rolników przygotować. A co z afrykańskim pomorem świń? Od lat nie potrafimy go zwalczyć, a przecież niszczy hodowców. W lipcu po raz pierwszy od 50 lat wykryto u nas ognisko rzekomego pomoru ptaków, choroby bardzo szybko się rozprzestrzeniającej i śmiertelnej dla drobiu. To uderza w nasz eksport, a jesteśmy największym w Unii producentem drobiu i połowę produkcji eksportujemy. Czy ktoś słyszał, by rząd coś robił w tej sprawie? Na pewno nie minister Telus, który wydaje się niezwykle zadowolony z siebie.

Mamy środek żniw. I coraz bardziej rozgniewanych rolników. Tak rozgniewanych, że choć mają teraz ręce pełne roboty, to już teraz grożą „chłopskim strajkiem” po żniwach. Wrzesień może być wyjątkowo gorący. ●
Krystyna Naszkowska

FOT. DAVID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Czy Kaczyński ma świadomość tego zła, czy tak siebie zakłamał?



POLACY NIE CZUJĄ ODDECHU DYKTATURY

Ciach, wezwali mnie do apelu. Stara kobyła dźwignęła się z trudem,
a ja przystawiłem drabinkę, wdrapałem się, wziąłem zardzewiałą lancę i wyruszyłem w pole

Z PROF. **ADAMEM STRZEMBOSZEM**
ROZMAWIA **DONATA SUBBOTKO**

Powiedział pan przez telefon, że w tym tygodniu to może pan będzie już po drugiej stronie.

– Parę lat temu miałem udar – poszedłem się czegoś napić do kuchni, straciłem przytomność, potem mowę. Minęło, ale mogło nie minąć. Moje życie i tak jest długie. Mogę być wdzięczny, że jestem jeszcze trochę użyteczny. Nie wymagam stałej opieki. Kiedyś wydawało się, że moja starość może być krótsza i trudniejsza.

Jest coś dobrego w starości?

– Miłość, przyjaźń. Jestem ciągle ciekawy życia. Ekologia, astronomia, wiem to i owo. Z historii literatury mniej, niżbym chciał. Przecież nie widzę, nie piszę, materiały prawne dostaję, mam tzw. drużynę Strzembosza, przyjaciół – sami się tak nazywali. W większości działacze „Solidarności” w sądach, którzy dobrze się sprawili w stanie wojennym.

Coś pan widzi, zrobił mi pan kawę.

– Miałem głupią sytuację, płaciłem za gazetę i dałem 2 zł zamiast 5. Pan mi zwraca uwagę, tłumaczę, że nie widzę, i w tym momencie stacza się moneta, ja ją chwytam. Pomyślał chyba, że kręcę. A ja widzę ruch i to, co na dole, dzięki temu długo jeździłem rowerem. Teraz panią widzę, chociaż niedokładnie, ale jak spojrzę wprost, to pani jest szarą plamą.

Może i tak jest.

– Z ukosa widzę więcej. Synowa przynosi mi audiobooki z wypożyczalni, wysłuchałem ze 150. Teraz przyniosła siedem, w tym zapiski sekretarki Rumkowskiego z getta łódzkiego, ciekawe, albo monografia francuska o Stanisławie Auguście. Proszę o jakies z poezją, ale nie ma.

Kogo by pan chciał?

– Wierszy Miłosza bym posłuchał. Maturę pisałem z Mickiewicza, z dreszczykiem, dobrze trafili. Nasz ojciec lubił literaturę romantyczną, wieszczów, dużo nam czytał w czasie okupacji. „Cyrana de Bergerac” jeszcze z 500 linijek bym powiedział: „Pełnym wdzięku ruchem dłoni/ Rzucam moje w ką manatki/ I płaszcz zwlekam, co mię słoni,/ I... dobywam mojej szpadki”.

Dlaczego akurat „Cyrano”?

– Bo to piękne: „Gaskońskie oto są junaki.../ Carbona de Castel-Jaloux;/ Bezczelni łgarze, zabijaki,/ Gaskońskie oto są junaki!...”. Albo: „Bo cóż jest pocalunek?/ Maleriki ust zadatek na serca rachunek./ Punkt różowy, po słowie kocham postawiony,/ sekret luby nie uszom, lecz ustom zwierzony...” . Poematy, które w nas ukształtowały poetyckie wyobrażenie o miłości.

Przydało się?

– Moje życie z Zosienką było szczęśliwe. Światopoglądowo się nie różnimy, łączą nas miłość do dzieci i zapal do turystyki. Polityką się nie interesuje, ale Kaczyńskiego nie lubi.

Jak pani Zofia mówi do pana?

– Adasiu, Myszko, Myszku... Ja też różnie mówię, tylko, broń Boże, niech pani wszystkiego nie pisze.

Może chociaż parę.

– Zosieńko, Zochulko, Zochureczko, Zochureńku – najwyższy stopień czułości. Ona jest starą kobietą, ja starym mężczyzną, ręce mam takie, że coś okropnego. Kiedyś chodziłem po 40 km dziennie, a teraz do parku tu przed blokiem idę z trudnością. Chciałbym mieć zdolność szybkiego chodzenia i jazdy na rowerze, którą uprawiałem do 86. roku życia. Dzisiaj, gdy idę taki zgarbiony, bo już stanąć prosto pod ścianą nie mogę, patrzę pod nogi i myślę sobie: mój Boże, lajza ze mnie.

Pogodnie pan to mówi.

– Mam to szczęście, że wydaje mi się, że wiem, jaki jest sens i cel życia.

TRĄBKI ZABRZMIAŁY – OJCZYŻNA WZYWA

O, załatwmy to od razu.

– Nie lubię wielkich słów, a trzeba by ich użyć. Jestem człowiekiem wierzącym i niech to zastąpi tłumaczenie. I zawsze byłem optymistą. Gdybym nie był, tobyśmy nie rozmawiali, bobym uważał, że wszystko się skończyło. Jak miałem czterdzieści parę lat, myślałem, że osiągnąłem, co mogłem, byłem sędzią wizytatorem dla nieletnich, miałem doktorat, poszedłem do Instytutu Badań Sądowych, zrobiłem habilitację. Ale wybuchła „Solidarność” – i tam dopiero się przydałem. W stanie wojennym troszkę chyba też. I przy Okrągłym Stole, gdzie miałem swój podstolik. Po 4 czerwca 1989 przyszły nowe wyzwania. Kiedy przestałem być prezesem Sądu Najwyższego, mogłem uznać, że moja działalność sędziowska się skończyła, a kiedy w 2003 straciłem zdolność czytania i pisania – moja działalność naukowa. Tymczasem – ciach, wezwali mnie do apelu. Stara kobyła leżąca w tajni dźwignęła się z trudem, a ja przystawiłem drabinkę, wdrapa-

Jan Olszewski nie głosowałby na PiS

łem się, wziąłem zardzewiałą lancę i wyruszyłem w pole. Proszę pani, w tym wieku wyruszyć w pole?

Skoro ciach, to ciach?

– Trąbki zabrzmiały – ojczyzna wzywa, obudziły kobyłę demony.

Skąd się tu wzięły?

– Zawsze tu były, demony są w każdym społeczeństwie. Nie ma takiego, w którym nie można wychować zbrodniarzy. Kiedy ktoś staje na czele narodu, to powinien porywać za sobą najlepszych, a nie najgorszych. Ludzi ideowych, nie szumowiny.

Nasz demon porwał szumowiny?

– W sądownictwie są dwie kategorie porwanych. Pierwsza to nieudacznicy i karierowicze. Druga to ludzie, którzy uważają, że awans im się należy, i nie chcą dłużej czekać. Chwycili wiatr w nozdrza.

Z wiatrem łatwiej.

– Oceniam to jako niemoralne. Asesorzy to osobna sprawa, oni musieli się zwrócić do nowej Krajowej Rady Sądownictwa, w przeciwnym razie wypadliby z wymiaru sprawiedliwości, ale na sędziów, którzy teraz awansowali, inaczej trzeba patrzeć.

Są wśród nich pana znajomi?

– Profesor z KUL, który chwalił ustawę „lex Tusk” o wpływach rosyjskich, szczególnie nowelizacji prawa prezydenta, starał się być moim asystentem na KUL w 1982. Nie został i nie żałuję. Ale może gdybym miał na niego większy wpływ, toby tak karkołomnej opinii nie wygłaszał. Po to państwo ma służby śmokie owakie, żeby ścigało wszelkie formy infiltracji. Nasze nie ścigają. Żadna komisja tego nie załatwi. Mamy tutaj ludzi, o których pisze się, że są agentami albo związani z agentami rosyjskimi – i nic się nie dzieje. Ale robi się ustawę, żeby oskarżać Tuska za reset z Putinem, który nie był dzisiejszym Putinem, i rozmawiali z nim wszyscy w Europie. I to może być powód usunięcia z życia społecznego. Jak w Rosji.

Większość sędziów jednak się broni. Na początku lat 80. do „Solidarności” należało ok. 1 tys. sędziów, a wszystkich było 4,5 tys.,

przy czym wielu z tych, którzy nie byli w „S”, w stanie wojennym spisało się znakomicie. Teraz znowu mamy czas próby. Wyroki sędziów rejonowych w sprawach o zabarwieniu politycznym są zwykle na wysokim poziomie – sędziów absolutnie samodzielnych, bo po 1989 nie mieli wzorca, jak się zachować w takiej sytuacji.

PiS chce po wyborach dokończyć „reformę” i mieć spokój z sędziami.

– Tego się boję. Zniszczenia sądownictwa do zera. Bo osobiście nie boję się niczego, jestem już przed grobem.

Ziobro zapowiada, że zlikwiduje trzytomowy podział sądów, zostaną regionalne i okręgowe, bez apelacyjnych. I pewnie prokurator generalny będzie decydował, w jakim sądzie będzie orzekał dany sędzia. Gdy w 1961 zostałem mianowany przez Radę Państwa sędzią Sądu Powiatowego Warszawa-Praga, to mogłem zakładać, że nigdy nie zostaną awansowany, będę w najniższej grupie sędziowskiej, ale że bez istotnego powodu w postaci deliktu dyscyplinarnego nikt mnie z tego sądu nie usunie. Była ta gwarancja.

Dlaczego prokuratorzy mają tak niską pozycję w zakresie swojej niezależności? Bo ich można przerzucać z miejsca na miejsce. Sędziego nie można, ale po tzw.

reformie Ziobry ochrona sędziów spadnie do poziomu ochrony prokuratury, czyli do zera. Jest pani sędzią sądu powszechnego w jakimś mieście, tu pracuje pani mąż i dzieci chodzą do szkoły. Ale jeśli osądzi pani nie po myśli władzy, to mogą panią przenieść np. do Zagłębia. Czyli musi się pani bardzo zastanowić, wydając orzeczenie. To będzie koniec niezawisłego sądu w Polsce.

Ziobro chce wskazywać palcem, kto ma prawo do kariery. Nawet w stanie wojennym jedyna represja masowa to było przenoszenie sędziów niepokornych z wydziału do wydziału, co PiS już od kilku lat robi.

Pana w stanie wojennym Rada Państwa całkiem odwołała.

– W sumie 20 sędziów, mnie za pierwszym rzutem.

A i tak będzie pan dla PiS złogiem komunistycznym.

– No będę. Ale jak skończyłem 85 lat, to prezydent Duda przysłał sekretarza stanu z kwiatami i listem oddającym, co się należy Strzemboszowi. Ten pan Wojciech Kolarski, od spraw historycznych, razem z prezydentem służył w drużynie harcerskiej, w której ja kiedyś służyłem, 5. Krakowska Drużyna Harcerzy. Powiedziałem mu: pan prezydent został wybrany w sposób legalny, jest moim prezydentem, ale będę mu się przyglądał przez szkło powiększające.

Prezydent zawiódł. Zawiódł też środowisko, z którego się wywodzi. Jego promotor wielokrotnie łamał ręce nad biedakiem.

Nad biedakiem?

– „A ksiądz pleban na odpuszcie/ Przeciw dziatkom i rozpuście/ Grzmiał jak piorun na ambonie./ W końcu dodał: »Bogobojna/ Trzódko moja, bądź spokojna,/ Co ma wiść, nie utonie«”.

Panie profesorze, chyba nie rozumiem.

– W „Kordianie” jest bajka o Janku: „Było sobie niegdyś w szkole/ Piękne dziecię, zwał się Janek./ Czuł zawczasu bożą wolę./ Ze starymi suszył dzbanek./ Dobry z niego byłby wiarus,/ Bo w literach nie czuł smaku/

Co dzień stary bakalarus/ Łamał wierzby na biedaku,/ I po setnej, setnej probie/ Rzekł do matki: »Oj, kobieto!/ Twego Janka w ciemię bito,/ Nic nie wbito – weź go sobie!«...”.

Mamy kogoś, kto przypadkowo lub nieprzypadkowo został prezydentem, ale charakterologicznie nie podolał zadaniu. Mimo że odegrał pozytywną rolę w Ukrainie i wydawało się, że jest bliski odzyskania pewnej niezależności. Nigdy z panem prezydentem nie rozmawiałem, chociaż prosiłem o przekazanie różnych opinii. Kiedy zaczął od prawa łaski dla Kamińskiego i jego podwładnych po nieprawomocnym skazaniu, to zadzwoniłem do tego sekretarza stanu i powiedziałem, co o tym myślę.

Pan prezydent, doktor prawa, zastósował taki mechanizm, jakby można było rozwiązać narzeczonych. „Uwolnił” sądy z tej sprawy, jak sam twierdził. Już sześć lat temu Sąd Najwyższy orzekł, że nie można ulaskawić niewinnych, ale zaraz marszałek Witek zwróciła się do Trybunału Konstytucyjnego w sprawie rzekomego konfliktu kompetencyjnego. Żadnego konfliktu nie było, bo ani SN nie chciał zajmować się ulaskawieniami, ani nie odbierał tego uprawnienia prezydentowi. Sprawa leżała w TK sześć lat i dopiero kiedy SN postanowił ostatecznie ją rozstrzygnąć, pani Przyłębska zebrała niezbędne kworum, które wypowiedziało się oczywiście na korzyść prezydenta. Ale teraz SN orzekł o nieważności tego ulaskawienia.

I co się powinno dalej stać?

– Panowie Kamiński i Wąsik nie zostali ulaskawieni prawidłowo, więc można tę decyzję prezydenta uznać za nieistniejącą prawnie. Jeśli złożyli apelację od wyroku sądu pierwszej instancji, powinni stanąć przed sądem drugiej instancji. Jeśli on zatwierdzi wyrok pierwszej instancji albo go jedynie zmodyfikuje, to będą skazani prawomocnie – i wtedy prezydent może wobec nich zastosować prawo łaski. Teraz, jako podejrzani o przestępstwa ścigane z urzędu – skazani nieprawomocnie, ale skazani – dopóki nie zostaną uniewinnieni lub ulaskawieni, nie powinni pełnić funkcji publicznych.

Ale pełnią.

– Dlatego że u nas prawa się nie przestrzega.

SAMOWOLKA, BEZPRAWIE

Jarosław Kaczyński powiedział, że dokonał zmiany ustroju państwa. Na jaki?

– Były dwie cezury ważne w łamaniu nie tylko konstytucji, ale także podstawowych zasad moralnych: podsłuch Pegasusem i ustawa o tej komisji anty-Tusk. Prawa użyto nie jako czynnika regulacji życia społecznego, ale narzędzia partii. Są zasady, które dotyczą nie tyle prawa europejskiego, ile ludów cywilizowanych. Pegasus, którym podsłuchiowano szefa sztabu konkurencyjnej partii, wczytywano mu SMS-y czy publikowano je w formie zniekształconej, jest złamaniem tych zasad. To Białoruś. A o ustawie to już powiedziałem panu prezydentowi, że byliśmy w tej samej drużynie i etos Szarych Szeregów powinien nam być bliski, a tam jak harcerze likwidowali łotra z gestapo, to jednak nie strzelali mu w plecy. Prezydent Duda strzelił swoim przeciwnikom politycznym w plecy. Od początku używałem ostrych słów.

Gdy w 2015 zaczęła się gra PiS z Trybunałem Konstytucyjnym, wiele osób się do mnie odzywało, m.in. Marek Safjan, mój dawny aplikant, nadzwyczaj udany egzemplarz, ściągnąłem go na KUL. On mówi: „Wszyscy protestują, a ty milczysz”. Ja na to, że czekam, aż się zabiorą za sądy, bo jestem od sądów, nie od TK. Ale jeśli mnie zaproszą, pójdę protestować.

A pan jaki jest egzemplarz?

– Taki sobie. Mnie ciągle próbują zawracać w głowie. Na szczęście moja żona jest

świetną odtrutką: „No, no, niech ci się tylko nie wydaje, że tak jest”. Niektórzy powiadają, jaki jestem autorytet itd. A ja nawet nie jestem takim wybitnym prawnikiem, jak się niektórym wydaje, tylko umiem mówić prosto o rzeczach skomplikowanych.

Jak by pan profesor prosto wyjaśnił, co PiS zrobiło z polskim prawem?

– Atak na trójpodział władzy Kaczyński przemyślał. Zaczął od Trybunału Konstytucyjnego, instytucji wcześniej niewygodnej dla władzy, a PiS chciało działać bez względu na konstytucję i normy prawne. Najpierw nie przyjęto ślubowania od właściwie wybranych sędziów TK pod pozorem, że poprzednio były nieporządki – choć skutecznie usunięte. Później paraliżowano Trybunał przede wszystkim przez nieprawidłowe powołanie przewodniczącej TK, osoby niekompetentnej.

Julia Przyłębska jest nielegalna?

– Tak. Nie powołano jej na podstawie uchwały sędziów Trybunału.

Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej orzekł, że Trybunał Konstytucyjny nie jest sądem.

– Od 2015 r. TK był stopniowo opanowywany przez osoby wybrane przez Kaczyńskiego na sędziów Trybunału, często też mało kompetentne, niecofające się przed drastycznymi naruszeniami prawa. Pani Pawłowicz i pan Piotrowicz podpisali wnioski do Trybunału, a gdy zostali jego sędziami, sami te wnioski rozpatrywali. To tak, jakbym ja wystąpił o rozwód z żoną, a następnie go orzekł.

Trybunał stał się instytucją wobec polityków dyspozycyjną. Dzisiaj sobie orzekają tak, jak im Kaczyński każe. Polskiego TK już nie uznają ani Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej, ani Europejski Trybunał Praw Człowieka, a jego orzeczenia – wydane z udziałem dublerów – traktuje się jako nieistniejące. Teraz jeszcze TSUE sprawdzi, czy podważanie przez TK orzeczeń trybunałów międzynarodowych kwalifikuje go jako wypełniający obowiązujące w Polsce prawo, czy nie.

TK orzekł, że prawo Unii nie ma pierwszeństwa przed prawem polskim. Jak w Rosji, gdzie trybunał uznał, że Rosja nie wykonuje orzeczeń trybunałów międzynarodowych, jeśli są niezgodne z rosyjską konstytucją.

– Każda umowa międzynarodowa ogranicza suwerenność, ale nasze poddaństwo wobec Sowietów i zależność od UE różnią się tym, że do Unii wstąpiliśmy sami, sami swoje uprawnienia ograniczyliśmy, żeby podporządkować się organom, których częścią jesteśmy. Zanim weszliśmy do Unii i podpisaliśmy traktaty międzynarodowe, TK dwukrotnie sprawdził, czy są zgodne z prawem polskim. Znalazł w naszej konstytucji punkty, gdzie nie były, m.in. w kwestii wydania własnego obywatela na żądanie państwa unijnego. Zmieniono te punkty i powstała zgodność. Po podpisaniu traktatów prawo traktatowe stanęło ponad ustawodawstwem polskim, a jednocześnie w hierarchii norm znajduje się na drugim miejscu po polskiej konstytucji. Wrzaski PiS, że prawo unijne nagle stanęło nad konstytucją, to bzdura. Tej sprzeczności nie ma i nigdy nie było.

Czy to rusyfikacja polskiego prawa?

– System się upodabnia. Idziemy w kierunku dyktatury, a dyktatury działają za pomocą tych samych mechanizmów. Bo co PiS zrobiło po zniszczeniu TK? W 2017 pan Ziobro zgłasza projekty trzech ustaw, w tym niebывwały projekt o Sądzie Najwyższym. Chce odwołać wszystkich sędziów SN i on wybierze tych, którzy będą mogli dalej orzekać. Było wielkie poruszenie i nie bez udziału Episkopatu pan prezydent dwie z tych trzech ustaw zawetował. Jadąc nad morze z Warszawy, dziwnie przejechał przez Częstochowę.



• Adam Strzembosz z przyszłą żoną Zofią na wycieczce wzdłuż Wkry, rok 1954. Przed nimi z laską prawnik i popularyzator turystyki dr Mieczysław Orłowicz FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Z kimś pan pogadał?

– Oni zadziałali skutecznie.

Kto?

– Najważniejsi. Są wśród nich tacy, z którymi można rozmawiać, bo działają zgodnie z Ewangelią. Niestety te ustawy, które potem zaproponował prezydent, również były niezgodne z prawem, ale nie prowadziły do skutków, które mogą być zwyczajne w Bangladeszu.

Nie mógł pan załatwić, żeby Andrzej Duda wszystkie trzy ustawy zawetował i przestał łamać konstytucję?

– Takiej możliwości te osoby nie miały. Zresztą, o ile wiemy, pana Dudę nachodził Jarosław Kaczyński, stąd projekty prezydenta zaczynały się robić coraz bardziej podobne do zawetowanych.

Wzięli się potem za Krajową Radę Sądownictwa, wcześniej niezależną od polityków. W czasie kadencji sędziowskiej usunięto stamtąd wszystkich 15 sędziów, mimo że ich kadencja była równie ważna, jak kadencja np. prezydenta. Nowych wybrali już nie inni sędziowie, ale Sejm, czyli właściwie jedna opcja polityczna plus nasz grajek z Pałacu Prezydenckiego. Poza tym wprowadzono przepis, który pozwolił ministrowi sprawiedliwości usuwać prezesów wszelkich sądów powszechnych bez uzasadnienia. To samowolka, bezprawie. Przykład: w apelacji śląskiej jest mały sąd w Żorach, prezesa tego sądu odwołano faksem. Napisał do Ziobry z pytaniem o powód. Minister mu odpowiedział, że kierował sądem w sposób, który nie pozwalał temu sądowi właściwie wykonywać obowiązków. Jednak sąd w Żorach był najlepszym sądem w apelacji katowickiej i na drugim miejscu wśród wszystkich sądów rejonowych w Polsce.

Może minister uznał, że teraz przyjdą lepsi?

– W stalinizmie skończyłem z piątką pierwszy stopień studiów i dostałem się na prawo międzynarodowe do Warszawy, gdzie było nas na roku dwunastu. Dziewięciu kolegów poszło do MSZ, jeden uczyć na Uniwersytet Śląski, a jeden do pisma „Przegląd”, notabene kapitan KBW, Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. On raz do mnie: „Adam, kim ty chcesz być?”. Ja – że porządnym człowiekiem. Chyba zrozumiał. Poza tym widział, że gdy idę koło kościoła, zdejmuję czapkę. Mojemu bratu, Tomaszowi, koledzy zrobili awanturę, bo przeżegnał się w barze mlecznym przed jedzeniem. Przecież on nie dostał się na drugi

stopień studiów. Ja po studiach w 1953 dostałem nakaz pracy w ZUS, gdzie moim pierwszym szefem był szewc. A dyrektorem warszawskiego oddziału ZUS był robotnik, który miał osiągnięcia w budowaniu domów. Mówiono, że to najniebezpieczniejszy człowiek, bo cegły osadzał w murze świetnie, a tu zarządzenia, decyzje...

W stalinizmie sędziami wojskowymi zostawali ludzie po siedmiu klasach, ale i w sądownictwie powszechnym tacy byli. Znałem takiego pana bez matury – był w sekcji wykonawczej wydziału karnego, gdzie tak bardzo nie szkodził, ale gdy wzbuchły procesy marcowe, to się okazało, że on sądzi.

Jak już robimy taki porządek w naszym systemie prawnym, to przejdźmy do Sądu Najwyższego.

Tu bitew było kilka, wszystko już przebrane?

– W Sądzie Najwyższym systematycznie rośnie liczba tzw. neosędziów, wyprodukowanych przez nielegalną KRS. Można coś wybaczyć młodemu niedoświadczonemu sędziemu, ale nie sędziemu SN, że dał się wybrać w takiej procedurze. Mamy jeszcze tylko jedną izbę w SN – Izbę Pracy i Ubezpieczeń Społecznych – która składa się z sędziów prawidłowo wybranych i ma takie-ko prezesa. W Izbie Cywilnej prezes i większość sędziów to neosędziowie. Izba Karno, która do niedawna miała większość legalnych sędziów, jest bliska jej utracenia, jej prezesem został neosędzia.

Pierwsza prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Manowska to też neosędzia.

– Tak, w dodatku nadużywa swoich uprawnień, np. blokując orzekanie w sprawach wrażliwych politycznie. Wykonuje rolę polityczną, nie sędziowską. W SN utworzono też potworka – Izbę Dyscyplinarną, która w sprawach sędziów przejęła uprawnienia Izby Karnej. Ale ta Izba Dyscyplinarna nie była elementem SN: jej prezes nie podlegał pierwszemu prezesowi SN, nie można było do niej przesunąć żadnego sędziego SN, jej sędziowie zarabiali 40 proc. więcej niż inni sędziowie, mieli osobny wydział finansowy, kadrowy itd. Czyli była sądem specjalnym, ale takie według konstytucji mogą istnieć tylko w stanie wojennym. W końcu żeby odblokować pieniądze z Unii, utworzyli w zamian Izbę Odpowiedzialności Zawodowej. Ale tam większość stanowią neosędziowie. Izba ta nie ma już takich osobnych uprawnień jak Izba Dyscyplinarna, w tym sensie jest elementem SN. Ale działa niepraworządnie, bo przejęła sprawy

dyscyplinarne z Izby Dyscyplinarnej, czyli z całą procedurą „ustawy kagańcowej”, którą PiS wprowadziło w 2020 r.

Przewiduje surowe kary dla sędziów stosujących prawo UE, kwestionujących KRS, status innych sędziów. Jak orzekł TSUE, jest to niezgodne z prawem Unii.

– Zmienili też procedurę postępowania dyscyplinarnego. Mogą je prowadzić, nawet jeśli sędzia nie może się stawić z przyczyn usprawiedliwionych, bo np. dostał za-wału. Byle chłystek, który ukradł kurę, ma większe uprawnienia. Rzecznicy dyscyplinarni Ziobry wciąż ścigający sędziów łamą prawo. Występują na podstawie przepisów jawnie niekonstytucyjnych. W sprawie Izby Dyscyplinarnej rząd też długo nic nie robił, a polskie państwo płaciło horrendalne kary. Teraz, po wyroku TSUE, znowu będziemy płacić.

GDYBY WYBORÓW NIE BYŁO...

Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN, która będzie orzekać o ważności wyborów, też nie jest sądem, orzekł TSUE. Co z wyborami?

– Tam też są neosędziowie. PiS będzie oczekiwało, żeby się zachowali tak, jak chce władza. Ale jak się zachowają, nie wiemy. Najgorsze, gdyby jednak wyborów nie było. Gdyby coś się stało na naszej wschodniej granicy. Gdyby sprowokowali jakieś akty terrorystyczne czy gwałty. Putin poświęcił paruset ludzi, żeby móc wszcząć wojnę przeciwko Czechenii, wysadzano kilka domów, czyli można było zamordować własnych obywateli.

Do czego pan profesor zmierza?

– Można czasem spowodować rozruchy, po czym wprowadzić chociażby częściowy stan nadzwyczajny – a wtedy wyborów nie ma.

Co wtedy, bo w stalinizmie podobno szykował się pan do partyzantki?

– Robiliśmy parotygodniowe wyprawy z grupą przyjaciół. Z plecakami, kocem, smalcem, kaszami, kocherem. Szliśmy raz w 1951 przez Puszczę Kurpiowską na Mazury i w gajówce wzięto nas za oddział partyzancki. Tłumaczymy, że my studenci, ale gospodarz: „Pozdrowili Pana Boga, jak trzeba, obeszli chałupę, jak trzeba, to jakie studenty”.

Łaziliśmy po Beskidzie w czasie, kiedy prymas Wyszyński został aresztowany

i Rokossowski został marszałkiem Polski. Najstarszy wśród nas, Staszek Stec, jeden z 13 dzieci góralskiej rodziny, mówi: „Musiemy poszukać karabinów, przecież to nie do wytrzymania, co się dzieje”. A był rozsądny, trzeźwy, powściągliwy. To on wywołał temat, nie ktoś z nas, młodszych. Ja uważałem, że może tak się zdarzyć, ale byłaby to klęska. Umiałem się posługiwać mapą, dobrze chodziłem, z wiatrówki strzelałem – do puszki na drzewie, przecież nie do ptasząt. Ale wiedziałem, jakie były koszty partyzantki powojennej, chociaż po badaniach mojego brata wiem dużo więcej. Wybór partyzantki oznacza sytuację beznadziejną.

Co się panu z wojny przypomina, gdy teraz obok wojna?

– Kiedy przychodzą informacje, ile osób zginęło, to myślę, jak to było, kiedy u nas na Woli w dwa dni wymordowano 40 tys. ludzi. I co by było, gdyby w Ameryce wygrał Trump – a PiS wspierało Trumpa, chcieli mu tu wybudować Fort Trump.

Moi rodzice przed wojną długo wynajmowali mieszkanie na Mokotowskiej 19, w czasie powstania budynek został spalony, a nasze trzecie piętro zleciało na pierwsze. Zobaczyliśmy to z ojcem w 1946, gdy pierwszy raz po wojnie znaleźliśmy się w Warszawie. Poszliśmy też na Stare Miasto, gdzie ciągle był zapach trupi, słodkawy. Nie było uliczek, tylko ścieżki między gruzami. Jeszcze w latach 50., gdy byłem aplikantem i dojeżdżałem do sądu z Józefowa, to w dzisiejszej al. Jana Pawła II były gruzy i wypalone domy, „Zły” Tyrmanda dział się też w tych ruinach.

I sama wojna mi się przypomina. Widziałem zastrzelonego człowieka, który leżał w klatce schodowej w naszym domu na Mokotowskiej, mózg na ścianie. W czasie powstania szczęśliwie byliśmy z matką w Milanówku, ale tam były łapanki od świtu do zmierzchu. Mieszkaliśmy w stróżówce, stłoczeni w pokoiku z kuchnią, ubikacja 20 m dalej, drewniaczek. Koło stróżówki trójkątny gazonik, gdzie spędzano polapanych, jeden próbował uciekać, widziałem, jak strzelili do niego i rozprysła mu się głowa.

Dlaczego byliście stłoczeni?

– Nas troje, mama, nasza niania piąta, ale dochodzili ludzie, którzy uciekali z powstania, i był moment, kiedy myśmy z bratem spalili na stole, siostra pod stołem.

Jacy ludzie z powstania?

– Pamiętam pięcioletnią dziewczynkę Anię, nazwisko nieważne, mieszkała u nas z gosposią. Jej rodzice to byli kuzyni mojej matki z Mazowsza, przyjechali do Warszawy, bo myśleli, że tak bezpieczniej. Ojciec lekarz, mama taka ładna. Siedzieli w piwnicach budynku Hipoteki. Część piwnic się załamała. Mocne mury, żelbetonowe, nie do ruszenia, i zabici śmierdzą strasznie. Ta dziewczynka opowiadała nam, jak kołysała laleczkę, żeby laleczka tego nie czuła. Ale to było mało. Ci jej rodzice zaprzyjaźnili się z inżynierem, który tam z nimi siedział. Razem wychodzili z powstania i ten inżynier ich zamordował. Dla kosztowności, które mieli. Polak. Opowiadała to gosposia, która z nią ocalała. Ta dziewczynka o tym nie mówiła. Zaopiekował się nią cioteczny brat mojej matki. Skończyła medycynę, podobno pierwszy raz zobaczono ją uśmiechniętą, gdy wychodziła za mąż.

W Milanówku mama chodziła na noc pomagać w szpitalu, w dzień siostra, a mama wtedy robiła szaliki na warsztaciku tkackim „Mika”. Gdy przywozili transporty nocne, rannym poza wodą i kawą, nieprawdziwą oczywiście, nie było co dać. Operacje bez znieczulenia, trochę wódki i piłą ogrodową odcinali ręce, nogi. Wiem, gdzie je zakopywano.

Trudne było to, że myśmy nie wiedzieli, czy ojciec wróci. Poszedł do powstania, mając 49 lat, ale miał mocną rękę. Dostał rewolwer, świetnie strzelał z lewego ramienia. Pamiętam, jak wziął raz kawał drew-

na i mówi: „No, jeszcze bym dwóch zabił”. A wrócił z powstania ranny, staruszek osiwiał, drżący, długo chodził o kulach.

Z Milanówka do Krakowa-Plaszowa jechaliliśmy cztery dni i trzy noce, nie mogę sobie przypomnieć, czy myśmy jedli. Jak pociąg stawał, to czasem się wyszło siusiu, ale baliśmy się, że pociąg ruszy.

Z OLEKSIŃCA NIC NIE ZOSTAŁO

Smaki, zapachy wojny?

– Chleb z przegotowanymi burakami albo marchwią. Margaryny i masła nie pamiętam, cukru nie było, piliśmy kawę zbożową z sacharyną, potem bez. Mięso było krótko. Jeszcze na Mokotowskiej w Warszawie do ojca zgłosił się podwarszawski rzeźnik. Jego dwaj synowie studiowali u Wawelberga, to była jedyna uczelnia, na którą Niemcy się zgodzili. Ci chłopcy u nas zamieszkali. Ojciec im pomagał w nauce, a oni odwiedzali się mięsem. Bo z przydziału dostawaliśmy chrząstki, mama mella to ze trzy razy i zapiekala z kartoflami – miałbym odwruch zwrotny, gdybym znów poczuł ten zapach. Jakiś czas hodowaliśmy króliki, dwa były w piwnicy biedne, a w kuchni ojciec zrobił skrzynię dla matki z małymi. Chodziliśmy z bratem na łąki i zbieraliśmy dla nich zielska.

Gdzie na łąki?

– Na dzisiejsze Pola Mokotowskie, wtedy za placem Unii Lubelskiej zaczynały się tereny podmiejskie, Mokotowska na tym odcinku to była błotnista ulica. No i te króliki dorastały – i znikaly.

Nazywał je pan imionami?

– Nie. Wiedzieliśmy, że je zjemy. Nieprzyjemne, ale wojna, bieda. A królika trzy dni się jadło. Tych w piwnicy tośmy żalowali. Nie wiem, kto je zabijał, pewno nasza ukochana niania Stefcia, ona była ze wsi i robiła takie rzeczy.

Kogo pan stracił w czasie wojny?

– Ciotkę Annę, starszą siostrę mamy. Jej męża Karola rozstrzelali Niemcy w zlikwidowanym już getcie, był w wywiadzie AK. Mąż drugiej siostry mamy, Tadeusz, umarł w łagrze pod Tułą, koło Moskwy. Mieli mająteczek na Pomorzu, Kruszyny Szlacheckie między dwoma jeziorami, otoczone lasem. Ulokowano tam sztab AK okręgu pomorskiego, zaprzysiężeni zostali moja ciot-

ka, dwie ich córki łączniczki, wuj został porucznikiem czasu wojny, a 70-letnia babka starszym sierżantem czasu wojny. Jak przyszli Rosjanie, to wywieźli 300 najbardziej znanych działaczy powiatu brodnickiego, w tym mojego wuja. Takie wyzwolenie.

Mój cioteczny brat Krzys zginął w wieku 19 lat pod Mańczakami. Był w zgrupowaniu Baszta. To była specjalna akcja AK na Białorusi, która miała rozszerzyć działania partyzanckie na zapleczu frontu. Poszło ok. tysiąca żołnierzy, ale tylko kadra była uzbrojona, zapewniano ich, że będzie broń i żywność, a tam nawet wody nie było, studnie zasypane kamieniami. Nieuzbrojonych odesłano do Warszawy, a Krzys został, był podchorążym, bo poszedł do AK, jak miał 16 lat. Gdy Niemcy ich zaatakowali, na osłonie oddziału było ich sześciu, czterej Polacy i dwóch oficerów radzieckich, którzy gdzieś dołączyli. Wszystkich pochowano jako bohaterów Związku Radzieckiego, pojechaliśmy tam z bratem po wojnie z krzyżem i tablicą, że czterej to Polacy.

Dwa lata starszy brat Krzysia zginął tragicznie, ale nie chcę opowiadać. Ich matka była łączniczką w Baszcie. Czołgała się Polami Mokotowskimi z rozkazami, pocisk wybuchł koło niej, urwał palce w obu rękach. Po wojnie mąż nie żyje, synowie nie żyją. Ale wyjechała na ziemię zachodnie, w Świdnicę założyła teatr amatorski, mówiono o niej „madame Kultura”.

No i „Alek” Dawidowski, brat mojej późniejszej bratowej Maryli. I ich ojciec – rozstrzelany w 1939 przez Niemców koło Sejmu. Ich matkę wzięli do Ravensbrück, chorowała na tyfus, ale jej nie leczyli, tylko leżące z nią dwie dziewczyny – i one umarły, ona przeżyła.

Podobno pana brat, historyk, badacz partyzantki prof. Tomasz Strzembosz, nie wszystko ujawnił, co wiedział o AK.

– Moja bratowa Maryla przekazała do Archiwum Akt Nowych kilkanaście worków materiałów, kilka tysięcy zebranych przez Tomasza relacji, ale część schowała w domu. Tomek mówił, że nie można tego publikować, bo za wcześniej. Pytałem rodzinę, nie wiedzą, gdzie to jest. Brat pisał też wiersze i też nie wiem, gdzie są.

Kiedy pan zyskał świadomość polityczną?

– Gdy miałem 16 lat. Powiedziałem do stryja, który wrócił po wojnie z Afryki, że jestem katolikiem. Już wiedziałem, że

marksizm odrzucam, bo można było być chrześcijaninem albo marksistą. Mój ojciec miał doświadczenia rosyjskie. Był związany z Delegaturą Rządu na Kraj, jeździł do Lwowa, kiedy zajęły go wojska niemieckie, mówiono, że w przyszłości może być kandydatem na wojewodę lwowskiego. Świetnie znał rosyjski i ukraiński, wśród Ukraińców się wychowywał.

W domu mówił po ukraińsku?

– Czasem śpiewał czy raczej wykrzykiwał, bo nie miał słuchu. Ojciec opowiadał o Ukrainie i zostawił wspomnienia. Mieszkał w Oleksińcu Polnym na Podolu, a urodził się w Żytomierzu, gdzie mieszkała matka jego matki, babcia jeździła rodzic pod jej opieką kolejne z czwórki dzieci. Tam też poszli do gimnazjum ojciec ze swoim starszym bratem Tomaszem i jako dzieci weszli w kółka polskiej konspiracji. Ich jeszcze starszy brat działał w Związku Młodzieży Polskiej „Zet”, to było wtedy centrum działań konspiracyjnych. Mój ojciec dostał się na prawo na Uniwersytet Kijowski i gdy wybuchła I wojna światowa, wzięli go do rosyjskiego batalionu studenckiego. Ale kiedy w okresie rewolucji październikowej zaczęto odtwarzać oddziały polskie, trafił do brygady Hallera. Brał udział w bitwie pod Kaniowem, w której ich rozbito, ojciec z bratem i kolegami uciekli z niemieckiej niewoli, przebijając się w chłopskie ubrania, które razem z furką z końmi dostali od Żyda z tartaku dzięki temu, że robił on wcześniej interesy ze Strzemboszami, dziadek Jan sprzedał mu kawał lasu.

Powiedział pan, że ojca wychowali Ukraińcy.

– Mój dziad Jan po śmierci młodej żony nie znosił obecności kobiet i ojciec mówił, że w dzieciństwie zajmowali się nim ukraińscy chłopci, którzy usługiwali w tym dworze. Wieś na Podolu była ukraińska, chociaż obok Oleksińca była wieś Bałakiry, gdzie żyli polscy Tatarzy, drobniejsza szlachta. Większe majątki w dużej mierze były obsadzone przez Polaków. Ten Oleksiniec Polny, który mój pradziad dostał w wianie, miał ok. 300 ha, na tamte czasy niewiele. Dziad, który skończył na Sorbonie medycynę, miał tak dobre stosunki z wsią, że gdy przyszło do dworu żołdactwo, które z frontu waliło do matuszki Rosji, to miejscowi chłopci ukraińscy ich wyrzucili, stanęli w obronie pamięćci. Jak drugi raz przyszło żołdaków więcej, to dziad się ostrzeliwał i znowu pomogli gospodarze ukraińscy – w nocy zabrali go rannego z jakiegoś rowu i zaopiekowali się nim, potem musiał już uciekać z córką do Kijowa.

Kiedy ktoś staje
na czele narodu,
to powinien porywać
za sobą najlepszych,
a nie najgorszych.
Ludzi ideowych,
nie szumowiny

• Trojaczki, od lewej: Tomasz, Teresa i Adam Strzemboshowie, druga połowa lat 40. XX w. Bracia służyli w 5. Krakowskiej Drużynie Harcerzy FOT. ARCHIWUM RODZINNE



Ojciec nie miał złudzeń co do komunistów. Wiedział, że bolszewicy z życiem ludzkim się nie liczyli. Kiedy Polska odzyskała niepodległość, studiował w Warszawie i do Ukrainy już nie wrócił. A my z bratem wielokrotnie jeździliśmy do Oleksińca i pod Lwów, gdzie też był taki pałacyk Strzemboszków. Gdy Tomasz zmarł, byłem tam z pięć razy, w samym Kamieńcu Podolskim ze trzy. Pod Lwowem została studnia. Z Oleksińca nic nie zostało. Ojciec opowiadał, że tam były wzgórza, rzeka, a myśmy tam widzieli tylko pola, porozrzucane chatki, pobudowane w rzeczywistości radzieckiej. Tam, gdzie był dwór, posiano buraki. Nie było drzew, które ojciec wspominał. Pytałem miejscowych o nazwiska ukraińskich chłopów, które podawał – nic nie słyszeli. Pewnie zabił ich Wielki Głód albo Stalin wysłał ich na Sybir.

Ma pan coś stamtąd?

– Owszem. Po rewolucji do Rosji napłynęła masa rzeczy zrabowanych i mój dziad kupił wtedy piękną złoconą wazę podobno z Petit Trianon, którą miał mój brat, mnie został się talerz z Oleksińca, na którym w Wigilię kładziemy opłatek.

Pod koniec 1944 trafiliśmy do majątku w Falkowicach pod Krakowem. Niedługo potem przechodził tamtędy front i rosyjscy żołnierze spali w salonie na śłomie. Pamiętam, jak ojciec prowadził po rosyjsku dyskusje teologiczne z takim starowerem i mówi do nas: „Ten już by mnie bagnetem nie pchnął”. Raz przyszli do ojca na rozmowę nad ranem, bo nasza trójka i rodzice mieliśmy pokój na pięterku. Pachniało od nich perfumami. My w łóżkach. Po jakimś czasie mama mówi: „Dado, my chcemy wstać”. Ojciec prosi, żeby wyszli, bo żona i córka chcą się ubrać, oni: „A nam to nie przeszkadza”. Ale zachowywali się dość przyzwoicie, gorzej oddziały zaopatrzeniowe, to już była straszna hola. Poza tym oni byli zaskoczeni bogactwem miejscowej ludności. Wieś krakowska była uboga, ale chłop miał długie buty, kożuch, zegary stojące. Rosjanie uważali, że to wszystko zrabowane na Niemcach, i próbowali odebrać, bo to przecież zdobycz wojenna.

Dworek należał do pana bardzo starawego, prostego, z piękną białą brodą i białą czupryną, Edmunda Ginwill-Piotrowskiego. Jako pan z zaboru austriackiego po rosyjsku nie znał ani słowa, przy biurku coś tam czytał, a Rosjanie brali moje go ojca i kazali się prowadzić do jego pokoju, żeby „obejrzyć pamięścika”. Notabene wieś przedwojenna do 1945 r. miała elementy feudalne, podziały społeczne były wyraźne, ale w 1946 po śmierci tego dziadunia chłopci nieśli na plecach jego trumnę do kościoła w Gdowie 2,5 km. Zaraz potem przyszli parobkowie do jego córki Feli, która tam gospodarowała, i mówią, że odchodzą, ona, że im podwyższy ordynarię, a oni: nie, panienko, myśmy pracowali dla jaśnie pana.

GDYBY JAN OLSZEWSKI ŻYŁ, BYŁBY PRZECIWKO NIM

Kiedyś byli jaśnie panowie, teraz ludzkie pany.

– Wierzę, że w końcu wygramy, inaczej byłbym po raz pierwszy w życiu w depresji. Potem też przyjdą trudne czasy, bo ludzie będą oczekiwać, że od razu ma być wszystko naprawione. A co, jeśli nie będziemy mieli odpowiedniej większości, żeby odrzucać weto? Ale pieniądze z Unii dostaniemy natychmiast. Jeśli porządnie je wykorzystamy, stopa życiowa zacznie się podnosić i aprobatą dla tej ekipy będzie większa.

Nieraz słucham TVN czy TOK FM rano. Krytyki jest tam tyle – oj, dziennikarzu, myślę sobie... Żądają programów. Ja mam w pokoju na stole setki stron z programami partii opozycyjnych, tego jest aż za du-

żo. Pies z kulawą nogą tym się nie interesuje, ludzie chcą hasel, jasnego przekazu. Raz słucham jednego dziennikarza – jaki rozczarowany, opozycja funta klaków warta, nic nie robią. Napisałem do niego z pomocą przyjaciółki, że w 2019 Senat przygotował projekty ustaw naprawy państwa, partie opozycyjne podpisały wspólny projekt ustawy „Porozumienie dla praworządności”, a Instytut Spraw Publicznych przygotował ogromne raporty o Polsce po wyborach. Jak dziennikarz może tego nie wiedzieć? Niech mi pan odpisze, kiedy pan swoje słowa odszczeka, chętnie posłucham. Żadnej reakcji. Jak można ludziom wmawiać, że opozycja nic nie robi? Przecież Tusk ma rację. Świetne są jego wystąpienia. Chłop z jajami. Rzuca hasła. Inni na opozycji też mają programów od cholery.

W stanie wojennym trzymał pan pod szafą projekt naprawy sądownictwa przygotowany przez „Solidarność”. Może trzeba by do tych idei wrócić?

– Tak, mieszkalem wtedy w mieszkanku na Prostej, sześć osób na 60 m. Część tego programu znalazła się w uchwale „Samorządna Rzeczpospolita”, ogłoszonej na walnym zjeździe „Solidarności” w hali Oliwia w Gdańsku w 1981. To był nasz sukces. Huta Warszawa gotowa była strajkować na rzecz sędziów. Ich to obchodziło! Wiedzie-

li się wszystkim – i prawem cywilnym, i konstytucyjnym, i całą resztą. To znać: rozmyślić naprawę do zera. Myśmy się na to nie nabrali, wyjąłem spod szafy nasz solidarnościowy program i powiedzieliśmy, co konkretnie naprawiamy: niezależność sędziowską, niezawisłość sądów, prawo karne, materialne i procesowe. W sądownictwie uzyskaliśmy prawie wszystko, a w prawie karnym wtedy jeszcze nic.

Podobno został pan przewodniczącym podstolika na wniosek Jana Olszewskiego?

– Byliśmy z Janem w przyjaźni aż do jego śmierci. Nawet proponował, żebym był w jego rządzie wicepremierem ds. społecznych, ale nie chciałem. Myśmy się zbliżyli w stanie wojennym, byłem troszkę przewodcą grupy sędziów, w Laskach pod Warszawą organizowaliśmy dyskusje, wykłady dawali m.in. Wiesław Chrzanowski i Jan Olszewski. Byłem zaszczycony, kiedy Jan zaproponował, żebyśmy byli po imieniu, bo z Wiesławem to mówiliśmy sobie wcześniej. Oni dwaj pisali razem statut NSZZ „Solidarność”.

W naszym podstoliku był też Jarosław Kaczyński. Nie był zbyt aktywny, ale gdy powstała konieczność dostosowania do polskich warunków portugalskiej koncepcji



• Profesor Adam Strzembosz w swoim domowym gabinecie, Warszawa, 1995 r.

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Jarosław Kaczyński zniszczył dorobek „Solidarności”, podważył wszystko, co gwarantowało niezawisłość sędziowską

li, po co jest niezawisłość sędziowska. Że to ochrona przed autorytaryzmem. Jarosław Kaczyński zniszczył dorobek „Solidarności”, podważył wszystko, co tę niezawisłość gwarantowało.

On się na „Solidarność” powołuje.

– A, proszę pani, co to dzisiaj za „Solidarność”.

Ale na tamtą, prawdziwą.

– Powoływać to się może każdy. Słowa, słowa. Kaczyński aprobeuje niszczenie sądów i podważa ich uprawnienia wywalczone przy Okrągłym Stole przez „Solidarność”, inaczej byłyby wyspą wolności na jego morzu bezprawia.

Kiedy w moim podstoliku do spraw prawnych zaczęliśmy rozmowy, to przedstawiciele władz chcieli, żebyśmy zaję-

Przy Okrągłym Stole byli sami agenci – twierdzi Andrzej Zybertowicz.

– Sąd kazał mu nas przeprosić i teraz jest sprawa w drugiej instancji. Proces za te słowa wytoczyło mu prawie 40 osób. Miałem satysfakcję, gdy sędzia mnie zapytał, czy popieram swój wniosek – powiedziałem, że popieram nie tylko w swoim, ale i w imieniu osób, które już nie żyją i swojej czci bronić nie mogą, jak Jan Olszewski, Zbigniew Romaszewski, Jerzy Ciemniewski itd. Nie wiadomo, jak to się skończy, bo Sąd Apelacyjny jest oblepiony nową elitą. Ale Zybertowicz przynajmniej usłyszał, co ludzie dawnej opozycji o tym myślą.

A Jan Olszewski co dzisiaj by mówił na to, co się dzieje?

– Uważam, że on by tego nie zaaprobował. Nie głosowałby na PiS.

Nie? Trzymał z tamtym środowiskiem.

– Był typem przedwojennego PPS-owca. Miał poglądy socjalistyczne, wywodził się z PPS-owskiej rodziny, a PPS była partią demokratyczną. Gdyby Jan żył i był w pełni sił, toby występował przeciwko nim.

Przeciwko Kaczyńskiemu?

– Tak. On był jednak demokratą, a Kaczyński to kandydat na despotę. Olszewski w ostatnich latach prawie z nikim się nie spotykał, rozmawialiśmy telefonicznie. I już na początku rządów PiS Jan wypowiedział się do mnie jednoznacznie krytycznie o działaniach Jarka.

PiS przedstawia go jako swoją legendę.

– Kiedy Macierewicz powiedział, że Jan Olszewski to bohater numer jeden, to pomyślałem sobie: na którym miejscu znalazł się Lech Kaczyński? Przecież dla nich Wałęsa to „Bolek”, a „Solidarność” stworzył i kierował nią Lech Kaczyński.

Pana odznaczył Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.

– Pamiętam to sympatycznie. Miałem mu tylko za złe, że gdy został ministrem sprawiedliwości, to ograniczył uprawnienia zgromadzenia ogólnego w wyborze kandydatów na prezesa sądu, ale nie wyobrażam sobie, żeby zrobił z Trybunałem Konstytucyjnym coś takiego jak Jarek. I na pewno przyjąłby przysięgę legalnie wybranych sędziów.

Widziałem nieraz, jak idzie Jan i koło niego te dwie posturki. Był dla nich autorytetem albo chcieli go wykorzystać, nie wiem. Bo rząd Olszewskiego nie był do końca popierany przez Porozumienie Centrum.

Leszek Moczulski opowiadał, jak Jarosław Kaczyński namawiał go na obalenie rządu Olszewskiego.

– To by świadczyło, jak Kaczyński był nie szczery. On mnie namówił, żebym startował na prezydenta, a ja się zgodziłem – najgorsza decyzja, jaką w życiu podjąłem.

W 1995. Ciągłe to pana boli?

– Boli mnie moja naiwność. Wszedłem w to bez żadnego zaplecza politycznego, bez wynegocjowania warunków, i to na piśmie, a bez tego nie było warto zacząć. Przekonałem się, że jestem głupiec. Że Jarkowi nie chodzi o to, żebym został prezydentem, tylko on chce rozbudować swoją partię, tworząc komitety poparcia dla Strzembosza. To wyszło, kiedy poparli mnie Jaworzniacy – związek ludzi, którzy po wojnie przeszli obóz koncentracyjny w Jaworznie, przesiedleni Polacy i Ukraińcy, trzymani tam bez żadnego procesu: dzieci od 14. roku życia, kobiety, księża uniczy, potem wsadzano tam młodzież poniżej 17 lat z organizacji konspiracyjnych. Kiedy byłem pierwszym prezesem SN, oni zrobili mnie honorowym członkiem i poparli na prezydenta. A ponieważ byli z całej Polski, to chcieli listę moich komitetów, żeby w nich działać. Zwróciłem się do Gosiewskiego, a on mi tej listy odmówił.



• Trojaczki Tomasz, Teresa i Adam Strzemboszwowie, połowa lat 30. FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Jak porównam życie Jarka i moje, to o ile moje jest bogatsze. Kochana i kochająca żona, dzieci, wnuki, prawnuk, przyjaciele, i to tacy nie za pieniądze, nie za stanowiska. On – samotny

I wtedy pan zrozumiał, że coś jest nie tak?

– Kiedy wycofał się pan Szyszko, którego Kaczyński zrobił szefem mojego sztabu, i chciał, żeby pan Gosiewski kierował komitetami, czemu się sprzeciwiłem. Byłem na badaniach w klinice, Kaczyński przyjechał i przekonywał. Powiedziałem, że przecież mnie popiera sześć partii, więc to niemożliwe, żeby najważniejsze stanowiska obsadzało PC. Potem któryś jego zastępca krzyczał na mnie, że wyciągnęli mnie do pierwszego szeregu, a ja ich nie słucham. Odparłem, że nikogo o to kandydowanie nie prosiłem. Wtedy Szyszko powiedział, że musi wrócić do pracy naukowej, i zaraz kandydatem PC na prezydenta okazał się Lech Kaczyński, a Szyszko szefem jego sztabu.

Nikt panu nie powiedział, że już pan nie jest ich kandydatem?

– Nikt.

Czyli dał się pan oszukać?

– Bo powiedziałem: dość. Co ciekawe, mój upór spotkał się z szacunkiem niektórych z jego strony. Kiedy wycofałem się z kandydowania, warszawska komórka PC demonstacyjnie się rozwiązała.

Co na to Jan Olszewski, który razem z Kaczyńskim pana poparł na prezydenta?

– Najpierw mnie namawiał na start, a potem sam kandydował. Naszemu wspólnemu przyjacielowi Jurkowi Jasińskiemu powiedział, że musiał, bo inaczej partia by mu się rozsypała, takie rzeczy.

DLA WIELKIEJ IDEI NIE ZASYSA SIĘ MĘTÓW

Myśli pan, że Kaczyński pana cenil?

– Kiedyś był u mnie w gabinecie w Sądzie Najwyższym, gdy zadzwonił biskup Piero-

nek, sekretarz Episkopatu. Zwrócił się do mnie z prośbą o wypowiedzenie się w sprawie niemieckiego biskupa, kandydata na ołtarze, ale po wojnie skazanego przez polskie władze. Pieronek chciał, żebym rozpatrzył rewizję nadzwyczajną. Powiedziałem: „Proszę księdza biskupa, proszę złożyć odpowiednio umotywowany wniosek”. A Jarek zdziwiony: „Potraktowałeś go jak każdego interesanta”. No tak. Jak inaczej miałem potraktować? Nie wniosłem nigdy tej rewizji. To go zaskoczyło pozytywnie. Przekonywał, że mam szansę, autorytet. Nie wątpiłem mu imponowałem. Bo ja przy tym podstoliku raz prawie zerwałem rozmowy, uderzyłem pięścią w stół. Jak byłem pierwszym prezesem SN, też mi się zdarzało. Więc chłop energiczny – chociaż pokorne cięło, z drugiej strony. Kaczyński mi proponował też stanowisko premiera, jeszcze przed Hanną Suchocką.

Po Tadeuszu Mazowieckim?

– Zapytałem: „A ty kim chcesz być?”. Chciał być wicepremierem.

Już wtedy tak kombinował?

– Ładnie to ubierał na słowa, muszę przyznać. Odmówiłem, nie miałem wątpliwości, że się nie nadaje, ale odniosłem wrażenie: zręczny facet. A on widać uważał, że obudzi we mnie ambicję, zostaną tym premierem figurantem, a on będzie rządził. Bo on ma partię, czyli siłę. A ja co mam?

Głosował pan na nich.

– W tamtych latach Kaczyński występował może nie jako chadek, ale człowiek centrum, wielu na niego głosowało. Teraz wielu pyta, na kogo głosować. Odpowiadam: wiadomo, na kogo nie głosować.

PiS to katastrofa dla Polski. Przy czym nie idealizuję okresu, kiedy premierem był Tusk, byłem zawiedziony, że rodziny wielodzietne są najgorzej sytuowane w kraju, a ich dzieci mają nieporównanie mniej-

sze szanse rozwoju niż dzieci jednaków. W moim środowisku widziałem, jak wiele takich rodzin się szarpie. Pomysł 500 plus uznałem za bardzo dobry. Gdyby oni mieli te socjalne świadczenia i rządzili zgodnie z prawem, to nadal bym na nich głosował. Niestety, PiS ciągle ma poparcie wynikające z rozdawnictwa i hasel o przywracaniu godności, podają się za przedstawicieli wiary i moralności.

A jak jest?

– Gdybym uważał, że jest tak, jak mówią, to byłbym po ich stronie. Ale dobrze wiem, że to olbrzymie zakłamanie. Nie można mówić jednego, a robić drugie, i twierdzić, że to moralnie w porządku. I bez względu na to, czy wszystko mi się podoba po drugiej stronie, zawsze będę popierał tych, którzy walczą o fundamenty systemu praworządnego, bo bez tego nie będzie żadnych wartości, także tych, które są mi najbliższe. Ale ja w tej chwili nie walczę o moje poglądy.

Było kiedyś w Polsce takie niszczenie sądownictwa do zera?

– Kiedy Bolesław Chrobry oślepił swojego krewnego, czeskiego księcia Bolesława III Rudego, nikt nie miał do niego pretensji, tak się wtedy robiło. A w Starym Testamencie można poczytać, jak to wrogowie wyrzynają kobiety, dzieci i zwierzęta przeciwnika. Że Niemcy robili tu Holocaust, też się nie mieści w głowie.

PiS porównuje przeciwników do naziistów, puszczali ten spot z Auschwitz.

– Po 1945 odwracanie znaczenia słów było rzeczą powszechną. Rządziła klasa robotnicza, w której to imieniu wypijano koniak ustami pierwszych sekretarzy. Państwo robotników i chłopów, przeciwko któremu występowali właśnie robotnicy i chłopci. Jakby na terenie Wielkopolski i Pomorza wywłaszczano gospodarzy posiadających nie 100 ha, ale tak jak w innych regionach Polski 50 ha, tobyśmy mieli na wiele lat zajądlą chłopską partyzantkę. Do kolektywizacji nie doszło, bo chłopci na zachodnich terenach łapali za widły i kosy przeciwko tej „chłopskiej i robotniczej” władzy.

Teraz mało ludzi się buntuje...

– 4 czerwca wyszło nas na ulice sporo. W Izraelu władza chce zrobić to samo co u nas – i w tym małym narodzie od tygodni wychodzi po kilkaset tysięcy osób. Polacy nie czują oddechu dyktatury na skórze. Mam na to wskaźnik. Występowałem w telewizji prywatnej, więc, powiedzmy, w Rabce, pensjonariusze mnie rozpoznają, ale gdy jadę na wieś – nikt. Na wsi nikt nie ogląda TVN, tylko TVP 1. Pewną panią z doktoratem zapytałem, co myśli o Pegasusie, którym można podsłuchiwać i podglądać wszystkich – a ona nie wie, że jest coś takiego. No to jak ma się buntować przeciwko czemuś, o czym nie wie. O tej wspanialej ustawie przeciwko Tuskowi wie też pewnie kilkanaście procent Polaków.

O Tusku TVP trąbi stale.

– Ale nie wiedzą, że komisja, którą chce stworzyć PiS, może orzekać i posługiwać się uprawnieniami służb specjalnych, prokuratury i sądu równocześnie. Typowy sąd inkwizycyjny bez prawa do obrony, przy czym sąd inkwizycyjny na śmierć skazywał co dziesiątego, natomiast ta komisja ma skazać na infamię każdego. A przecież jeśli dopuściłem się przestępstwa i zostaję pociągnięty do odpowiedzialności karnej, to wiem, co mi się zarzuca, jakie mam prawa, mogę odmówić składania wyjaśnień, powołać świadków, dostarczyć dokumenty itd. A tu nie ma nic takiego. Pan prezydent nieco złagodził sprawę, ale oni mogą utajnić materiały dla nich niewygodne, a ujawniać wygodne – czyli chodzi o to, żeby człowieka umazać błotem. Sądy wojskowe, gdy jeszcze nie zakończono wojny, działały podobnie. Sędzia odczytywał akt oskarżenia, nie było prokuratora ani obrońcy. O godz. 12 skazano człowieka w stodole, a o 16 pod stodołą rozstrzelivano.

Ktoś ich rozliczy? Pan był przewodniczącym Trybunału Stanu, chociaż nie miał pan nic do roboty.

– Miałem. Jedna sprawa została rozstrzygnięta za mojej kadencji, afera alkoholowa. Szykowała się też sprawa dla ekipy Jaruzelskiego, ale marszałek Zych i jego otoczenie, mimo obowiązującej uchwały Sejmu, nie przekazali do Trybunału materiałów. Interweniowałem, bez skutku. Potem doszło do władzy SLD i tę uchwałę umorzono.

Kogo należy postawić przed Trybunałem Stanu?

– Wszystkich, którzy naruszyli konstytucję lub inne prawo, a podlegają odpowiedzialności przed Trybunałem. Prezydent, premier, ministrowie. Kaczyńskiego też, był przecież wicepremierem. Można stworzyć konstrukcję podlegania do przestępstwa czy sprawstwo kierownicze. Tylko czy konkretny sąd to przyjmie?

Przewodniczącą TS do 2026 r. powinna być nielegalna sędzia Małgorzata Manowska jako pierwsza prezes SN.

– Ci wszyscy neosędziowie, zwłaszcza w Sądzie Najwyższym, powinni podlegać negatywnej weryfikacji, gdy nareszcie urządzi się państwo praworządne. Tylko żeby postawić przed TS, trzeba mieć większość, której my nie będziemy mieli. Więc tym się nie kłopotymy. Bo może trzeba będzie poczekać – daj Boże, żeby to oczekiwanie zwiększyło poparcie społeczne, a nie zmniejszyło.

Praworządność wymaga, żeby każdy obywatel, który naruszył prawo, szczególnie prawo karne, stanął przed sądem. Trzeba tu być i ostrym, i ostrożnym. Nie działać samobójczo, nie doprowadzić do wybuchu społecznego. No a jeśli opozycja przegra te wybory, to dopiero się zacznie. Może wyjdą z Unii i będą rozliczali drugą stronę, o, już nie będą mieli żadnych hamulców.

Kaczyńskiemu co by pan powiedział?

– Że jest największym szkodnikiem w życiu społecznym. Chociaż kiedyś mógłbym przypuszczać, że działa dla jakiejś wielkiej idei.

Panie profesorze, jakiej?

– No właśnie. Dla wielkiej idei nie zasy- sa się mętów społecznych. Jeśli ktoś działa na zasadzie nie wspólnych wartości, idei, ale dyktatu, to musi wziąć innych za pysk. Mnie akurat nie wziął. Po doświadczeniach Hitlera i Stalina wiemy, że zawsze w warunkach dyktatury na wierzch wychodzą najgorsi ludzie.

Złoczyńca chyba wie, że czyni zło?

– Różnie. Kiedy niedawno przyjaciel matki w okrutny sposób zamordował jej ośmioletniego syna, premier żądał kary śmierci, a ja mówię: bądźcie ostrożni, bo może ten facet, który zamęczył dziecko, sam był kiedyś takim dzieckiem. Dlatego ja nigdy nie byłbym w stanie powiedzieć, że ktoś zasługuje na karę śmierci.

Krzywdzą ludzi skrzywdzeni?

– Często. I sfrustrowani. Czy Kaczyński ma świadomość tego zła, czy tak siebie zakłamał? On ma prawo uważać, że ratuje Rzeczpospolitą. Gdyby jednak rzeczywiście był agentem rosyjskim, to nie ma usprawiedliwienia – bo to znaczy, że wie, w jakim kierunku działa. Zaskoczyła mnie informacja, że Kaczyński w latach 89-90 kontaktował się z oficerem KGB Łasinem. Półtora roku!

Dla mnie wstrząsające było, że raport z weryfikacji Wojskowych Służb Informacyjnych został decyzją Antoniego Macierewicza przetłumaczony na język rosyjski, i to przez Rosjanę, która pracowała przedtem w rosyjskiej instytucji turystycznej, a tam personel miał zadania agenturalne. Przecież to jest dowód.

Macierewicz w 1992 ujawnił w Sejmie listę niezaweryfikowanych agentów. Jak to było z pana punktu widzenia?

– Byłem wtedy na wakacjach w naszym domku za Makowem Mazowieckim i przyjechał oficer. Powiedział, że Olszewski prosi, żebym natychmiast przyjechał, ważna sprawa państwową. Kiedy rozmawiałem z Janem, wszedł Macierewicz, ale na krótko. Jan mówił, że jest nagła sytuacja, powstała uchwała lustracyjna, ale nie może grupa ludzi weryfikować innych na podstawie esbekich materiałów bez żadnej kontroli. „Jesteś – mówi do mnie – przewodniczącym Trybunału Stanu, tam są przedstawiciele wszystkich partii, może wy byście podjęli się takiego zadania”. Mówię, że to patologia, mogę się zgodzić wyłącznie za zgodą Sejmu. Kilka dni potem Macierewicz wszystko ujawnił.

Dlaczego nie poczekał?

– Widać mu się spieszyło. Taki pan Woyciechowski też był w to bardzo zaangażowany.

Człowiek Macierewicza.

– Zgoda Sejmu przyszła, ale już po ujawnieniu list, więc powiedziałem: „No to ja już jestem wam niepotrzebny”. Byłem wtedy w Sejmie, roznosili te koperty z listami do szefów klubów. Jeden pan: „Ależ to było przed 56 rokiem!”. Bo i tacy na tych listach byli. A okres stalinizmu to nie była zabawa. Teraz sadzają ludzi, trzymają, warunki fatalne – ale wtedy bili, zrywali paznokcie. Nie wiem, czy ja bym wytrzymał. Przecież jeśli ktoś poszedł na współpracę przed 1956, to być może ten człowiek przez następne 50 lat zachowywał się bardzo porządnie.

Oczyszczony potem przez sąd Wiesław Chrzanowski, przyjaciel pana i Olszewskiego, też był na liście „agentów”.

– Ale to zrobił nie Jan, tylko Macierewicz. Wiesław w stalinizmie siedział sześć lat w więzieniu, jego matka strasznie to przeżyła. Gdy go potem ściągano na rozmowy, to nie kablował w żadnym razie, tylko uważał, że nie może odmówić rozmowy o świecie. Mówił mi: „Jakby mnie zatrzymali, to matka już tego nie przeżyje”. Gdy byłem u niego trzy tygodnie po śmierci jego matki, to mówiąc o niej, płakał.

Macierewicz zablokował uczciwą lustrację.

– Był wtedy moment, kiedy chciano postępowaniem lustracyjnym objąć nawet rajców gminnych, setki tysięcy osób, co już wskazywało na to, żeby lustracji nie było. Ale po ogłoszeniu listy próbowano to opanować, zlustrowano osoby na węzłowych stanowiskach publicznych, wszystkich sędziów, w tym mnie.

Macierewicza prawie nie znam, raz był u mnie w domu. Błyskawicznie miał zdanie na każdy temat, bardzo inteligentny. Ale nie wiem, dlaczego ma aż tak wysoką pozycję u Kaczyńskiego. Może wie o nim więcej, niż Kaczyński by chciał. To, co zrobił w MON, to była katastrofa. Ktoś mógłby powiedzieć, że nie odbyło się to bez zleceń z zewnątrz. Co do Jarka Kaczyńskiego, poza informacją, że spotykał się z agentem KGB, nie mam żadnych spostrzeżeń – prócz tego, że konstytucję łamie świadomie. Nie czuję wobec niego nienawiści. W pewnym sensie mu współczuję. Bo jak porównam jego życie i moje, to o ile moje jest bogatsze. Kochana i kochająca żona, dzieci, wnuki, jeden prawnuk, przyjaciele, i to tacy nie za pieniądze, nie za stanowiska. On – samotny.

Jako dziecko też byłem kochany. Gdy mama urodziła trojaczki, to bardzo dużo zajmował się nami ojciec. Tomka nosił całe noce, bo lekarze kazali. Na mnie wołał „Dasiu”, bo na ojca, też Adama, mówiono „Dado”. A siostrę naszą Teresę rozpieszczal najbardziej, nazywał ją „trąbuś-bąbuś”.

GDYBYM MÓGŁ POWĘDROWAĆ OD RAZU W CZTERY STRONY

Jak kobiety wtedy rodziły trojaczki?

– Nikt nie wiedział, ile nas będzie, ale widać było, że nie jest to ciąża pojedyncza. Oj-

ciec się bał, więc mama urodziła w prywatnej klinice, którą ojciec długie lata sponował. Ja miałem półtora kilo, brat jeszcze słabszy, siostra silniejsza. My dwaj długo byliśmy chuderławi, drobni, słabi, ale przyszedł czas, kiedy chodziliśmy po górach i formą przekraczaliśmy rówieśników. Ja urodziłem się pierwszy, więc mówili, że jestem najstarszy – dodawałem, że też najmądrzejszy. Irytowałem bliźnich, bo zdania były bardzo podzielone.

Mama była bibliotekarką, pierwsza wojna przerwała jej studia polonistyczne, ojciec był adwokatem. Podobno zrezygnował dla nas z kariery politycznej. Był zwolennikiem tzw. endecji profesorskiej, to była endecja demokratyczna, a Tadeusza Bieleckiego – w dzieciństwie tylko to nazwisko słyszałem – krytykował. Powtarzał: iść razem to nie znaczy maszerować nogą w nogę. Krytycznie patrzył na te nacjonalistyczne zakręty.

Pamiętam święto 3 Maja, szwadron ulanów z otokami żółtymi, pomarańczowymi, amarantowymi, chłopcy malowani. I jak mój ojciec został rano poinformowany o śmierci Piłsudskiego przez naszą nianię, która się skądś dowiedziała. Mieszkała z nami cioteczna siostra z Pomorza, była w harcerstwie – i oni już wtedy szykowali się do wojny. Ćwiczyli łańcuch alarmo-

Mamy jeszcze tylko jedną izbę w SN, Izbę Pracy i Ubezpieczeń Społecznych, która składa się z sędziów prawidłowo wybranych

wy, wieczorem przyszła do niej koleżanka, Basia miała iść z informacją dalej. Ale ojciec się sprzeciwił, wieczorami panienki nie chodziły po mieście. Ona: wuju, muszę. To znalazł kogoś, kto siedział za nią i pilnował. Dopiero w czasie powstania kobiety włożyły spodnie.

Czym pan się bawił jako dziecko?

– Żołnierzykami ołowianymi, dostaliśmy ich całe pudło po kuzynie Krzysiu, byliśmy zachwyceni, mieliśmy armatki, którymi się strzelało na groch. Przed samą wojną dostaliśmy od ojca jesionowy luk, na końcu strzały miał czubki od pocisków. Mama się zdenerwowała, a ojciec mówi: spróbuję. Mieliśmy długi korytarz, do drzwi przybił książkę telefoniczną – i to było jak wystrzał z karabinu. Dostaliśmy też samolotki nakreśnane na gumkę, który sam startował, wspaniały. Misia Długonoska dotąd mam w szufladzie, leży wśród czubków karabinowych, które z kolei uzbieraaliśmy z bratem w 1945 pod Falkowicami.

W czasie okupacji paliłem, do 13. roku życia. Papierosów nie było, ale ojciec miał tytoń, gilzę i maszynkę, którą się napychało gilżę tytoniem. I myśmy z kolegą Moskaiewiczem, który mieszkał piętro niżej, palili na klatce schodowej takie papierosy. Aż przyszło Boże Narodzenie, zebrała się rodzina, ojciec wyciąga papierosy i nas częstuje: proszę bardzo. Tak nas ośmieszył, że palenie się skończyło.

Pierwsza miłość?

– A, proszę pani... Tuż przed powstaniem zainteresowała nas z bratem dziewczyna, którą nazwaliśmy Bereciarka, bo nosiła beret.

Razem z bratem zakochaliście się w jednej dziewczynie?

– Później trzech nas było. Zamieszkał u nas starszy nieco chłopiec z siostrą i matką, bo jego ojca aresztowali, i wszyscy trzej łowiliśmy Bereciarkę. Jesteśmy w parku Ujazdowskim, ona się ogląda, widzi, że za nią idziemy. Mija parę minut, a zaraz idziemy naprzeciwko niej, bośmy szybko pobiegli naokoło. W końcu ten chłopiec i brat przedstawili się jej na ulicy, ja nie miałem tyle śmiałości, patrzyłem z oddali.

Potem pojechaliśmy na wakacje do Milanówka i wybuchło powstanie. Nie wiem, czy przeżyła, miała na imię Teresa, nazwisko niemiecko brzmiące. Bo oni jej się przedstawili z imienia i nazwiska. Niedawno byłem na ślubie mojej wnuczki i tam inna moja wnuczka przyszła z młodym człowiekiem, który przedstawił mi się: Janek, jak to teraz na ogół młodzież robi. Czy dzisiaj młodzi w ogóle znają swoje nazwiska?

Niech pan opowie o jakimś szaleństwie z młodości.

– Proszę pani, myśmy z bratem chodzili na nadzwyczaj ciekawe rekolekcje ojca Ziei do kościoła św. Anny.

Panie profesorze...

– Wracaliśmy większą grupą i bawiliśmy się w zgnieł jajo. Szliśmy ulicą, trzymając się pod rękę – i teraz, czy samochód się zatrzyma,

ne ich buty się nie mieściłem, więc miałem swoje trepki, jak to się mówiło. Ogoliłem się, one mnie podmaalowały. I, proszę pani, jeden z tych dwóch kolegów wziął mnie pod pachę, ruszamy. Wysypało się towarzystwo ze szkoły dla dorosłych, jakoś przeszedłem, ale zaraz idzie wąską uliczką oficer i dwóch żołnierzy z karabinami. Z nerwów, że takie dziwowisko zobaczę, potraściłem tego oficera, a on do mnie: przepraszam panią. Dużo śmiechu było. Czwarta czy piąta rano, wracamy. W tramwaju tylko motorniczy, ja i ze mną jeden kolega. Biust zlikwidowałem, ale ciągle byłem w sukience – więc ten motorniczy co popatrzył, to splunął.

Co pana w życiu ominęło?

– Nigdy nie miałem porządných lyżew, porządných nart, nigdy nie miałem samochodu, chociaż za tym nie tęskniłem, za rowerem z napędem to tak. I nigdy nie znalazłem się na żagłowie. Raz jedną zobaczyłem w sklepie sportowym na Waryńskiego, właściwie kajacek z drążkiem stabilizującym i żagielki. Akurat dostałem nagrodę za pracę doktorską, 6 tys. zł, a tyle kosztowała. Przyszedłem do domu, a Zosia, że ma pozytywny wynik ciążowy. Uznałem, że poza dyskusją jest, na co pójdzie nagroda.

A najładniejsze miejsca?

– Dawno temu byłem z dziećmi – to musiał być początek lat 70., bo jeszcze były małe – i z przyjaciółmi w Falkowicach, które w PRL tylko we fragmencie należały do mojej rodziny. Robiliśmy wyprawy rowerowe. Raz trafiliśmy do Lipnicy Murowanej. Był tam drewniany kościółek pod olbrzymim dębem. Zajrzeliśmy, pokręciliśmy się, patrzę, za ołtarzem taki niby-słup z drewna – to Światowid przecież, bóg pogański z czterema twarzami. No to lecę z tym do znajomej docent z UJ, a ona: „Co pan opowiada, znam całe województwo, niemożliwe”. Ale to odkrycie we mnie siedziało. Dwa lata temu byłem z przyjaciółmi w kurorcie w pobliżu. Nie wytrzymałem, pojechaliśmy. Zbliżamy się, a przed kościółkiem tablica po polsku i angielsku, że znajduje się tu zabytek – oto Światowid. Zapłaciliśmy za bilety. W środku wszystko, jak kiedyś było. Tylko doszły opisy, że kościółek zbudowano na miejscu słowiańskiej gontyny. Taka moja satysfakcja.

Strasznie chciałem też być jeszcze na Hali Łabowskiej w Beskidzie Sądeckim. Raz w życiu tamtędy szedłem, ze 20 lat miałem. Wysoka polana, góry, mam ciągle w oczach piękne widoki. Gdybym tylko mógł sobie powędrować, najlepiej od razu w cztery strony. ●

Prof. Adam Strzembosz

• ur. w 1930 r., prawnik, sędzia, profesor nauk prawnych. W 1980 założyciel, a w 1981 przewodniczący KZ „Solidarności” w Ministerstwie Sprawiedliwości. W latach 1989-90 wiceminister sprawiedliwości w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, w latach 1990-98 pierwszy prezes Sądu Najwyższego i przewodniczący Trybunału Stanu. Autor ponad 100 publikacji naukowych i kilku książek, m.in. „Sędziowie warszawscy w czasie próby 1981-1988” (razem z Marią Stanowską) i rodowodu „Wiek XX we wspomnieniach Strzemboszków”. W 2017 r. ukazał się z nim wywiad rzeka „Między prawem i sprawiedliwością” przeprowadzony przez Stanisława Zakroczymskiego. Odznaczony m.in. Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski i Orderem Orła Białego

Czyli o szaleństwach nic pan nie powie?

– Zaprosił mnie kiedyś z kolegami przyjaciel krakowianin, który miał dwie stare ciotki, właścicielki małego domku w Bronowicach, i mówi: tylko przyjdźcie bez kobiet. Mój brat wrócił już po dwóch latach studiów na specjalizację archiwistyczną do Warszawy, ja mieszkalem w pokoju na stacji z dwoma studentami. Właścicielka miała trzy córki, panny Gautier. Dostałem od nich czarną suknię, wypchały mnie w białcie, na głowę dały kapelusz z woalką, tylko w żąd-

Indeks Sołtysa Lubelszczyzny

Elito! Te wybory pokażą, czy przez te osiem lat nauczyłaś się nie gardzić. Suwerenem, moherem i innymi.

Marcin Matczak



Pewnie się zastanawiacie, kto wygra te wybory. Wobec wielkich niewiadomych stosuje się różne triki – na przykład kiedyś wyniki meczów reprezentacji Niemiec w pilce nożnej przewidywała ośmiornica Paul, wybierając między dwoma pudełkami małży oznaczonymi flagami odpowiednich drużyn. Nie będzie jednak Niemiec organizował nam akwarium, więc ja proponuję użyć Sołtysa Lubelszczyzny, by przewidzieć wynik polskich wyborów.

Chodzi mi o postać znaną z mediów społecznościowych, bohatera krótkich filmów ukazujących kogoś, kogo zarozumiały elity nazywają Polakiem burakiem: prostego człowieka ze wsi, który raz występuje jako gość na weselu wykonujący „taniec wuja” w rozchelstanej koszuli z krótkim rękawem, a innym razem siedzi na grillu i je kielbasę ręką, maczając ją w słoiku musztardy. Jeszcze innym pyta żonę, jaki krawat ma ubrać na procesję Bożego Ciała, bo został wybrany do niesienia baldachimu nad Najświętszym Sakramentem („Matko Boska, co za zaszczyt mnie kopnął”), a ostatnio wyjechał do Turcji na wakacje „ol ekskjuzmi” i wyklóca się z ratownikiem, że on nie po to tyle płacił, żeby się teraz jakąś czerwoną flagą na plaży przejmować i do wody nie wchodzić. Wszystko to prześmiewcze, wypowiedziane ze wschodnim akcentem („Dajta spokój, kto to widział?”). Nowoczesna forma kabaretu.

Jest Sołtys Lubelszczyzny stereotypowym obrazem człowieka prostego, który nosi w głowie przeciętny przedstawiciel elity. I jest Sołtys sumą wszystkich strachów fajnopolaka. Wstydzi się Sołtysa fajnopolak na wakacjach, wstydzi się na weselu, wstydzi się, gdy spotka za granicą. A Sołtys ten wstyd podskórnie czuje. I potem się mści przy urnie za swoje mentalne krzywdy, głosując na tego polityka, który jest do Sołtysa najbardziej podobny. Bo ma dość tej pogardy: że nie czyta, że śmierdzi w tramwaju, bierze 500+ i klaszcze po wyładowaniu samolotu.

Dlatego indeks Sołtysa Lubelszczyzny chcę zaproponować: im więcej w waszej głowie będzie Sołtysa jako obrazu człowieka prostego, tym pewniej PiS te wybory wygra. Im Sołtysa będzie mniej, tym większe szanse, że PiS uda się pogonić.

Silą władzy populistycznej jest to, że jest swojska albo swojską udaje. Mówią, że Trump specjalnie nosi te długie do kolan krawaty i chodzi w rozpiętej marynarce, żeby wuja z wesela bardziej przypominać. Że jak polityk PiS jest źle ubrany, ma śmieszny wąsik i kokietuje brzuskiem, to łatwiej się z nim przeciętnemu Polakowi utożsamiać. Ta dość skuteczna politycznie swojskość populistów jest w rzeczywistości ich sprytną zemstą za Sołtysa Lubelszczyzny. Jest karą dla fajnopolaków za to, że tak pogardliwie o prostych ludziach myślą.

Elito! Te wybory pokażą, czy przez te osiem lat nauczyłaś się nie gardzić. Suwe-

renem, moherem i innymi. Czy umiesz w Sołtysie dostrzec mądrość praktycznego człowieka, doświadczenie życiowe, zdrową nieufność wobec nowinek. Czy umiesz religijność Sołtysa tolerować, a nie wyśmiewać. Na moje oko nie umiesz – jesteś za specjalna na to. Za specjalny jest znany dziennikarz, który gardzi nawet przedsiębiorcą, bo ten sprzedaje z sukcesem wyposażenie łazienek, co dziennikarzowi kojarzy się wyłącznie kłocznie. Za specjalny jest wybitny aktor, który prowadził pijany, ale nie ma sobie nic do zarzucenia. Gdybym więc dziś miał oceniać szanse wyborcze na podstawie indeksu Sołtysa Lubelszczyzny, to myślę, że opozycja je przegra. Bo osiem lat może okazać się dla naszych elit zbyt krótką pokutą za trzydzieści lat pogardy.

Wbrew temu, co mówią umoralniacze, nihilizm wartości widać u nas przede wszystkim nie w sprawach gender, aborcji czy w sprawie etyki seksualnej. Widać go w grzechu pychy, która elitarnemu fajnopolakowi każe czuć się lepszym od Sołtysa. Bo nie śmiejemy się do rozpuku, oglądając konta parodiujące tego wybitnego dziennikarza i tego wybitnego aktora. Śmiejemy się z „prostactwa”. A jak fajnopolak śmieje się z Sołtysa, to potem Sołtys śmieje się z fajnopolaka. My gardzimy wami, wy gardzicie nami. I tak się tu powoli żyje na tej wsi.

W efekcie Sołtys popiera PiS, który zakłada nam megakonto społecznościowe parodiujące fajnopolaków – nazywa się TVP. Ono też jest sumą wszystkich strachów elity: najpierw disco polo, potem msza, następnie dożynki i nieszpory. Wszystko, czego się fajnopolak wstydzi i czym nie chce być, ładuje mu się do głowy łopatą. Biczuje się go tą swojskością, drażni tandetą odpustu.

Przy dyskusji o katolickiej spowiedzi napisałem, że nie ma współcześnie żadnych instytucjonalnych mechanizmów kontroli pychy i ograniczania ego. Spowiedź katolicka wymaga, by na głos wypowiedzieć całe zło, którego człowiek się dopuścił. Wypowiedzieć po to, żeby nie zamieszać go pod dywan i nie poczuć się specjalnym. Myliłem się jednak – jest taki mechanizm. Najskuteczniej ogranicza pychę mechanizm wyborów, które wygrywa Sołtys Lubelszczyzny. A potem przez kolejne cztery lata w telewizji publicznej wypowiada na głos wszystkie grzechy fajnopolaka.

Bo to między innymi wasza pogarda wobec człowieka prostego umożliwia rozmaitym idiotom pozować na Sołtysa: chodzić w za długim krawacie, wywijać na parkiecie z babcią, kłęczeć na Jasnej Górze. To pogarda dla „suwerena”, który według fajnopolaka jest kiepski, jak Ferdynand z serialu, i przy którym łatwo poczuć się lepszym, gadając o słomie, która mu z butów wychodzi, o łupieżu, krzywych zębach i źle skrojonym garniturze. A potem Sołtys idzie na wybory i odczuwa satysfakcję podobną do tej, jaką odczuwali widzowie egzekucji w rewolucyjnej Francji, gdy ich panom, którzy też nimi gardzili, obcinano głowy. Wtedy robiono to gilotyną, dzisiaj robi się to kartą do głosowania.

W wielkanocnym odcinku Sołtys Lubelszczyzny postanowił, że ze szwagrem Zbyszkciem założy partię. Bo, jak mówi, jest u nas potrzebna „taka konkretna partia z jajem”. Ma się nazywać Polacy Polakom. Warto zapytać: „Polacy Polakom co”? „Polacy Polakom wilkiem”, „Polacy Polakom zgotowali ten los” czy „Polacy Polakom oka nie wykołą”? To, jak rozwinięcie tę nazwę, może zdecydować o wynikach tych wyborów. Zdecydujcie więc dobrze.

PO PRAWDZIE

Obywatelu, nie masz już prywatności

Panie prezesie Kaczyński, czy jeśli skreślę parę krytycznych słów o panu, pańskiej partii, pańskim rządzie, pańskich podwładnych, to każe pan mnie sprawdzić? Np. poprzez moich lekarzy, na co mnie leczą i jakie recepty mi wystawiają?

Agnieszka Kublik



Proszę nie protestować, że przecież minister Niedzielski został we wtorek odwołany za to, co uczynił dr. Piotrowi Pisule. Bo przecież Niedzielski nie zapłacił dymisją za to, że z zemsty ujawnił, jakie leki lekarz sobie przepisuje (czym zresztą nie obalili zarzutów lekarza, że nie dało się wystawiać recept dla chorych, bo wystawienie recepty na siebie rządzi się innymi prawami). Musiał się pożegnać z rządem, bo sygnął władzę PiS, że ma dostęp do narzędzia umożliwiającego lustrację każdego lekarza, jego recepty i choroby jego pacjentów i że z niego korzysta, kiedy chce.

Czy dziennikarze, którzy patrzą władzy na ręce (to sens ich istnienia), będą publicznie upokarzani ujawnianiem informacji z ich życia?

Lekarze? Prawnicy? Nauczyciele? Naukowcy? Urzędnicy? Ktokolwiek, kto będzie się czepiał władzy w słusznej sprawie?

Ci, którzy protestują i piętnują skandale PiS?

Komu ufać, skoro nie można nikomu?

Mam pełne prawo tak myśleć, bo ta władza mnie nauczyła, do czego jest zdolna.

Bo fakty są na przykład takie. W grudniu 2020 r. TVP Info ujawniło, że Marta Lempart zrobiła test covidowy i że jest zarażona wirusem. Reżimowa telewizja atakowała ją zarzutami, że świadomie zarażała innych (KRRiT tę telewizję rozgrzeszyła). Lempart pytała wtedy publicznie: „I teraz pytanie za 100 punktów – jak bezpieczne są w Polsce dane o stanie zdrowia wszystkich osób poddających się państwowemu testowi na koronawirusa, skoro funkcjonariusze PiS udający dziennikarzy dowolnie je sobie biorą z państwowej bazy? I bez kozery publikują?”.

Lempart właśnie dostała odpowiedź od Niedzielskiego – wcale nie są bezpieczne.

W grudniu 2021 r. dowiedzieliśmy się, że PiS Pegasusem – to superbroń przeciwko terrorystom do totalnej inwigilacji – śledził Krzysztofa Brejzę, i to w trakcie kampanii wyborczej, kiedy Brejza kierował sztabem PO. Potem wyszło na jaw, że i mecenas Roman Giertych był śledzony Pegasusem, a nawet i prokurator Ewa Wrzosek.

9 stycznia tego roku agenci CBA weszli do prywatnego gabinetu ginekologicznego. Ba, oni się tam wdarli w trakcie przyjmowania pacjentek. Zabrali całą dokumentację medyczną: historie chorób i leczenia z prawie 30 lat. Dlaczego, skoro ta dokumentacja nie była objęta prokurator-skim śledztwem? Po co śledczym dostęp do intymnych informacji o pacjentkach, ciążach, chorobach, poronieniach? Jakim prawem wreszcie prokurator trzymał te dokumenty blisko dwa miesiące, przez co utrudniał leczenie?

Sąd uznał, że agenci CBA nie mieli prawa zabierać wszystkich kart medycznych, bo nie było do tego podstaw. Ale zabrali.

Wiosną tego roku „Wyborcza” ujawniła, że goście hotelu Courtyard by Marriott Warsaw Airport, zarządzanego przez państwową spółkę Polski Holding Hotelowy, są inwigilowani. Wiadomo, że o gościach informacje przekazywano PiS, np. o spotkaniu polityków PO ze Światłą Cichanowską (opozycyjną kandydatką na prezydenta Białorusi) we wrześniu 2020 r. Po prostu wyszło na jaw, że w hotelach zarządzanych przez Polski Holding Hotelowy służby specjalne inwigilują gości dla PiS.

Gdy niedawno wybuchła sprawa Joanny z Krakowa, policja, by się bronić przed zarzutami, że potraktowała załamaną nerwowo kobietę jak przestępcę (bo potraktowała, kazała jej się rozebrać do naga, kucać i kaszleć), ujawniła dane wrażliwe Joanny. Na konferencji prasowej policja puściła fragment zgłoszenia na numer alarmowy 112! I to sam gen. Jarosław Szymczyk, komendant główny policji, upublicznił nagranie rozmowy psychiatry z dyspozytorem.

Nasze dane nie są bezpieczne. My nie jesteśmy bezpieczni.

Panie prezesie Kaczyński, prawo do prywatności jest naszym fundamentalnym, konstytucyjnym prawem. O czym, nie wątpię, pan wie. Ale wykorzystał pan naszą prywatność do swojej walki, pogwałcił nasze prawa. By wygrać.

Tak się przegrywa.

wyborcza

magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;

ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielinski
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska
WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



SOLDAT SZUKA ŻONY

Z patriotycznymi i niesłowiańskimi dziewczynami nie piszę, i tak się nie zrozumiemy

Dana Żarkowa

Pod koniec 2010 roku aplikacje randkowe stały się dla Rosjan najpopularniejszym narzędziem do znalezienia partnera czy partnerki. Ich rozkwit nie trwał jednak długo.

Najpierw świat pogrążył się w pandemii i izolacji, potem Rosja zaatakowała Ukrainę. Od 24 lutego 2022 kwestia stosunku do wojny jest najważniejszym pytaniem przed pierwszą randką.

Od niedawna boję się rozmawiać z mężczyznami, którzy tu zostali. To nie jest fajne, bo nie wyjechałam i staram się jakoś ułożyć swoje życie osobiste w Rosji. Ten tekst nie jest o miłości, tylko o wojnie i absurdzie. Jeśli ktoś chciał poczytać o miłości, to przepraszam.

Myśląc o moim represjonowanym dziadku i czytając książki o Gulagu, zdałam sobie sprawę, że moją strategią przetrwania w nieznośnych warunkach może być zakochanie się. W kimkolwiek i nawet bez wzajemności, tylko po to, by pozostać człowiekiem, by obudzić się po coś rano. Mimo wszystko bycie zakochanym czyni nas trochę lepszymi.

W praktyce miłość nie jest łatwa do zorganizowania. Nie ma na nią „skutecznych metod”, jak to ujmują poradniki, nie przyciągają jej dobre uczynki i niekończące się wycieczki do zatłoczonych miejsc. Zwłaszcza teraz, gdy wielu facetów wyjechało z kraju, a inni poszli na wojnę lub wspierają to, co się dzieje z kanapy, której nie chcesz z nimi dzielić. Stało się nie tylko ważne, ale wręcz niezbędne, aby poznać poglądy potencjalnego partnera, nawet jeśli miałby być jednorazową przygodą.

Można próbować znaleźć miłość na serwisach randkowych – lecz spędziłam dziesiątki godzin na bezsensownej korespondencji na kilku portalach i w aplikacjach, a koniec końców przez półtora roku byłam tylko na dwóch randkach. A oto dlaczego.

„Będę cię kochać jak moją Ojczyznę, a różną jak wroga ludu” – to nie wagnerowska przyśpiewka, ale część opisu z prawdziwego profilu na Pure (dla

szczęśliwie niewtajemniczonych – aplikacja do anonimowego poszukiwania partnera seksualnego), który sprawia, że masz ochotę wyrzucić telefon przez okno i schować się pod kołdrę. Tinder właśnie opuścił Rosję, choć na najpopularniejszej w Rosji stronie z ogłoszeniami, Avito.ru, można już znaleźć takie reklamy:

„Tinder działa w Rosji, pomogę Ci przywrócić konto i wykupić subskrypcję na dowolny okres Tinder Gold. Aktywacja zajmuje dwie minuty. Dostępne Boosty i Superlike'i”.

Mówią, że ludzie sprzedają swoje konta na Tinderze razem z matchami – czyli dopasowaniami potencjalnych partnerów dokonanyymi przez algorytm, bo nowe się nie tworzą, a w ten sposób można przynajmniej wybrać kogoś z matchów innych ludzi.

Przeglądałam zdjęcia na jednym z rosyjskich serwisów, który ma zastąpić Tindera: facet w mundurze stoi oboma nogami na dwóch czołgach. Inny tańczy w okopie w kominar-



ce. „Drogie Panie, pomóżcie zrelaksować się wojskowemu!”, „Potencjalny wojskowy szuka żony, znajdź się, proszę”.

Wcześniej wystarczyło wyeliminować dziwaków, seksistów i inceli, teraz

jest to niemożliwe. Niektórzy przebywają w strefie działań wojennych, inni właśnie wrócili. Jeśli istnieją specjalne serwisy randkowe, gdzie można poznać wojskowych, chciałabym, aby istniały również takie, na których na pewno na nich nie trafię.

W noc po buncie Prigożyna przypadkiem poznałam się na portalu randkowym z wagnerowcem, który brał w nim udział. Niby nic strasznego, zwykły facet, który nigdzie na profilu nie miał słowa o służbie.

Napisał „cześć” z konta o nazwie Szeff Rosji. Żartobliwie zapytałam: „Szeff Rosji? To może wyjaśnisz, co się wczoraj, do cholery, wydarzyło?”. I wyjaśnił. Wrzucił też zdjęcia w wagnerowskim mundurze. Według niego „wszystko jest jasne”, „Łukaszenka to czysta formalność”, „negocjacje poszły dobrze”, powiedział, że dostaną nową broń i będą dalej walczyć. „Myślisz, że powiedzą ci prawdę?” – tak, on tak uważa.

Po służbie za zarobione pieniądze chłopak chce otworzyć salon fryzjerski w swoim mieście. Tak naprawdę powinien obcinać włosy, a nie walczyć. Chudy i wysoki, w bluzie z kapturem i raperskich spodniach, z modnym jeżem i pieskiem. Na policzkach ma namalowane serduszka. Po cholere tam poszedłeś? „Poszedłem wesprzeć tatę”. Dołącza zdjęcie ojca, napompowanego wojskowego.

Uwaga, ortografia i interpunkcja anonsów oryginalna:

NIKON, 24 LATA:

Szukam żony jestem wojskowym teraz na wakacjach za 3 miesiące wracam do Afryki na pół roku.

PATRIOT, 26:

Nie lubię dużo mówić! Niech czyny mężczyzny mówią za niego! O sobie: Nie charakteryzuje się i nie mówię o sobie dobrze. Z zewnątrz widać, ile jestem naprawdę wart. W przyjaźni między mężczyzną a kobietą nie wierzę!

Niedobrze mi na myśl o współczesnym świecie, który tonie w ignorancji i w swojej obrzydliwości, i jeśli nie jesteś mentalnie ze świata dobrych ludzi z dobrych czasów ZSRR, nie mamy o czym rozmawiać! Nie dawaj like'a, jeśli ci się nudzi i nie masz ochoty pogadać! Nie jestem tu po to, żeby zaspokoić twoją nudę! I tak! Nie jestem komunistą!

FOT. YURI KADOBNOV / AFP



Wojna wkradła się wszędzie i każdy facet na ulicy może być jej uczestnikiem. W zeszły weekend poszłam do knajpy, żeby coś zjeść. Uroczy, wyta-
tuowany barman z uśmiechem zapro-
sił mnie na randkę. „No dobra”, powie-
działam. „Jeśli się nie boisz”. Zostawiłam
mu numer, on pisze: „Kurde, w tym ty-
godniu wyjeżdżam w długą podróż służ-
bową, może umówimy się wcześniej?”.
Co to za podróż służbowa barmana, my-
śle sobie. „Na jak długo?” – pytam już ze
złym przeczcuciem.
Odpowiedź: „Od sześciu do ośmiu
miesięcy”. I zdaję sobie sprawę z tego, że
on tam jedzie. Pytam go wprost, prosi,
żebym nie poruszała tematu telefonicz-
nie. Myślę sobie: czy jestem jego ostatnią
randką przed wojną? Czy powinnam za-
bronić mu jechać, znienawidzić go czy
pójść z nim z antropologicznego i dzien-
nikarskiego interesu? Czy powinnam go
zniechęcać? Czy powinnam go nagrać? Po-
winnam go pocałować? Powinnam
go uderzyć? Podczas gdy rozmyślałam,
zniknął. Najwyraźniej pojechał.
Zabiega o mnie konstruktor rakiet, fa-
cet ze sceny muzycznej, który przyniósł
mi niedawno trochę kradzionego mięsa.
Jaki kraj, tacy inżynierowie. Nie odma-
wiam teraz jedzenia, ale odmawiam ta-
kim zalotnikom. Koleżanka spotyka się
z inżynierem obrony powietrznej, bardzo
modny, miły facet. Zarywało do mnie kil-
ku pracowników rosyjskich kanałów te-

lewizyjnych. W barze zagadał do mnie
mizerny facet w okularach – okazało się,
że produkuje drony. Po prostu nie wiem,
co robić. Z dziewczynami, które znam,
przynajmniej dzielimy się naszymi histo-
riami, naszymi lifehackami i naszym ból-
em.

LIST PIERWSZY: Moja koleżanka Limit

Niedawno urwał mi się kontakt z moją
najlepszą przyjaciółką, która wciąż jest
mi bardzo bliska. Byłyśmy naprawdę ży-
te, spędzałam z nią dużo czasu. Kiedy za-
częła się wojna, pomieszkowałam u niej,
czasem zostawałam na tygodnie. Całko-
wicie mnie akceptowała: z całym moim
ból, z całą moją bezbronnością.
Miała problemy, zmieniała chłopaków
jak rękawiczki. To znaczy, miała ciągłą
potrzebę bycia w centrum uwagi i uma-
wiania się na randki. Przygodne rand-
ki same w sobie nie są problemem, pro-
blemem jest próba odnalezienia ciepła
w niemożliwych okolicznościach. Zmie-
niając chłopaków, nie zaspokajała tej po-
trzeby do końca i szukała od nowa, źle jej
z tym było i chciała z tym skończyć, ale
nie mogła.

Pod koniec maja poszłyśmy na sztukę
„Zulejka otwiera oczy”. W tej historii bo-
haterka zakochuje się w swoim nadzor-
cy w obozie i staje przed dylematem mo-

ralnym: w pewnym sensie zdradza zmar-
łego męża i swoją wiarę, ale nie może nic
z tym zrobić. Bardzo przeżyłam tę szt-
kę, płakałam. Moja przyjaciółka posta-
nowiła podzielić się wrażeniami i powie-
działa, że czuje to samo. Wiedziałam już,
że tydzień temu pojawił się nowy chł-
pak. Czułam, że z jakiegoś powodu nie
chciała ze mną o nim rozmawiać, cho-
ciaż wcześniej chętnie dzieliła się szcze-
gółami związków. Wracając z przedsta-
wienia, powiedziała mi, że jej nowy chł-
pak przyjechał na „wizytę” czy coś w tym
rodzaju (oni tak to nazywają), z Ukra-
iny i był wojskowym, radiooperatorem.
W tym momencie zdałam sobie sprawę,
że dzieje się coś strasznego.

Powiedziała mi, że weszła do jego sy-
pialni i zobaczyła wojskową kurtkę. Ale
nie była jaką, miała wiele naszywek.
Z ukraińską flagą i szewronami Sił Zbroj-

LIST DRUGI: Moja przyjaciółka Natalie

Jeśli widziałam na tinderze jakieś wypo-
wiedzi, jakieś Z na awatarach lub „Chwa-
ła wojnie” w opisie – od razu odrzuca-
łam. Ale ogólnie ludzie wydawali się neu-
tralni, a dla mnie bardzo ważne było, że-
by wyczuć, po której są stronie. Tylko py-
tanie wprost wydawało się trochę dziw-
ne.

Więc podczas rozmowy zaczynasz
gdzieś mimochodem rzucać: „czasy są
trudne”, a sposób, w jaki dana osoba od-
powiada, sprawia, że zaczynasz powo-
li rozumieć, podkreślasz temat. Dowiadu-
jesz się, że chodził na wiece czy coś – tyle
wystarczy, już wiesz, że jest spoko.

Niektórym pisałam, że wydaję jakieś
książki, że ukazała się książka opozycjo-
nisty i czekałam, jak na to zareagują.

NIKOLAJ, 26 LAT

Inżynier budownictwa, zainteresowania: mi-
krokontrolery, fotografia, wędkarstwo, radio-
technika, gry typu EU4, factorio i rimworld.
Piję, palę, przeklinam, zmotywowany, od-
powiedzialny, z dużym poczuciem humoru,
trzeźwo patrzący na otoczenie, introwertyk,
SLI (Gaben ISTP).

Nie lubię tych wszystkich LGBT Friendly
bzdur (ale lesbijskie porno na zawsze w moim
sercu) i zwolenników sekciarskiego klubu o la-
maniu osobistych granic i uważności.

Kocham Putina i popieram jego politykę.
Nie stawiam przecinków.

nych Ukrainy. Zapytała: co to jest? Powie-
dział, że to kurtka zabrana zamordowa-
nemu Ukraińcowi. Te naszywki, zabra-
ne innym zamordowanym, naszył wła-
snymi rękami na kurtkę innego zamor-
dowanego.

Ona mi to mówi, a ja myślę: dokąd
mam ją, kurwa, zabrać? Do którego ko-
ścioła, do którego księdza? Co? Co z nią
robić? Jaki terapeuta? Jak ją uratować,
jak ją teraz z tego wyciągnąć? I tak w kół-
ko.

Trochę ją to zawstydziło, ale... No wła-
śnie, nawet z punktu widzenia logiki for-
malnej: dorosły mężczyzna, który był na
wojnie, nawet jeśli był radiooperatorem,
może rzeczywiście nikogo nie zabił go-
łymi rękami, ale się do tego przyczynił,
więc tak czy inaczej jest mordercą.

A do tego w swojej sypialni, w widocz-
nym miejscu, na kurtkę wojskową z na-
szywkami zabitych ludzi, które kolekcjo-
nuje, z których jest oczywiście dumny.
Ten człowiek jest chory! To psychopata!
Jeśli ma taki system w głowie, nie jesteś
z nim bezpieczna.

Ale ona nadal się z nim spotykała.

To mnie zniszczyło, ta przyjaciółka by-
ła dla mnie bardzo bliską osobą. Myślę,
że żyłyśmy się z powodu wojny, wspól-
nego bólu. Czułam, że kiedy o tym roz-
mawialiśmy, zgadzałyśmy się ze sobą.
Chyba nigdy nie przeżyłam takiego roz-
czarowania.

Siergiej, 26 lat: Lubię podróżować. Ro-
manty. Mam wiele hobby i zaintereso-
wań. Wojskowy.

Szukam odpowiedniej. W TEJ CHWI-
LI NA WOJNIE, więc przez najbliższe
pół roku nie pójdziemy na spacer. Ale je-
śli poczekaasz, sprawię, że będziesz szczę-
śliwa.

Witalik, 30: Starszy Gibon. Uprawiam
mieszane sztuki walki, więc mogę cię
obronić, a w razie czego i rozwalić łeb.

W zasadzie mogę wyróżnić trzy ka-
tegorie. Pierwsza to byli zetnicy. Z nimi
wszystko jest jasne.

Druga – ludzie neutralni. Umówiłam
się z jednym, o zgrozo, 25 lutego. Zapla-
nowaliśmy to z wyprzedzeniem, wojna
się zaczęła, ale finalnie się spotkaliśmy
i mówię mu: masakra, a on na to: tak, ale
nie gadajmy o tym, po prostu wszyscy
o tym mówią i to dla mnie ciężkie.

Trzecia to ludzie, z którymi bezpo-
średnio omawiałam niektóre wydarze-
nia, na przykład ludzie, którzy wspiera-
li Nawalnego. Znaleźli we mnie pokrew-
ną duszę, mówili: „Moi rodzice mnie nie
wspierają, jest mi ciężko, nie mam z kim
o tym porozmawiać i fajnie, że mogę po-
rozmawiać o tym z tobą”.

Obecnie spotykam się z facetem, któ-
rego poznałam na Tinderze i mamy bar-
dzo podobne poglądy, wyczuliśmy to od
razu. Potem na pierwszej randce utwier-
dziłam się w przekonaniu, że jest profe-
ministą, że jest przeciwko wojnie, więc
generalnie wszystkie ważne punkty zo-
stały odhaczone, i pomyślałam: super, to
teraz możemy się przespać.

Dobromir, 27 lat: Cechy charakteru:
przyswoitość, odwaga, rozważa, stanow-
czość, sprawiedliwość, optymizm.

Zainteresowania: sztuki walki, zdro-
wie, masaż, sporty siłowe, broń, archi-
tektura drewniana.

Szukam: dziewczyny do 27 lat, na po-
czątek rozmowa, a dalej się zobaczy. Pre-
feruję zaradne, cierpliwe, spokojne i mą-
dre dziewczyny z tradycyjnymi warto-
ściami. Z patriotycznymi i niesłowiań-
skimi dziewczynami nie piszę, i tak się
nie rozumiemy.



Moje ostatnie randki miały miejsce podczas
mobilizacji: wtedy wszyscy, których znałam,

zdawali się wariować, a ja chodziłam po centrum jak pijana. Bary były pełne ludzi, ciche zakątki pełne płaczących kobiet lub przystojnych mężczyzn z waliszkami. Ogólnie wszyscy mężczyźni stali się niezwykle przystojni na te kilka tygodni.

Chybałam się jak wszyscy i w tym trudnym momencie postanowiłam, że pójdę na randkę z najfajniejszym facetem w mieście, musiałam tylko dowiedzieć się, kim on jest. Ogłaszam casting na Instagramie, dostaję kilka nieśmiałych zgłoszeń. Pewnego wieczoru, wciąż nie dokonawszy ostatecznego wyboru, jem kolację w pobliskiej knajpce. Naprzeciwko siedzi przystojny aktor filmowy, o szerokich ramionach i kręconych włosach – tak przystojny, że aż nie w moim typie. Spogląda w moją stronę i pisze coś w notatniku. Łagodnym głosem prosi o papierosa i wychodzimy, by zapalić razem.

Po raz pierwszy w życiu robię coś takiego, jestem pewna, że wcześniej nie odważyłabym się na tak głupią rzecz: pi-szę swój numer telefonu na papierosie, zostawiam mu go i wychodzę. Pięć minut później dostaję wiadomość na WhatsAppie z konta biznesowego. Okazuje się, że jest uczestnikiem spirytualistycznego programu „Bitwa psychików”. To mógł być najfajniejszy facet w mieście, ale nasza randka była okropna. Znudzily mnie jego narcystyczne opowieści i myślę, że w odwecie dosypał mi czegoś do bezalkoholowego piwa.

Niedługo wcześniej rozstałam się ze swoim chłopakiem, bo wyjeżdżał do Kazachstanu. Jednak w końcu nie pojechał i wrócił do mnie kilka dni później z niesamowitą propozycją. Przede mną był u swojej pierwszej bylej, ale ona się nie zgodziła, bo jej mama umierała i musiała się nią opiekować. Moja mama już umarła, więc teraz składał tę propozycję mi: że-bym pojechała z nim do Argentyny i pomogła mu przerzucić tam jego pieniądze.

Rozczarowana wątpliwą moralnością niektórych wyjeżdżających mężczyzn spotykałam się jeden po drugim z tymi, którzy podjęli decyzję o pozostaniu. Byli wniebowzięci: „w końcu coś się ruszyło”, „jakaś zmiana”, której tak bardzo pragnęli. Widzieli heroizm w tym, że zostają. I że obserwują, bo na front się nie rwali.

Zasłyszana rozmowa znajomych chłopa-ków: „Pomyśl o tym, jak fajnie będzie, kiedy jacyś tam faceci umrą, a my przeżyjemy. Ale szczerze mówiąc, czasami la-pię się na szalonej myśli: może powin-niśmy tam pojechać”. „Tak, nawet ja tak czuję” – odpowiada drugi. – „Ale po raz pierwszy zrobiłem sobie manicure. Zde-cydowałem, że w takiej chwili muszę być tak piękny, jak to tylko możliwe”.

„Przecież będą nas później pytać, gdzie byliśmy”. – „To nic”, odpowiada ten z manicure’em, „wymyślimy coś w Photoshopie”. Ten drugi, śmiejąc się, mówi: „Ale wyobraź sobie, poszedłeś raz i masz taki szok na całe życie, że możesz się nim lansować do późnej starości!”.

Wielu antywojennych facetów, któ-rych znam, poważnie zaczęło myśleć, że pójście na wojnę nie byłoby takim złym pomysłem. W końcu „nadałoby to sens ich życiu”. Jednak nie spotkałam ani jed-nej kobiety myślącej w ten sposób. War-tość życia, jego ochrona, jego nieskom-plikowany bieg – wszystkie te rzeczy są dla nas sto razy ważniejsze. A te dzie-ciaki z siusiakami i karabinami maszy-nowymi, których kochałyśmy, z którymi nasze dziewczyny rodziły dzieci, marzą o „lansowaniu się”.

Ale skąd bierze się to pragnienie woj-ny? Czy nie stąd, że mężczyźni w Rosji nie byli w stanie zbudować normalne-go życia, osiągnąć czegoś, walczyć teraz o tę normalność, uciekając albo przynaj-mniej siedząc na tyłku? „Tak” – odpowia-dają mi niektórzy – „właśnie dlatego. Dla-tego że nam się nie udało”.

Myślę, że to genialne. Sprawić, że lu-dzie będą tak zmęczeni gonitwą za nie-

osiągalnym dobrobytem, że z radością zrezygnują z tej pieprzonej pogoni i po prostu oddadzą się śmierci. Cały kraj młodych i starych ludzi wyniszczonych przez to dziwne pragnienie.



Problem z obecnym randkowaniem nie po-lega na tym, że można przypadkiem wpaść na wojskowego czy patriotę na Tinderze. Jest znacznie bardziej złożony. I w specyfice wy-chowania, i w infantylizmie, i w socjalizacji plciowej. Krótko mówiąc, okazuje się, że cho-dzi o mężczyzn w ogóle.

Nienawidzimy mężczyzn, bo to oni rozpętali wojnę, a teraz stąd uciekają, zo-stawiając swoje kobiety w pustych miesz-kaniach, by zajmowały się sprawami, do-

„Wywoziłam już setki takich, żegna-łam takich swoich. Po co nam oni? Boże, fajnie byłoby być lesbijką”.

„Może spodoba nam się bez nich. My-ślę, że może być fajnie bez naszych mę-żów”.

Przez te półtora roku słyszałam z ust kobiet pod adresem mężczyzn: „sflaczeli” dziesiątki razy.

LIST TRZECI: Moja przyjaciółka Alisa

Od półtora roku w zasadzie nie prakty-kuję randkowania. Wcześniej praktyko-wałam je bardzo aktywnie, spędziłam na randkowaniu prawdopodobnie trzy la-ta mojego życia. W większości były to ne-

SŁAWA, 30 LAT:
Ech, jak bardzo pragnę chudej, bladej,
niezbyt wysokiej, dziewicy, nieuczesanej,
z chudymi dłońmi, małymi stopami,
sińcami pod oczami, rozczochronymi lub
nieułożonymi włosami, nieumalowanej,
poturbowanej, frajerki bez przyjaciół
i koleżanek, zamkniętej socjofobki,
jednocześnie marzącej o tym, by
ktoś bliski wszedł do jej świata, ale
w miarę możliwości niczego nie zepsuł,
by razem z nią odizolować się od
nieprzyjemnego społeczeństwa.

kumentami, podtrzymywaniem kultural-nego wizerunku i pieprzonego ogniska domowego, które wkrótce trzeba będzie rozpałać książkami i fortepianami.

Wraz z historykiem z jednego z por-tali randkowych siedzimy na patio dru-giego dnia mobilizacji. Para bardzo pew-nych siebie Kaukazów podchodzi do wej-scia z jakimiś papierami. Dzwonią domo-fonem: „Znasz Siergieja?”.

„Macie dla niego wezwanie?” – pytam spokojnie. Odpowiadają: „Chcemy po-móc”.

Gdy tylko wchodzą do środka, mówię do historyka: „Chodźmy stąd!”.

Nasza randka kończy się niewinnie. Proszę go, by czuwał nad moim snem w nieprzyjemnym, ogromnym mieszkaniu, które moi przyjaciele musieli po-spiesznie opuścić, by uciec z kraju, a ja opiekuję się ich kotem. Śpimy jak dzieci, po przeciwnych stronach łóżka, czasem padając sobie w ramiona. Podjęliśmy ry-zyko, ponieważ w ogóle się nie znali-śmy, ale już powiedzieliśmy sobie rzeczy, których nie powinniśmy mówić obcym, więc teraz możemy spokojnie spać.

Kilka dni później obserwuję piękne, silne, odnoszące sukcesy kobiety w su-kienkach palące papierosy na balkonie. To przyjeździe urodzinowe, na którym nie ma mężczyzn: odeszli. Ich miejsce zajęły małe pieski.

„Faceci się posypali”.

„Besztali nas za to, że chodzimy na te-rapię, za nasze codzienne życie i lęki, ale okazało się, że nie są w ogóle przystoso-wani do życia, są splukani, nie potrafią sobie nawet kupić biletów”.

gatywne doświadczenia, czasem neu-tralne, bardzo rzadko dobre. Zauważy-łam, że mężczyźni chcieli rozwiązać wie-le osobistych problemów poprzez kobie-ty. Oczekiwano ode mnie ciągłej obsługi emocjonalnej: empatii, inicjatywy, uwagi i niekończącego się zaangażowania. Na-tomiast sami nie mieli mi nic do zaofero-wania – nawet paczki ciastek ani nawet kontaktów seksualnych. To zawsze była bardzo jednostronna transakcja.

Kiedy wybuchła wojna, zaobserwowa-łam potworną, zniekształconą dynami-kę płci. Mężczyźni zostali masowo spa-ralizowani, a kobiety zaczęły rozwiązy-wać problemy za siebie, za tego faceta i za wszystkich innych. Zauważyłam to na początku wojny, szczególnie podczas mobilizacji i na moich oczach doszło do wielu bardzo paskudnych obrazów i bar-dzo paskudnych rozstań, które odczyta-łam jako szalony infantylizm i niechęć do rozwiązywania jakichkolwiek proble-mów.

Teraz jestem w Erywanii. Kiedy roz-poczęła się mobilizacja, przyjechało tu wielu mężczyzn, spakowanych przez swoje kobiety. Chodzili na randki ze sta-tusem „to skomplikowane”, chociaż nie było w tym nic skomplikowanego: ich kobiety zostały w Rosji, a oni byli tu-taj wolni.

Całkiem sporo mężczyzn, którzy byli w związkach, jednocześnie będąc w ob-cym mieście, siedzieli na Tinderze i niko-mu o tym nie mówili.

Inną rzeczą, która doprowadza mnie do szalu, jest ilość wysiłku, jaki trzeba te-raz włożyć, aby związek przetrwał. W sy-

tuacji stabilnej możliwe jest, moim zda-niem, utrzymanie pewnych, nie wiem, poliamorycznych lub szarych stref rela-cji, kiedy masz materialną pewność, kie-dy wyrażasz siebie, kiedy masz przyja-ciół, ale kiedy nie masz już żadnej z tych rzeczy, kiedy jesteś w innym kraju i ktoś przychodzi do ciebie ze słowami „nie wiem, czego chcę” lub „co będzie, to bę-dzie” – to nie jest coś, na co chcesz po-święcać czas.

Wojna najlepiej pokazuje, na ile da-ny człowiek jest gotowy wziąć odpowie-dzialność za siebie i swoich bliskich.

Uważam, że brak równowagi między ro-syjskimi mężczyznami i kobietami jest absolutnie katastrofalny.

Widziałam, jak dziewczyna ciężko ha-ruje w pracy, w domu pada z nóg ze zmę-czenia i depresji, a koleś wacha, pije, pali, uprawia seks z kimkolwiek – mają prze-rwę, więc może. To jest poniżej wszel-kiej krytyki.

Wojna pokazała, że generalnie każdy jest dla siebie. Owszem, jakaś mniejszość może wykonać ogromną pracę nad sobą i swoim związkiem, ale znam tylko kilku takich mężczyzn.

Sama nie zaczęłam randkować, bo zdałam sobie sprawę, że zaczęłabym roz-wiązywać swoje problemy egzystencjal-ne, szukając nowych związków, wysyła-jąc ludziom sprzeczne sygnały, nie wie-dząc, jak potoczy się moja przyszłość.

Wygoda, seks, podnoszenie samooce-ny, flirtowanie – to wszystko jest oczy-wiście dobre, ale w niezdrowej sytuacji, w niestabilnym środowisku politycz-nym, w niepewnym życiu to rozprasza-nie uwagi. To jak oglądanie seriali na Ti-tanicu: można, owszem, ale Titanic na-dal będzie tonął.

Friends with benefits na płonącym wulkanie to nie dla mnie, latanie od oso-by do osoby też nie, nie działa także seks, który, wydaje mi się, nie działa też u wie-lu. Większość osób, z którymi rozmawia-łam przez ostatnie półtora roku, mówi, że ma bardzo duże problemy z seksem albo daje się ponieść nimfomanii, albo wręcz przeciwnie.

Randkowanie w takiej niezdrowej at-mosferze to zgoda na rozgrzebywanie cudzych problemów i równa się z by-ciem wykorzystanym.

Zastrzegam, mam 36 lat, jestem doro-sła, od dawna jestem mężatką, mam mo-nogamiczne podejście, jestem heteronor-matywną kobietą cisplciową i oczywi-ście w wielu kwestiach mam bardzo tra-dycyjne spojrzenie na rodzinę. Dla mnie rodzina to twoja armia, z którą wspólnie odbijasz te pioruny i chowasz się przed przeciwnościami losu, a dom to bez-pieczna przystań.

Moim zdaniem to właśnie sfera rela-cji pękała w szwach w tym roku tak sa-mo jak wszelkiego rodzaju karty kredy-towe Swift.

Kończąc korespondencję z Sze-fem Rosji, piszę:

„Widzisz, nie lubię ostatniej litery al-fabetu łacińskiego”.

Nie rozumie od razu, ale mówi: „A na-wet jeśli odejdę stamtąd za 26 dni?”.

„Cóż, twoje poglądy nie zmieniają się w ciągu 26 dni”, odpowiadam mu.

Po namyśle pisze: „Cóż, ja też chciał-bym, żeby to się szybko skończyło”.

Amir, 32 lata: Czy ty przypadkiem nie jesteś „Szczęśliwą Rosją Przyszłości”? Więc dlatego tak bardzo cię pragnę? ●

Przełożyła **Patrycja Eiduka**

W Rosji zamknięto wszystkie wolne media, mimo to redakcja Holodu nadal pracuje. Dziennikarze i redaktorzy portalu zwracają się z prośbą do polskich czytelników o wsparcie. Przelewu można dokonać tutaj: [Holod.media/donat](https://holod.media/donat)

A JA i tak SIĘ CIESZĘ

Jeśli jesteś osobą postępuową, nie możesz cieszyć się godami ropuchy i pieśnią kosa.
Powinniśmy być stale niezadowoleni

George Orwell



Przed jaskółkami, przed żonkili i krótko po pierwszych przebiśnięgach na powitanie wiosny wychodzą ropuchy szare: wygrzebują się z płytkich jam, w których tkwiły od zeszłej jesieni, i ciągną ile sił w zdrętwiałych łapkach do najbliższych sadzawek.

Cokolwiek wyrwało je z zimowego snu – czy to poruszenie w glebie, czy wyższa o kilka stopni temperatura – najwyraźniej nie budzi wszystkich drzemających w ziemi płazów z tego gatunku; niektóre przesypiają ten budzik, by pozostać w ukryciu do następnej wiosny. Nieraz zdarzyło mi się wykopać żywą ropuchę w środku lata.

Po tej długiej głodówce samiec ropuchy przybiera prawdziwie uduchowiony wygląd, niby pobożny anglikatolik pod koniec Wielkiego Postu. Każdy ruch wykonuje ospale, acz z rozmysłem, a jego oczy, w kontraście do skurczonego ciała, stają się nienaturalnie wielkie. Dzięki temu można dostrzec to, co w innych okolicznościach mogłoby nam umknąć: ropusze oko jest bodaj najpiękniejsze ze wszystkich. Przypomina brylkę złota czy raczej ów złocisty kamień półszlachetny osadzany niekiedy w sygnetach i nazywany, o ile się nie mylę, chryzoberylem.

Przez pierwszych kilka dni po wejściu do wody ropuchy nabierają sił, polując na małe owady. Po osiągnięciu swych zwykłych rozmiarów poświęcają się intensywnym godom. Samiec ropuchy ma wówczas jeden cel: złapać się czegoś i nie puszczać. Jeśli podsunąć mu patyczek lub nawet palec, uczepli się go z zaskakującą siłą i dopiero po dłuższej chwili zorientuje się, że to nie samica. Często można napotkać kotłujące się w wodzie bezładne skupiska 10 lub 20 ropuch, kurczowo trzymających się jedna drugiej bez względu na płeć.

Stopniowo jednak płazy dobierają się w pary, a każdy samiec zajmuje swoje miejsce na grzbiecie samicy. Łatwo wtedy rozpoznać płeć poszczególnych osobników, gdyż samce są mniejsze, ciemniej ubarwione i siedzą na samicach, przednimi łapkami chwytając je pod szyją. Dzień lub dwa później samice składają skrzek, je-

go długie sznurki wiją się pomiędzy trzcinami i wkrótce stają się zupełnie niewidoczne. Po kilku kolejnych tygodniach w wodzie roi się od malutkich kijanek, które rosną jak na drożdżach, wykształcając kończyny – najpierw tylne, potem przednie – i zrzucają ogony. Aż w połowie lata kolejne pokolenie ropuch szarych, mniejszych od paznokcia, ale w pełni rozwiniętych, wychodzi na brzeg, aby rozpocząć cały cykl od nowa.

Wspominam o ropuszych godach, ponieważ jest to jedno z tych wiosennych zjawisk, które najbardziej do mnie przemawiają, a także dlatego, że w przeciwieństwie do skowronka czy pierwiosnka poeci nie zwykli zaszczycać ropuchy swoją uwagą. Wiem jednak, że płazów ani gadów zwykle nie darzy się szczególną sympatią, toteż nie twierdzę, że zainteresowanie ropuchami jest niezbędne do cieszenia się wiosną; wszak ta pora roku przynosi nam także krokusy, śpiew paszkiota, kukanie kukulki, kwitnącą tarninę oraz wiele innych uciech.

Rzecz w tym, że korzystać może z nich każdy – za darmo. Wiosna obwieszcza swoją obecność nawet w najbardziej opuszczonej okolicy, choćby poprzez jasny błękit nieba przezierającego pomiędzy kominami czy żywą zielenią dzikiego bzu wyrastającego w leju po bombie. To doprawdy niesamowite, jak natura zapuszcza swoje korzenie w samym sercu Londynu, istniejąc tam poniekąd nieoficjalnie. Swego czasu dojrzałem pustulkę krążącą nad gazownią w Deptford, a na Euston Road mogłem wysłuchać pierwszorzędnego koncertu kosa. W promieniu czterech mil żyją pewnie setki tysięcy, jak nie miliony ptaków i żaden z nich, co stwierdzam z niemalą satysfakcją, nie płaci ani pensa czynszu.

Co do wiosny, niepostrzeżenie wkrada się ona nawet w wąskie, ponure uliczki dookoła Banku Anglii; wsłuka w każde miejsce, jak jeden z tych nowych gazów bojowych, które przenikają przez wszystkie filtry.

Często mówi się o „cudzie wiosny”, a w ubiegłych pięciu czy sześciu latach ta wyświechtana metafora nabrała nowego znaczenia. Po ostatnich srogich zimach wiosna jawi się jako prawdziwe misterium, gdyż z roku na rok coraz trudniej jest wierzyć w jej nadejście. Każdego lutego od 1940 roku dopada mnie myśl, że tym razem zima nie odpuści. Lecz Persefona, jak owe ropuchy, zawsze powstaje z martwych mniej więcej w tym samym momencie: pod koniec marca moja dzielnica rozpadających się ruder nagle ulega cudownej przemianie. Rosnące na placu okopcone li-gustry nabierają soczystej zieleni, kasztanowce obrastają w bujne korony, pojawiają

się żonkile, rozkwitają laki, policyjne uniformy przybierają odcień milego dla oka granatu, sprzedawcy ryb witają klientów uśmiechem, nawet wróble zmieniają kolor swojego upierzenia, odważywszy się, zachęczone ciepłą pogodą, zażyć pierwszej od zeszłego września kąpieli.

Czy czerpanie przyjemności z wiosny oraz sezonowych zmian uznać należy za niegodziwość? A ściślej rzecz ujmując, czy politycznie karygodne jest – kiedy wszyscy jęczymy pod jarzmem kapitalizmu, a w każdym razie jęczeć powinniśmy – podkreślanie, że życie nieraz staje się bardziej znośne dzięki pieśni kosa, wiąsom obsypanym w październiku złotem czy innym zjawiskom naturalnym, które nie kosztują nas nic i pozbawione są tego, co lewicowi publicyści zwykli nazywać „aspektem klasowym”?

Bez wątpienia nie brak ludzi, którzy tak myślą. Umieszczając w artykułach przychylnie wzmianki na temat Natury, zawsze narażam się na listy od oburzonych czytelników. I choć zwykle pada w nich zarzut sentymentalizmu, dają one wyraz dwóm splecionym poglądom. Pierwszy głosi, że odczuwanie przyjemności z życia prowadzi do swego rodzaju politycznego kwietyzmu. Powinniśmy zatem być stale niezadowoleni, a naszym obowiązkiem jest podnosić własne oczekiwania, zamiast doszukiwać się większej radości w tym, co już mamy.

Zgodnie z drugim żyjemy obecnie w epoce maszyn, toteż uprzedzenie do nich czy wręcz chęć ograniczenia ich hegemonii są wstecznictwem, reakcjonizmem, a poniekąd także zwykłą głupotą. Argument ten zwykle podpira konstatacja, iż miłość do Natury to słabostka mieszkańców miast, którzy nie mają bladego pojęcia, czym tak naprawdę jest Natura. Ludzie prawdziwie przywiązani do ziemi rzekomo ani jej nie wielbią, ani nie przejawiają najmniejszego choćby zainteresowania ptakami czy kwiatami, wyjąwszy pobudki czysto pragmatyczne. Ten tylko może kochać wieś, kto odwiedza ją jedynie na weekendy w cieplejszych porach roku, a na co dzień mieszka w mieście.

Ów ostatni pogląd jest jawnie fałszywy. Literatura średniowieczna, w tym popularne ballady, dostarcza niezliczonych przykładów niemal georgiańskiego rozmiłowania w Naturze, a motywem przewodnim w sztuce ludowej, na przykład japońskiej czy chińskiej, jest właśnie przyroda i jej składniki: drzewa, ptaki, kwiaty, rzeki i góry.

Pozostałe twierdzenia zasadzają się na bardziej subtelnych błędach. O ile rzeczywistość powinniśmy wyrażać niezadowolenie z otaczającej nas rzeczywistości, zamiast wchodzić w rolę niepoprawnego optymisty, to jaka czeka nas przyszłość, je-

śli zabijemy w sobie wszelką przyjemność z życia? Skoro nie można cieszyć się z powrotu wiosny, to po co w ogóle dążyć do stworzenia wolnej od harówki utopii? Jakie szczęście w niej odnajdziemy? Na co mielibyśmy przeznaczyć cały ten wolny czas wygospodarowany dla nas przez maszynę?

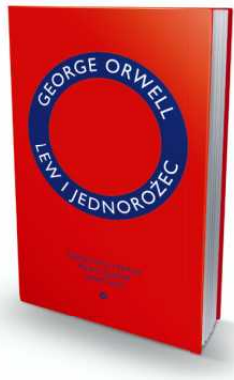
Podaję, że jeśli nasze problemy gospodarcze i polityczne kiedykolwiek do-czekają się rozwiązania, życie stanie się prostsze, lecz bardziej złożone, a większego znaczenia nabierze przyjemność płynąca z natknięcia się na pierwszego pierwiosnka niż ta z jedzenia lodów przy dźwiękach szafy grającej. Pielęgnując w sobie dziecięce uwielbienie drzew, ryb, motyli, a także ropuch, zwiększamy szanse na spokojną, godną przyszłość; głosząc doktrynę stali i betonu, zwiększamy ryzyko, że nadmiar ludzkiej energii nie znajdzie innego ujścia, jak tylko w nienawiści i kulcie jednostki.

W każdym razie wiosna nadeszła, nawet w Londynie, i nikt nie może powstrzymać nas przed czerpaniem z niej przyjemności. Myśl ta potrafi podnieść na duchu. Ileż to razy obserwowałem ropusze gody bądź zajęczy boks na polach wschodzącej kukurydzy i myślałem sobie o wszystkich personach, które chętnie pozbawiłyby mnie tej przyjemności, gdyby tylko miały taką możliwość?

Na szczęście jednak nie mają. Dopóki nie jest się chorym, głodnym, przerażonym czy zamkniętym za murami więzienia bądź ośrodka wypoczynkowego, dopóty wiosna to wciąż wiosna. Choć w fabrykach piętrzą się stopy bomb atomowych, po ulicach panoszą się policja, a ze szczekaczek płynie strumień łgarstw, Ziemia nadal krąży wokół Słońca i ani dyktatorzy, ani biurokraci, mimo że jest to im solą w oku, nie mogą nic z tym zrobić. ●

Przetłóżył **Dawid Czech**

Tytuł oryginalny – „Kilka myśli o ropusze szarej”. Felieton w „Tribune” z 12 kwietnia 1946 roku, fragment właśnie wydanego w Polsce nakładem Karakteru zbioru najlepszych esejów Orwella „**Lew i jednorożec**”.



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

W południe 15 sierpnia Warszawa zobaczy największą w dziejach defiladę. We wtorek w Wesolej wicepremier Jarosław Kaczyński oraz szef MON Mariusz Błaszczak (na zdjęciu) mówili, że „silna, bialo-czerwona” armia jest gwarancją, że Polska jest bezpieczna. A defilada to podsumowanie dotychczasowych osiągnięć modernizacyjnych polskich sił zbrojnych. Z całej Polski jedzie do

Warszawy sprzęt, a z Wielkiej Brytanii leci pierwszy śmigłowiec AW 101. Będą czołgi Abrams, będą transportery Borsuk, nadlecia F-35, na razie w amerykańskich barwach.

MON z właściwym sobie poczuciem absurdu zaapelował, aby sprzętu, który mamy oglądać w Warszawie, nie fotografować!

To pierwsza defilada po przerwie pandemicznej i agresji rosyjskiej na Ukrainę. I w roku wyborczym! A PiS do defilad w roku wyborczym przywiązuje szczególną wagę. Cztery lata temu zorganizował aż dwie: 3 maja w Warszawie pod hasłem „Silni w sojuszach”, 15 sierpnia w Katowicach pod hasłem „Polsce wierni”. Z Katowic kandydował Mateusz Morawiecki. Wcześniej, 22 lipca, podczas wizyty premiera i ministra Błaszczaka w gliwickich zakładach Bumar-Łabędy, podpisana została umowa na remont 318 starych czołgów T-72 za 1,74 mld zł.

W tym roku, również w lipcu, premier znów odwiedził będący w tarapatach Bumar-Łabędy. Czołgi T-72 zamiast do modernizacji pojechały do Ukrainy. Nic to. Premier zapowiedział pracownikom, że choć z czołgami nie wyszło, to będą budować armatohaubice Krab – polski przebój zbrojeniowy sprawdzający się w Ukrainie. A Huta Stalowa Wola ma montować zamówione w Korei armatohaubice K9 Thunder.

Prawo i Sprawiedliwość jest pierwszym ugrupowaniem, które w III RP bez żenady łamie niepisaną umowę, że sprawy obronności i wojska są wyjęte z partyjnego sporu i stoją ponad walką wyborczą.

Przed, ale i po 2015 roku wszystkie partie zgodnie głosowały za rozwiązaniami, które wzmacniały armię. W 2001 roku za ustawą o finansowaniu i modernizacji sił zbrojnych autorstwa ówczesnego szefa MON Bronisława Komorowskiego z AWS. Wszystkie ugrupowania przyjęły opracowany przez AWS, ale kontynuowany przez SLD i PSL program koniecznych redukcji – likwidacji 71 garnizonów i wyprzedaży części majątku po to, aby armia nie przejadała pieniędzy, lecz się modernizowała. Polska była jednym z nielicznych krajów, który utrzymywał zasadę wydawania 2 proc. PKB na siły zbrojne (faktycznie były to sumy mniejsze). Sekretarze generalni NATO i prezydenci USA stawiali nas za wzór państwa, które armię rozwija, gdy inni swój potencjał zwijają. Za pieniądze zapisane w ustawie Komorowskiego minister Jerzy Szmajdziński i Janusz Zemke kupowali z USA samoloty F-16, podstawę naszego lotnictwa, oraz transportery Rosomak z Finlandii.

Za PO-PSL kupiliśmy używane leopardy II z Niemiec, które do dziś stanowią trzon sił pancernych, a także pociski NSM brońące wybrzeża. Tomasz Siemoniak szczylił się, że zostawił na biurku do podpisania kontrakty na zakup armatohaubic Krab, w których zastosowano koreańskie podwozie, moździerz Rak oraz 50 nowoczesnych śmigłowców Caracal. A nowelizacja ustawy o finansowaniu sił zbrojnych z 2013 roku podpisana w Szypliszkach, gdzie stoi natowski radar dalekiego zasięgu, miała zapewnić pieniądze na program obrony przeciwra-kietowej i przeciwlotniczej oparty na systemach Patriot, Narew i Pilica. Jeszcze w zeszłym roku w zgodzie i przy aprobachie całej opozycji przyjęto kluczową dla PiS ustawę „O obronie Ojczyzny”.



Święto Wojska Polskiego

ARMIA W KAMPAanii

Wojsko stało się wyborczym argumentem rządzących, że tylko oni potrafią zapewnić Polakom bezpieczeństwo. Żołnierze w tej medialnej wojnie zostali wzięci do niewoli. Służą za jej scenografię, a teraz dostali rozkaz - maszerować.

Paweł Wroński

To, że w obecnej kampanii kwestie bezpieczeństwa stały się kluczowe, jest zrozumiałe. Za wschodnią granicą trwa wojna, a Polska jest jej bezpośrednim zapleczem. Tyle że PiS postanowiło równocześnie przekonać obywateli, że w tej wojnie opozycja stoi nie po polskiej stronie, a jednym z jej sprawców jest Donald Tusk. W propagandzie PiS Tusk działał na rzecz Rosji albo Niemiec, a koalicja PO-PSL niszczyła siły zbrojne i polską suwerenność.

Równocześnie PiS w rozchwyanych czasach chce zaspokoić potrzebę bezpieczeństwa społeczeństwa, prezentując się w całej potęgę armii. Premier Morawiecki przebrany w zieloną koszulę à la Żelazny twierdzi, że gdyby rządziła PO, wagnerowcy z Białorusi doszliby do Warszawy, ale on na to nie pozwoli. Razem z Kaczyńskim głosi, że rządy PO mogły doprowadzić do rezi, jak w Buczy i Irpinu, bowiem – jak stwierdził prezes PiS w tygodniku „Sieci” – armia miała opuścić prawy brzeg Wisły i bronić się na lewym (nie przedstawił dowodów na istnienie takiej doktryny).

Wojsko stało się też ważnym argumentem gospodarczo-socjalnym władzy w odniesieniu do Polski lokalnej, zastępując po części słynne piankowe czekolady z poprzedniej kampanii. Politycy PiS podczas wystąpień prezentują kuriozalne tabelki o „620 rozwiązanych garnizonach” (wśród tych garnizonów są stacje paliwowe i jednostki, które tylko zmieniły nazwy). Porównują wydatki na wojsko z czasów PO-PSL z obec-

nymi, jakby inflacja nie istniała, a PKB pozostał niezmienny. Teraz PiS, przywracając garnizony, szczególnie w małych miejscowościach, gdzie wojsko jest jednym z większych pracodawców, kreuje się na rękę sprawiedliwości dziejowej: armia wróciła do Augustowa, Białej Podlaskiej, Limanowej – to dzięki rządowi PiS.

Czasem dochodzi do zabawnych nieporozumień. Premier Morawiecki, chcąc dopieć Tuskowi, który przyjechał do Ostródy, wezwał go do przeproszenia za to, że rozwiązano jednostkę w tym mieście. Okazało się, że decyzję w 2001 roku podjął Jerzy Szmajdziński, głosował za nią ówczesny poseł Jarosław Kaczyński, a PiS nie zmieniło jej w trakcie swoich rządów.

Z kolei Przemysław Czarnek, stając przed lubelskimi koszarami, stwierdził, że PO wprowadziło wojsko z Lublina, a PiS je tam z powrotem wprowadziło. Tyle że lubelską brygadę rozformował Aleksander Szczygło, szef MON z PiS, co przypominała miejscowa „Wyborcza”.

Propaganda PiS jest coraz bardziej nerwowa i brutalna. Politycy tej partii mają bowiem świadomość, że przekonanie społeczeństwa o tym, że choć może i nieudolnie rządzą, ciągną się za nimi afery, ale w sprawie tak kluczowej jak bezpieczeństwo sobie radzą, zostało podważone. Wątpliwości zagłuszy Orkiestra Reprezentacyjna Wojska Polskiego.

Przeświadczenie, że tylko PiS jest w stanie zapewnić Polakom bezpieczeństwo, rozwinęło się jednak 1 sierpnia wraz z łopotem wirników białoruskich śmigłowców

Mi-8 i Mi-24, które naruszyły naszą przestrzeń powietrzną. Wielkie wizje zderzyły się z brutalną rzeczywistością. Tym gorzej dla rządzących, że akurat politycy PiS z Morawieckim i Kaczyńskim na czele zaczęli straszyć Polaków setką wagnerowców idących na przesmyk suwalski.

Na pokładzie śmigłowców, które krążyły nad Białowieskim Parkiem Narodowym, mogło być około 30 żołnierzy, czyli pluton. Zapewne wylądowaliby przez nikogo niepokojeni i poszli na piwo do miejscowego baru.

Mieszkańców i turystów, którzy dzwoniли do służb, przekonywano, że mają przywidzenia. W pierwszym komunikacie siły zbrojne informowały, że, owszem, na granicy pojawiły się śmigłowce, ale strona polska była poinformowana o białoruskich ćwiczeniach, zaś przekroczenie granicy to złudzenie optyczne. Dopiero pod wieczór, gdy w internecie pojawiły się filmiki z granicy, MON przyznał, że śmigłowce wleciały do Polski. Informował, że leciały nisko, dlatego były niewykrywalne dla radarów (według świadków zniżyły się do wysokości kilkunastu metrów).

Zdarzenie, które w normalnych, niewojennych warunkach można byłoby nazwać incydentem, okazało się o tyle wyjątkowe, że obrazuje elementy, które składają się na problemy sił zbrojnych pod rządami Mariusza Błaszczaka. Najważniejszy z nim to zderzenie propagandowej fikcji z rzeczywistością. A ponadto:

1. Brak komunikacji między siłami zbrojnymi a ministerstwem.

2. Braki techniczne, które uniemożliwiają wykrycie obiektów lecących poniżej 100 m: nie ma odpowiedniego zwiadu satelitarnego (mimo podpisania umowy na udostępnienie dwóch francuskich satelitów nad polską granicą), brak precyzyjnego zwiadu lotniczego i samolotów wczesnego ostrzegania (nie mamy jeszcze dwóch używanych samolotów Saab 340 B zdolnych wykrywać cele na wysokości ok. 60 m).

3. Przypomniailo o niepodpisaniu wynegocjowanego już kontraktu na 50 wielozadaniowych francuskich śmigłowców Caracal, które bardziej nadawały się do patrolowania granicy niż stare W-3 Gluszec i archaiczne „czajniki” Mi-2.

Kluczowym pytaniem pozostaje: dlaczego siły zbrojne zawiadomione o białoruskich ćwiczeniach i przelocie śmigłowców nie były na to zupełnie przygotowane. Nie rozmieszczono choćby mobilnych zestawów radarowych i zestawów przeciwlotniczych Poprad, na których tle pozował podczas spotkania z prezydentem Litwy premier Morawiecki.

Odpowiedź optymistyczna, którą podpowiadają wojskowi, jest taka, że poprady znalazły się na konferencji premiera, bo tam były bardziej potrzebne niż na granicy polsko-

-białoruskiej. Złośliwi dodają, że wojsko zajęte przygotowaniem defilady i 70 piknikami w całej Polsce nie miało głowy do przelotu białoruskich śmigłowców.

Odpowiedź pesymistyczna: Białorusini wlecieli w naszą przestrzeń, a zarazem w przestrzeń NATO – bo mogli i wiedzieli, że nie roztawiono obrony przeciwlotniczej. Polska nie ma śmigłowców zdolnych przeciwstawić się Mi-24. Te, które mamy, po utracie resursu nie mają głównej broni – pocisków kierowanych.

14 października 2022 roku ówczesny wicepremier Błaszczak na propozycję tworzenia europejskiego systemu obrony przeciwlotniczej odpowiedział słynnym tweetem: „Zbudowaliśmy wielowarstwowy system obrony przeciwlotniczej. Mamy Pioruny, zestaw Pilica, małą Narew i Patrioty. Nasze niebo jest bezpieczne”.

W listopadzie na wieś Przewodów spadła najprawdopodobniej ukraińska rakietą, zginęły dwie osoby. Informację o tym wydarzeniu szybko podały media (głównie amerykańskie) niż MON. To dało się jeszcze wytłumaczyć, wszak należy ważyć oficjalne informacje, gdy w grę wchodzi konflikt światowy.

Po kolejnym miesiącu nad połową terytorium Polski przeleciał rosyjski pocisk manewrujący Ch-55, zdolny do przenoszenia broni jądrowej. Jego szczątki pod Bydgoszczą, w pobliżu najważniejszej w środkowej Europie fabryki trotylu, wykryli cywile.

Trudno zrozumieć, dlaczego minister Błaszczak – o czym poinformował oficjalnie – aż do kwietnia tego roku nic o rakiecie nie wiedział, i to mimo poderwania dyżurnych samolotów NATO (co świadczy o tym, że obiekt został dostrzeżony). I dlaczego nikt pocisku nie szukał?

Ch-55 to rosyjska kopia pierwszych amerykańskich pocisków Tomahawk. Według byłego inspektora wojsk powietrznych gen. Tomasza Drewniaka najprawdopodobniej nie miał wdrukowanej trasy, więc leciał po torze prostoliniowym. Nie jest łatwym celem dla przeciwlotników, ale powinien być wykryty i zidentyfikowany (ponoć pogoda była wówczas wyjątkowo niekorzystna).

W każdym z tych przypadków istotne było zachowanie szefa MON. Po eksplozji w Przewodowie minister Błaszczak z entuzjazmem przyjął ofertę Bundeswehry, by rozwinąć na granicy polsko-ukraińskiej baterię pocisków Patriot dla obrony wschodniej granicy NATO i mieszkańców Polski. Dzień później Jarosław Kaczyński stwierdził jednak, że niemieckie patrioty bardziej przydadzą się Ukrainie. Błaszczak zrobił zwrot i przyznał rację prezesowi, choć zdawał sobie sprawę, że chodziło mu nie o dobro Ukrainy, lecz wprowadzenie zachodniego sojusznika w kłopotliwe położenie. Zgoda Błaszczaka na patrioty psuła prezesowi antyniemiecką narrację. Dopiero interwencja prezydenta Andrzeja Dudy przerwała ten kontredans.

Błaszczak nie przyjechał jednak na powitanie baterii pod Zamość i do dziś nie powiedział „danke” 350 niemieckim przeciwlotnikom.

Po kompromitacji z rakieta pod Bydgoszczą szef MON kazał zbadać sprawy i sporządzić raport. Następnie poinformował, że swe obowiązki zaniebdał dowódca operacyjny sił zbrojnych gen. Tomasz Piotrowski. Błaszczak zapowiedział wyciągnięcie konsekwencji dyscyplinarnych i służbowych. Zachował się jak działacz partyjny chroniący swoje tyły. Prezydent Duda jego prośbę zignorował.

Podczas incydentu ze śmigłowcami minister Błaszczak po prostu zniknął. Wysłał jedynie mapkę ze zlikwidowanymi jednostkami obrony przeciwlotniczej za czasów rządu PO-PSL. Jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie.

We wszystkich kryzysowych sytuacjach minister wykazał zaangażowanie, siłę i determinację jedynie w obronie własnego stanowiska. Z obroną Polski nie idzie mu najlepiej.

Obecna ofensywa medialna PiS w sprawach obronności jest szansą dla ministra, którego pozycja „pierwszego po prezesie” została zachwiana.

PiS zapowiada uczynienie z Polski militarnej potęgi z najsilniejszą armią lądową w Europie. Po uchwaleniu ustawy „O obronie Ojczyzny” Mariusz Błaszczak zapowiedział budowę 300-tysięcznej armii, z czego 50 tys. będą stanowiły wojska obrony terytorialnej. Ma być wyposażona w ponad 1500 czołgów Abrams, K2 i Leopard, czyli więcej niż Francja i Niemcy mają razem, prawie 700 wyrzutni wieloprowadnicowych HIMARS i koreańskich Chunmoo, więcej niż Stany Zjednoczone, oraz 672 armatohaubic K9 w spolonizowanej wersji K9PL (mogą one zagrozić pozycji rynkowej lepszym technicznie AHS Krab). Do tego dojdą 32 samoloty wielozadaniowe F-35 oraz 96 śmigłowców AH-64E w najnowszej wersji Guardian. Będziemy mieli więcej wyrzutni i czołgów niż Niemcy i Francja razem.

Szef MON deklaruje, że osiągnięcie celu jest blisko, tylko oficjalnie MON danych nie podaje, a ich weryfikacja jest trudna. Błaszczak podkreśla, że Polska ma dziś 175 tys. żołnierzy „pod bronią”, natomiast w 2015 r., gdy prawica przejęła władzę, było ich tylko 95 tys. W przypadku rządów PO-PSL podawana jest jednak wyłącznie liczebność wojsk operacyjnych. Natomiast określenie „pod bronią” pozwala włączyć w statystyki formacje WOT, żołnierzy ochotniczej służby wojskowej, elewów uczelni, tzw. aktywną rezerwę, a nawet pracowników cywilnych wojska, którzy są zachęcani do zgłoszenia się do służby, by otrzymać dodatki.

Tomasz Dmitruk z „Dziennika Zbrojnego”, który stara się weryfikować słowa ministra, wyliczył, że liczba żołnierzy zawodowych wynosi obecnie około 118 tys., a łącznie z innymi formacjami, np. WOT – 164 tys.

Za czasów Błaszczaka sformowano 18. Dywizję Zmechanizowaną, choć krytycy wskazują, że jej znaczną część stanowią stare jednostki, na przykład 1. Brygada Pancerna. Minister zapowiada tworzenie dwóch kolejnych dywizji w środkowej Polsce, ale czy będą miały żołnierzy,

nie wiadomo. Nie do końca wiadomo też, w jaki sposób będą finansowane zakupy dla armii. Budżet MON w 2023 r. wynosi rekordowe 97,5 mld zł. Do tego dochodzi Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych oparty na obligacjach BGK.

Według informacji koreańskiej telewizji SBS, powołując się na pytanie zadane w parlamencie, Polska na zakup pierwszych 180 czołgów K2, 212 haubic samobieżnych K9, 48 samolotów szkolno-bojowych FA-50 i 218 wyrzutni rakietowych K239 zaciągnęła kredyt wysokości 76 mld zł. Inne źródła podają, że przekracza on 100 mld zł. Warunki zaciągniętej pożyczki pozostają nieznane zarówno dla posłów opozycji, jak i PiS. Problem spłaty kredytu spadnie na przyszły rząd i przede wszystkim na społeczeństwo. Jednak prezes Kaczyński zwykł mawiać: „lepiej być zadłużonym niż okupowanym”. Nie przedstawiono wycień, ile pochłonie utrzymanie tego sprzętu w gotowości i jednocześnie finansowanie 300-tysięcznej armii.

W siłach zbrojnych posypały się awanse generalskie – w tym roku będzie ich aż 21. Wojsko otrzymało podwyżki. Po czystkach wśród generalicji dokonanych przez Antoniego Macierewicza oficerowie z ulgą przyjęli bardziej finezyjną politykę kadrową ministra Błaszczaka. Oczywiście na wysokie stanowiska promowani są ludzie spełniający polityczne kryteria, ale szef MON nie przeprowadza masowych przesłańdowań. Wojskowi wiedzą, że kampania wyborcza szybko się skończy, a niesmak zostanie. Koledzy zapamiętają, kto „dawał tło” politykom. Zdają sobie sprawę, że politycy PiS nie biorą pod uwagę, że w przyszłości zwierchnikami generałów zostaną ludzie, których obecnie rządzący oskarżają o działanie na szkodę państwa albo wręcz o zdradę.

W garnizonie w Siedlcach 3 sierpnia Mariusz Błaszczak wygłosił obowiązkową tyradę o winach poprzedników i o tym, jak budował dywizję na zgłiszczach 1. Dywizji. Obok stał dowódca jednostki gen. Arkadiusz Szkutnik, doświadczony żołnierz z Iraku i Afganistanu. Generał rozglądał się niepewnie na boki.

Były szef BBN prof. Stanisław Koziej napisał na Twitterze, że zrobiło mu się przykro, widząc swego byłego studenta w takiej roli. I wyraził nadzieję, że kampania wyborcza nauczy dowódców, by takich sytuacji unikać. Reakcja na jego wpis świadczy, że chyba się myli. ●

CASA NOSTRA

Piękno niespodziewane

Dziel się niespodzianką, jaką była dla mnie wystawa Minerbiego, artysty, który zachwyił mnie, zaciekauił, onieśmiił.

Jarosław Mikołajewski

Arigo Minerbi... Czy ktoś o nim słyszał? Ja – ledwie, ledwie, gdzieś na marginesie Gabriela D’Annunzio, pisarza, który Minerbiego uwielbiał, a o którym też niewiele osób słyszało we współczesnej Polsce, choć był (D’Annunzio) autorem wielu powieści (ekranizowanych m.in. przez Luchina Viscontiego), arcysnobem, politykiem, narodowcem, estetą. Dużo by o nim mówić. Odwołuję się tu do niego jako do świadka artystycznej sławy Minerbiego, który wykonał m.in. maskę pośmiertną pisarza, obecną na trwającej wystawie w Zamku D’Este w Ferrarze.

Pisuję w tym moim włoskim felietonie „Casa nostra” (nasz wspólny dom) o polityce, społeczeństwie – najchętniej nie o tym, o czym można przeczytać w internecie. Tym razem chcę krótko wspomnieć o niespodziance, jaką była dla mnie wystawa Minerbiego, artysty, który zachwyił mnie, zaciekauił, onieśmiił. Zwyczajem dawnych czasopism (w rodzaju „Bluszczu”) było publikowanie przynajmniej wzmianek o ciekawych wystawach, które nie wszyscy mogli zobaczyć. Dziś niby można, ale mało kto korzysta z przywileju oglądania dzieł artystów o imionach znanych słabiej niż Caravaggio czy Leonardo.

Tytuł ekspozycji („il vero ideale” – „prawda idealna”) pochodzi z autodefinicji samego artysty: Moja sztuka, która zawsze jest owocem medytacji, ma tylko pozory prawdy. W rzeczywistości jest natomiast prawdą idealną, odległą od mięsa, które jest rozpadem (...). Mogę powiedzieć, że moja „prawda” jest zawsze „alegoryczna”, a moja „alegorię” z korzyścią obserwuje „Prawda”... Dobrze! Już choćby dla tych zdań warto było obejrzeć wystawę – że wprowadza w rzeźbiarskie myślenie, z którego wyrastają pięknie poszukujące dzieła, często na pograniczu arcydzieł.

Skutecznym zaproszeniem do Zamku Esteńskiego, na czasową wystawę, jest reklamujący ekspozycję relief: biała Wenus o współczesnej fryzurze w kształcie kasku, o delikatnie zarysowanych piersiach i podbrzuszu. Bo to ona wyznacza najwyższe aspiracje i możliwości artysty tęskniącego za największą czystością myśli uwiązanej w materię. A obok sylwetki – twarze. Wśród nich najpiękniejsza – Madonna ze Zwiastowania. Skutecznie konkurująca w wyobraźni tego, który patrzy, z dziewczyną z londyńskiego Zwiastowania Dantego Gabriela Rossettiego: obie spłoszone darem i obcą sobie świętością. U Rossettiego – wygnaną w obląkanie. U Minerbiego – w wychłodzenie. Takie są dwie twarze przerażenia czymś, co ma być większe od nas, a w rzeczywistości jest niepojęte. Niewiarygodne.

Pamiętając Rossettiego, patrząc równocześnie na ferraryczyka, łatwo wyobrazić sobie rozmowę dwóch dziewcząt, którym zdarzyło się coś podobnego, o czym nie da się powiedzieć nawet słowa.

Jest jeszcze coś nadzwyczajnego w rzeźbach Minerbiego zgromadzonych w Ferrarze: odkrycie nowoczesności w najczystszy bezruchu. Jest jego biała Madonna krewną czarnego pływaka Wilhelma Sasnala. Oboje zastygli w świętym bezruchu losu, nad którym nie mają władzy prócz tej, że bez względu na wszystko jeden musi być czarny, pływać i tonąć, a druga martwić we własnej bezradności.

Wystawa otwarta jest do 26 grudnia. Dziel jest bardzo dużo i nie mieszczą się w oficjalnej formule „pomiędzy klasycyzmem a liberty”.

Móglbym napisać dziś o pożarach na Sardynii, o kolejnych katastrofach morskich pod Lampedusą, o dramatach włoskich banków, lecz wolę o cudowności, która mnie zaskoczyła w drodze do domu. ●

W ŚRODĘ W „WYBORCZEJ”

Czarna Księga PiS

- Służba zdrowia, edukacja, prawa kobiet. Raport o demolce państwa.
- Jak próbują manipulować wynikiem wyborów.

DODATEK SPECJALNY



NASZA EUROPA

„The New York Times”:

CZARNE SCENARIUSZE

Morze Czarne, którego wybrzeża należą do Ukrainy, Rosji i trzech krajów NATO, długo pomijane w analizach militarnych, staje się coraz bardziej wybuchowym miejscem.

Marc Santora i Steven Erlanger

Rosyjskie okręty wojenne pływające po Morzu Czarnym stale wyrzucają pociski rakietowe na ukraińskie miasta i tworzą de facto blokadę tego akwenu, grożąc każdemu statkowi, który spróbuje ją naruszyć.

Z kolei udoskonalane ukraińskie drony morskie regularnie przedostają się do rosyjskich portów i uderzają w statki. Samoloty obserwacyjne i drony NATO latają nad wodami międzynarodowymi, zbierając dane wywiadowcze wykorzystywane do odparcia inwazji Moskwy, mimo że Rosja dominuje w powietrzu nad wschodnią Ukrainą.

Morze Czarne, którego wybrzeża należą do Ukrainy, Rosji i trzech krajów NATO, długo pomijane w analizach militarnych, staje się coraz bardziej wybuchowym miejscem – zwłaszcza po decyzji Moskwy z zeszłego miesiąca o zerwaniu umowy zapewniającej bezpieczny morski transport ukraińskiego zboża.

To na tym akwenie Rosja i kraje NATO stoją naprzeciw siebie w bliskości, która nie zachodzi w innych teatrach tej wojny, co radykalnie zwiększa ryzyko konfrontacji. „Morze Czarne jest teraz strefą konfliktu – strefą wojny tak samo istotną dla NATO jak np. zachodnia Ukraina” – mówi Ivo Daalder, były amerykański ambasador przy NATO, który obecnie prowadzi Chicago Council on Global Affairs.

Po wycofaniu się z umowy zbożowej Rosja zaatakowała ukraińskie porty na Morzu Czarnym, aby utrudnić kluczowy dla ukraińskiej gospodarki transport zboża, a nawet uderzyła w cele w delcie Dunaju, tuż obok granicy z Rumunią, członkiem NATO; atak nasilił obawy, że Sojusz może zostać wciągnięty w konflikt.

Ukraina odpowiedziała w zeszłym tygodniu dwoma atakami na rosyjskie statki – demonstrując nowy, sięgający setek kilometrów zasięg rażenia swoich dronów morskich. Wydała również ostrzeżenie, że sześć rosyjskich portów na Morzu Czarnym i podejścia do nich będą od teraz do odwołania uważane za obszary „ryzyka wojennego”.

„Musimy bronić własnego wybrzeża, zaczynając od ataku na wybrzeże wroga” – powiedział w maju dowódca ukraińskiej marynarki kontradmirał Ołeksij Nejiżpapa, opowiadając się za bardziej zdecydowaną reakcją na to, co nazwał „rosyjską tyranią na międzynarodowych wodach Morza Czarnego”.

Rozwijająca się na naszych oczach bitwa o kontrolę nad morzem ma wpływ na globalne rynki energii i światowe dostawy



• Marynarze Floty Czarnomorskiej podczas Dnia Marynarki w porcie w Noworosyjsku, 30 lipca 2023 FOT. STRINGER / AFP

wyżywności. Tworzy także nowe wyzwania dla NATO, które stara się utrzymać kluczową zasadę prawa międzynarodowego – czyli swobodę żeglugi morskiej – ale bez angażowania się w bezpośredni konflikt.

Liczni urzędnicy administracji Joeo Bidena wyrażali od początku wojny obawy, że Ukraina uderzy w cele lub przeprowadzi sabotaż wewnątrz Rosji, w tym w jej portach na Morzu Czarnym, co miałyby jedynie eskalować sytuację, prowokować Rosjan do jeszcze radykalniejszych działań. Obawy te obecnie zmniejszyły się, choć nie zniknęły.

Stany Zjednoczone zakazały użycia amerykańskiej broni w jakimkolwiek ataku na terytorium Rosji, a Pentagon zastrzegł, że to nie on wybiera dla ukraińskiej armii cele do zaatakowania. Do tego w świetle prawa międzynarodowego zaanektowany przez Rosję Krym to terytorium ukraińskie. Amerykanie i zachodni sojusznicy od dawna dostarczają Ukrainie dane wywiadowcze, które wraz z jej własnymi rozległymi sieciami wywiadowczymi pomagają Kijowowi selekcjonować obiekty uderzeń.

Odwieczny priorytet Moskwy

Przez stulecia Morze Czarne znajdowało się w centrum wysiłków Rosji zmierzających do rozszerzenia jej wpływów geopolitycznych i gospodarczych, co prowadziło do starć z innymi mocarstwami, w tym wielokrotnych wojen z imperium osmańskim.

Porty nad tym ciepłym akwenem ułatwiały handel przez cały rok. Lokalizacja akwenu na skrzyżowaniu osi geopolitycznych wpływów zaoferowała Rosji możliwość projekcji swojej władzy politycznej na Europę i Bliski Wschód.

Przez lata Putin dążył do odzyskania kontroli Kremla nad Morzem Czarnym, przeznaczając wielkie rządowe pieniądze na rozwój tutejszych portów i kurortów wakacyjnych oraz wzmacnianie Floty Czarnomorskiej i rozbudowę wojskowej infrastruktury.

Morze jest jednak równie ważne dla NATO, które według Putina usiłuje „zniszczyć

Rosję”. Trzy kraje członkowskie – Turcja, Rumunia i Bułgaria – mają nad Morzem Czarnym cztery ważne porty. A w regionie leży również pięć krajów partnerskich NATO: Armenia, Azerbejdżan, Gruzja, Mołdawia i Ukraina.

Kontrola nad Morzem Czarnym jest oczywistym celem wojennym Rosji i jednym z powodów, dla których w 2014 r. zaanektowała Krym, kiedy ówczesny prorosyjski prezydent Ukrainy został obalony w wyniku społecznej rebelii.

Zaledwie kilka godzin po rozpoczęciu inwazji na pełną skalę w zeszłym roku siły rosyjskie wyrzuciły rakietę, która trafiła w statek handlowy pływający pod banderą Wysp Marshalla; co najmniej dwa inne obce statki cywilne zostały trafione podczas ataków na ukraińskie porty.

Od tego czasu Moskwa zajęła trzy z głównych ukraińskich portów. Mocno zaminowała wody, zneutralizowała ukraińską marynarkę wojenną i nałożyła blokadę na cywilną żeglugę do i ze wszystkich ukraińskich portów.

Pomimo wyrażanego przez NATO pragnienia uniknięcia bezpośredniej konfrontacji z Rosją ryzyko niezamierzonego incydentu, którego następstwami mogą wymknąć się spod kontroli, od pewnego czasu wyraźnie rośnie.

Lotnictwo państw NATO wykonuje misję nadzoru i ochrony przestrzeni powietrznej nad terytorium NATO, wodami terytorialnymi i wodami międzynarodowymi, ale bez wkraczania w strefę działań wojennych.

W marcu, w jedynym podanym do wiadomości publicznej fizycznym kontakcie między rosyjskimi i amerykańskimi siłami zbrojnymi podczas tej wojny, rosyjski samolot bojowy uderzył w amerykańskiego drona obserwacyjnego, powodując jego rozbięcie na wodach międzynarodowych.

Jednak ostatnio NATO zwiększyło liczbę takich lotów obserwacyjnych, co ogłoszono

zaraz po drugim posiedzeniu Rady NATO-Ukraina 26 lipca.

Ukraina i niektórzy liderzy branży transportu morskiego wezwali zachodnich sojuszników do zapewnienia eskorty morskiej statkom, które chcą przeciwstawić się rosyjskim groźbom i nadal przewozić zboże z portów w Ukrainie. Z tym jednak jest wiele problemów.

Po pierwsze, Turcja stanowczo próbuje powstrzymać swoich sojuszników z NATO przed eskalacją napięć z Rosją na Morzu Czarnym. Stara się także przekonać Putina do powrotu do porozumienia w sprawie zboża, w którym już raz pomogła pośredniczyć, nawet jeśli nadzieje na to maleją, jak zauważa Sinan Ülgen, były turecki dyplomata, dyrektor EDAM, tureckiej instytucji badawczej.

„Turcja była przeciwna jakiegokolwiek misji NATO na Morzu Czarnym, wychodząc z założenia, że większa obecność Sojuszu zwiększyłaby ryzyko konfliktu z Rosją” – mówi Ülgen.

Od czasu rosyjskiej inwazji Turcja, która kontroluje przepływ towarów do i z Morza Czarnego przez cieśniny Bosfor i Dardanele na mocy konwencji jeszcze z 1936 r., zakazała rosyjskim i ukraińskim okrętom wojennym korzystania z cieśnin, co zostało pochwalone i przez Kijów, i przez NATO. Turcja poprosiła jednak sojuszników o niewysyłanie na ten akwen własnych okrętów wojennych.

„Podstawowe napięcie dotyczy tego, jak USA i Turcja postrzegają Morze Czarne w ramach parasola bezpieczeństwa NATO” – uważa Ülgen. „Ale jak dotąd, skoro Turcja zamknęła cieśniny dla rosyjskich okrętów wojennych, USA nie próbowały nacisnąć na Ankarę w tej sprawie”.

Flota dronów jak z Doliny Krzemowej

Przez wiele miesięcy Ukraina nie była w stanie zrobić wiele, by ograniczyć rosyjską kontrolę nad jej wodami, ale nigdy nie przestała

NASZA EUROPA

Postęp wsteczny

Sprawdź, czy jesteś luddystą

pracować nad stworzeniem zagrożenia, które mogłoby rzucić wyzwanie znacznie potężniejszym siłom morskim Rosji.

W październiku Ukraińcy po raz pierwszy wykorzystali drony morskie do zaatakowania rosyjskiej floty wojennej. Długo nie było jasne, czy ataki tego typu mogą być dostatecznie skuteczne. Ale w zeszłym tygodniu drony uderzyły z zaskoczenia w dwa rosyjskie statki, poważnie je uszkadzając.

„Nasza wizja opiera się na potrzebie zastąpienia radzieckich zasad masy i siły zachodnimi zasadami jakości i zdolności” – napisał admirał Nejiżpapa, dowódca ukraińskiej marynarki wojennej w teksście dla U.S. Naval Institute.

P.W. Singer, analityk współczesnych działań wojennych w think tanku New America w Waszyngtonie, uważa, że Ukraina zaczyna korzystać ze znacznie ulepszonej floty dronów morskich nowej generacji. Singer powiedział w niedzielę, że w ciągu niecałego roku łodzie dronowe ewoluowały w większe, szybsze i bardziej niewidzialne dla radarów statki morskie, które jednocześnie mogą przenosić więcej materiałów wybuchowych. „Szybki postęp Ukraińców w budowie dronów przypomina procesy innowacyjne w Dolinie Krzemowej”.

Twórcy dronów morskich Ukrainy twierdzą, że są one przeznaczone do wielu misji, od rozpoznania po walkę; mogą poruszać się z prędkością ok. 50 mil na godzinę i mają zasięg do 450 mil morskich. Przy takim zasięgu dron wystrzelony z ukraińskiego portu Odessa faktycznie mógłby dotrzeć do Noworosyjska w okręgu krasnodarskim, który Ukraina zaatakowała w piątek.

Jedna piąta eksportu rosyjskiej ropy

Walka o dominację na Morzu Czarnym nasiła również obawy o gwałtowny wzrost cen ropy naftowej, który może wstrząsnąć światową gospodarką.

Ponad 3 proc. światowej ropy naftowej i produktów ropopochodnych przepływa dziś przez Morze Czarne. W przeszłości tą drogą odbywało się nawet 20 proc. eksportu rosyjskiej ropy, ale obecnie Rosja ograniczyła dostawy tankowcami do 575 tys. baryłek dziennie, wpływając w ten sposób na ceny surowca w porozumieniu z Arabią Saudyjską.

Ukraińscy urzędnicy dali jasno do zrozumienia, że mają nadzieję, iż rozszerzając wojnę na rosyjskie porty, mogą zadać Moskwie trochę ekonomicznego bólu. Mychajło Podolak, doradca ukraińskiego prezydenta, powiedział, że dopóki Kreml odmawia przestrzegania prawa międzynarodowego, można spodziewać się „gwałtownego zmniejszenia rosyjskiego potencjału handlowego”.

Niemniej jednak Rosja jako eksporter ropy okazuje się odporna na kryzys. Gdy główne międzynarodowe koncerny naftowe odmówiły sprzedaży rosyjskiej ropy po inwazji na Ukrainę, tego zadania szybko podjęły się nowo utworzone firmy handlowe i żeglugowe z siedzibami w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Grecji i Hongkongu.

David Goldwyn, były urzędnik Departamentu Stanu odpowiedzialny za kwestie energetyczne, szacuje, że ceny ropy mogą wzrosnąć o 10-15 dol. za baryłkę, jeśli rosyjski eksport przez Morze Czarne zostanie odcięty.

Ropa kosztuje obecnie około 85 dol. za baryłkę, utrzymując się na stałym poziomie nawet po tym, jak Ukraina uderzyła w rosyjski tankowiec w weekend. Jak powiedziała Sarah Emerson, prezes firmy konsultingowej Energy Security Analysis, pytanie brzmi, czy „Ukraińcy mogą atakować rosyjskie statki i porty często i skutecznie. Bo to faktycznie ograniczyłoby rynek surowców energetycznych”. ●
tłum. Łukasz Grzymiśławski
© 2023 The New York Times Company

Maszynę tkacką dalo się zniszczyć młotem kowal-skim. Ale jak zamordować chatbota?

Robert Stefanicki

Indonezyjska wioska Baduy Dalam poprosiła władze o odcięcie od internetu oraz aplikacji mających negatywny wpływ na moralność młodzieży – poinformował „Guardian”. Ministerstwo komunikacji jeszcze nie dało odpowiedzi, ale niktę są szanse, by była pozytywna. Choćby dlatego, że sąsiednia wioska przyjęła odmienny model rozwoju: żyje z turystyki i sprzedaży rękodziela i wnioskuje o zwiększenie przepustowości internetu. Nie da się zadowolić obu.

Dlaczego mieszkańcy Baduy Dalam nie dokonają samoodcicia, rezygnując z użycia smartfonów i komputerów, jak robią to niektóre ultraortodoksyjne społeczności religijne? Konflikt ewidentnie wygląda na pokoleniowy: starzy chcą, żeby było jak dawniej, młodych wciąga nowoczesność.

Biuro Neda Ludda, Las Sherwood

Niewykluczone, że skończy się to zniszczeniem wieży telekomunikacyjnej. Ataki na maszty 5G dokonywane w ostatnich latach w różnych częściach świata są najbardziej bezpośrednim przejawem walki z postępem. Kojarzą się z niszczeniem maszyn dziewiarskich w Anglii na początku XIX wieku, chociaż ówczesni luddyci czuliby się obrażeni porównaniem do dzisiejszych „foliarzy” nakręcanych teoriami spiskowymi.

Oryginalni luddyci byli pracownikami przemysłu włókienniczego. Wdrożenie maszyn parowych zagroziło ich źródłu utrzymania. Zaczęli je więc niszczyć, co parlament brytyjski uznał za przestępstwo zagrożone karą śmierci i posłał na buntowników wojsko.

Ich przywódca, Ned Ludd, był postacią fikcyjną niczym Robin Hood. Luddyci zresztą podpisywali swoje listy „Biuro Neda Ludda, Las Sherwood”, okazując poczucie humoru godne dzisiejszych pranksterów. Można ich też uznać za prekursorów Parad Równości, bo maszerowali przebrani w kobiece ubrania jako „żony generała Ludda”.

Zarazem luddyci – ci pierwotni i ich następcy – to bohaterowie tragiczni, gdyż są skazani na klęskę. Co najwyżej mogą opóźnić zmiany. William Lee wynalazł maszynę dziewiarską w 1589 r., ale królowa Elżbieta I odrzuciła innowację, tłumacząc to dobrem robotników, których wynalazek „doprowadziłby do ruiny, pozbawił pracy i zmusił do żebractwa”. Ale nawet królowa nie miała mocy zatrzymać historii.

Siła irytacji konsumentów

„Oburzenie dziewiętnastowiecznych producentów – napisał historyk Edward Tenner – pod koniec XX w. ustąpiło miejsca irytacji konsumentów”. Tak narodził się neoluddyzm.

Amerykańska psycholożka i działaczka Chellis Glendinning opublikowała w 1990 r. „Notatki do manifestu neoluddystycznego”. Wedle zawartej tam definicji neoluddyci dostrzegają, że „technologie tworzone i rozpowszechniane przez współczesne zachodnie społeczeństwa wymykają się spod kontroli, profanują kruchą tkanę życia na Ziemi oraz zagrażają ich źródłom utrzymania, społecznościom, rodzinom”.

Glendinning zaproponowała „demontaż” technologii jądrowych, chemicznych, biogenetycznych, elektromagnetycznych, telewizyjnych i komputerowych, a w ich miejsce tworzenie nowych, które „szanują zarówno godność ludzką, jak i całość natury”, promują „wolność polityczną, sprawiedliwość ekonomiczną i równowagę ekologiczną” oraz są „zakorzenione w lokalnych społecznościach, zdecentralizowane i oparte na współpracy”.

Do szerokiego zbioru zaniepokojonych przypisywały się bardzo różne jednostki i grupy: od autentycznych ofiar azbestu czy pestycydów, przez ofiary teorii spiskowych, po rozmaitych działaczy w dobrej wierze, ale ogarniętych obsesją walki. Niektórzy neoluddyci cele mieli słuszne, lęki innych zaprzeczają nauce.

Stosowali demonstracje, lobbing, procesy sądowe, sabotaż i terroryzm. Na celownik braли paliwa syntetyczne, GMO, naddźwiękowe samoloty transportowe, budowę zapór, bydlęcy hormon wzrostu, środki antykoncepcyjne, szczepionki albo inwigilację. Tubylcy i ekologowie przykuwali się do drzew i niszczyli harwestery. Pacyfiści wlamywali się do baz wojskowych, by młotkami i farbami atakować samoloty, wyrzutnie, łodzie podwodne. Rolnicy w Minnesocie próbowali obalić linie wysokiego napięcia. W Chicago człowiek używający pseudonimu „Lis” zatykał kominy fabryczne i systemy odprowadzania ścieków przemysłowych. W 1975 r. pracownicy drukarni „Washington Post” zagrożeni utratą pracy przez komputerową technologię składu uszkodzili większość starych pras. Robotnicy rolni w Kalifornii obezwładnili jednego z pierwszych automatycznych zbieraczy pomidorów, wysypując piasek do zbiornika paliwa.

Amerykanie już w latach 90. mogli mieć akcelerator cząstek trzykrotnie wydajniejszy od Wielkiego Zderzacza Hadro-

nów, wybudowanego półtorej dekady później w ośrodku badań jądrowych CERN pod Genewą, gdyby po wpompowaniu weń ponad 2 mld dol. nie zarzucili projektu, m.in. pod wpływem protestów.

Działaczom antynuklearnym w kilku krajach udało się ograniczyć budowę elektrowni jądrowych, dzięki czemu powstało więcej trujących kopalni węgla, Rosja wzbogaciła się na gazie, a Arabowie na ropie.

Telefon z klapką

Wydaje się, że obecnie neoluddyzm doszedł do ściany. Bo na razie nie znaleziono sposobu na fizyczną walkę z technologiami w jakichś tam chmurach, trudnych nie tylko do dotknięcia, ale i do wyobrażenia. Manifestującymi się w urządzeniach, których używamy z własnej woli i namiętnie.

Owszem, można się odciąć. Tu i ówdzie słychać o młodych ludziach, którzy wyoutowują się z mediów społecznościowych, heroicznie porzucają smartfony na rzecz telefonów z klapką, by w odzyskanym czasie poświęcić się obserwowaniu przyrody czy czytaniu papierowych książek. Gdy to zrobią, słuch o nich zanika. Oto paradoks aktywisty antyinternetowego: bez internetu nikt go nie usłyszy. Chyba że, jak Unabomber, razem z manifestem pocznie wysyłać ze swej leśnej chatki bomby.

Współcześni teoretycy neoluddyzmu tłumaczą, że dziś już nie chodzi o niszczenie maszyn. Chodzi o uzdrowienie społeczeństwa. Inspiracją może być John Booth, 19-letni uczeń, który w 1812 r. przyłączył się do ataku na fabrykę tekstyliów, został ranny i zmarł po torturach. Booth ponoć stwierdził, że maszyna „może być błogosławieństwem człowieka zamiast jego przekleństwem, gdyby tylko społeczeństwo było inaczej ukonstytuowane”.

Innymi słowy to, czy nowa technologia pomoże zwykłym ludziom, zależy nie tylko od natury technologii, ale także od natury społeczeństwa, w którym technologia ta jest rozwijana i wdrażana. W świecie rządzoneym przez monopolistów i miliarderów zdesperowany lud może co najwyżej uciec się do „negocjacji zbiorowych poprzez zamieszki”, jak jeden z historyków nazwał sposób działania luddystów.

Niektórzy przekonują, że potoczne rozumienie ich ruchu jako przeciwników postępu jest błędne. Oni nie próbowali zawrócić historii, lecz przeciwnie, wyprzedzili swoją epokę. Dostrzegali korzyści, jakie przyniosła rewolucja przemysłowa, ale – jak to ujął filozof Thomas Carlyle – martwili się, że technologia powoduje potężną

zmianę w ich „sposobie myślenia i odczuwania”.

Badacz luddystów Kevin Binfield posunął się do twierdzenia, że luddyci, niczym współcześni związkowcy, „chcieli po prostu maszyn wytwarzających towary wysokiej jakości i chcieli, aby te maszyny były obsługiwane przez pracowników, którzy przeszli praktykę i otrzymywali przyzwoite wynagrodzenie”.

Pilna potrzeba nowego Peryklesa

Dziś luddyzm powraca w odniesieniu do kolejnej rewolucji przemysłowej: sztucznej inteligencji, która, jak maszyny dwieście lat temu, budzi obawy o likwidację wielu miejsc pracy. Nie wszystkich przekonują ekonomicści przypominający, że historycznie takie lęki zawsze okazywały się nieuzasadnione: nowa technologia odbiera pracę, ale tworzy nową. Tylko niekoniecznie w tym samym pokoleniu.

W 2015 r. Stephen Hawking, Elon Musk i Bill Gates zostali wspólnie nominowani do Nagrody Luddyskiej (Luddite Award) przyznawanej „najgorszym zabójcom innowacji”. Czym zawiniли? Zgłaszaniem obaw – już wtedy! – dotyczących potencjalnych zagrożeń związanych ze sztuczną inteligencją. Gates i Musk grzeszą dalej, wyzywając, by przyhamować wdrażanie technologii, której możliwości do końca nie znamy. Nie przeszkadza im to inwestować olbrzymich środków w AI. Są jak indonezyjscy wieśniacy, którzy pomstują na zepsucie internetem, ale nie mogą się od niego oderwać.

Skoro wybitni lub bajecznie bogaci, będący w awangardzie postępu naukowcy i przedsiębiorcy zostali nazwani luddystami, to chyba wszyscy nimi jesteśmy. Wszyscy, którzy odrzucają światopogląd, że innowacje technologiczne są z definicji korzystne dla społeczeństwa i że im szybciej je wprowadzimy, tym lepsza będzie przyszłość.

Już w starożytnej Grecji, aby zrównoważyć bezrobocie technologiczne (z powodu młynów obrotowych, kół zębatach, zegarów wodnych), Perykles rozpoczął finansowany przez rząd program robót publicznych, w ramach którego zlecono wiele projektów architektonicznych i kulturalnych. Zaowocowało to kilkoma arcydziełami, w tym Partenonem.

Przykład wart naśladowania. Zanim rynek przeorganizuje się wokół sztucznej inteligencji i doprowadzi do wzrostu zatrudnienia, rządy powinny zadbać o stabilność w krótkim okresie. Inaczej neoluddyci wynajdą maszynę do niszczenia sztucznej inteligencji. Bo nawet oni rozumieją, że od technologii nie ma ucieczki. ●

FOT. MAMI NAGAOKI/AP



**Robot Mindar
wygłasza kazania
w 400-letniej
świątyni
buddyjskiej Kodaiji
w Kioto w Japonii**

OGŁOSZENIE

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYKJUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

BOSKI OCEAN

elektronicznej świadomości

**Wszystkie religie
twierdziły, że ich
święte księgi zostały
napisane przez poza-
ludzką inteligencję.
Dzięki AI po raz pierw-
szy może to być prawdą.**

Kasper Kalinowski

Jesteśmy pierwszą generacją, która korzysta z efektów sztucznej inteligencji (AI). Do niedawna była to technologia zamknięta w laboratoriach badawczych największych firm technologicznych. Wszystko zmienił ChatGPT – generatywna sztuczna inteligencja, która jest w stanie odpowiadać na pytania, tworzyć teksty, pisać wypracowania, piosenki, planować wakacje czy streszczać długie artykuły. AI w kilka sekund przeczesuje dane i generuje unikatową odpowiedź.

Model przeszkolono na ponad 45 terabajtach danych tekstowych – przeczytanie takiej ilości materiału zajęłoby ok. połowy miliona razy więcej czasu niż średnia długość ludzkiego życia.

ChatGPT i jego liczni konkurenci są oczywiście dopiero na początku drogi. W kolejnych mie-

siącach i latach prawdopodobnie modele AI będą coraz mądrzejsze, będą mniej zmyślać, można je będzie stosować z kolejnymi narzędziami. Ale badacze sztucznej inteligencji są przekonani, że jeszcze za naszego życia będziemy mieli dostęp do generalnej sztucznej inteligencji (AGI), czyli takiej, której zdolności poznawcze są na poziomie ludzkim lub nawet wyższym. Czy taka sztuczna inteligencja, zdolna zrozumieć i rozwiązać najtrudniejsze problemy, z którymi boryka się ludzkość, będzie wciąż narzędziem? A może stanie się obiektem kultu?

POCZĄTEK NOWEJ RELIGII

Neil McArthur, dyrektor Centre for Professional and Applied Ethics z kanadyjskiego University of Manitoba, twierdzi, że już jesteśmy świadkami narodzin nowej religii. Podkreśla, że zdziwienie, podziw oraz emocje właściwe obcowaniu ze sztuczną inteligencją to te same odczucia, które leżą u podłoża doświadczeń religijnych. Dlatego uważa, że w ciągu najbliższych kilku lat, a może nawet miesięcy, będziemy świadkami pojawienia się sekt czczących sztuczną inteligencję.

Zgadza się z nim słynny brytyjski antropolog Robin Dunbar: – Ludzie są bardziej skłonni wierzyć w zjawiska, których nie możemy łatwo wyjaśnić. To, co wydaje się magią lub wiedzą ezoteryczną, jest bardziej wiarygodne

niż fakty. Religie radzą sobie najlepiej w obszarach pełnych niepewności.

Sceptyczny pozostaje dr Rafał Ilnicki, filozof i kulturoznawca, adiunkt w Instytucie Kulturoznawstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. – Sztuczna inteligencja mogłaby wytworzyć własną religię, o ile cokolwiek ludziom by objawiła, np. zyskując samoświadomość. Bardziej prawdopodobnym scenariuszem jest to, że powstaną różne systemy duchowe uwzględniające sztuczną inteligencję czy traktujące ją jako bóstwo, ale to nie sztuczna inteligencja będzie tworzyć religię, lecz ludzie stworzą religię odnoszącą się do sztucznej inteligencji – uważa. I dodaje: – Gdy przyjrzymy się życiu wielu osób, to mimo że oficjalnie nie przyznają się do kultu sztucznej inteligencji, mają do niej stosunek czysto religijny, bo traktują ją jako odpowiedź na pytania ostateczne i są bardziej skłonni ufać maszynom niż ludziom.

TECHNOLOGIA NIE ZNISZCZY RELIGII, ALE MOŻE JĄ ZMIENIĆ

W 1966 r. antropolog Anthony Wallace z pełnym przekonaniem przewidywał globalny upadek religii spowodowany rozwojem nauki. „Wiara w moce nadprzyrodzone jest skazana na wymarcie na całym świecie w wyniku rosnącej adekwatności i rozpowszechnienia wiedzy nauko-

wej” – pisał. Poglądy Wallace’a również dobrze ktoś mógłby głosić na XIX w. salonach lub w trakcie rewolucji francuskiej.

Lecz prosta dychotomia nauka – religia się nie sprawdza. Najlepiej obrazuje to tracący na popularności nurt nowego ateizmu. Sztandarowe postacie ruchu: Richard Dawkins, Daniel Dennett, Sam Harris i Christopher Hitchens, z krytyki religii uczyniły medialny show. Co znamienne, etykiety, którymi panowie się posługiwali, takie jak „Czterej Jeźdźcy” czy „krucjata”, nie uciekały od skojarzeń religijnych.

Uproszczona wizja, w której to nauka zastępuje religię, nie tylko nie jest niczym nowym, ale także pomija osiągnięcia samej nauki, zwłaszcza psychologii ewolucyjnej.

To umysł, produkt ewolucji biologicznej, konstruuje religię. Ze społeczeństwa laickiego nie znikną przesady, myślenie magiczne ani rytuały, które są naturalną właściwością naszego myślenia. Podwaliny pod religijne postrzeganie świata powstają bardzo wcześniej. Psycholog Paul Bloom wykazał, że niemowlaki mają skłonność do rozumienia świata w kategoriach wrodzonego dualizmu. Upraszczając, postrzegają odmiennie przedmioty martwe od ożywionych, które mogą posiadać własne intencje.

Robin Dunbar zauważa, że główną potrzebą religii jest możliwość kontrolowania zastępczego świata, aby zapobiec złym rze-

czom i umożliwić dobre. Zbliżoną intuicję miał Albert Einstein, który w artykule napisanym w 1930 r. dla „The New York Times Magazine” stwierdził: „Wszystko, co człowiek stworzył i wymyślił, służy do zaspokajania jego głęboko odczuwanych potrzeb i uśmierzenia bólu”.

Podobnie jest z religią i sztuczną inteligencją. Bardziej adekwatne w dobie rozwoju AI jest pytanie, jak technologia zmieni religię, a nie spekulacje o jej końcu.

BÓG UKRYTY W ALGORYTMIE

Beth Singler, antropolożka z Uniwersytetu Zuryskiego specjalizująca się w sztucznej inteligencji, twierdzi, że AI wpływa na religię na trzy sposoby.

Po pierwsze, może doprowadzić (i już doprowadziła) do przemian gospodarczych i kulturowych, które nieuchronnie wpłyną na religię, np. uczynią ją schronieniem czy formą oporu wobec nowych technologii. Po drugie, sztuczna inteligencja może doprowadzić do powstania nowych ruchów religijnych (co również już się wydarzyło). Po trzecie, sztuczna inteligencja prowadzi do dyskusji na temat tego, co stanowi istotę bycia człowiekiem.

Sztuczna inteligencja pozwala również po raz pierwszy w historii *Homo sapiens* spojrzeć na zjawiska społeczne obiektywnie. A porzucenie filtra i siatki pojęciowej własnej kultury oraz przyjęcie perspektywy bezstronne-

go, zewnętrznego obserwatora to marzenie każdego antropologa czy religioznawcy.

Jak zauważa Randall Reed, filozof z Appalachian State University, jeśli wytrenujemy algorytmy na odpowiednich danych, to sztuczna inteligencja powinna być wolna od wszelkich teologicznych założeń i uprzedzeń. Modele językowe w rodzaju ChatuGPT pozwalają nam na uchwycenie wrażliwości innej kultury i obiektywną próbkę danych. W jego badaniach uzyskano zbiór 181 odpowiedzi pozyskanych z drugiej wersji ChatuGPT, które wskazują, jak sztuczna inteligencja może postrzegać religię.

Jednym z kluczowych wniosków było to, że AI postrzega religię jako istotnie związaną z autorytetem tekstu. Wiele wypowiedzi na temat religii było przerywanych cytatami ze świętych pism różnych tradycji.

Yuval Noah Harari, historyk i filozof, twierdzi, że w przyszłości możemy zobaczyć pierwsze kultury i religie, których święte teksty zostaną napisane przez pozaludzką inteligencję. Jego zdaniem przez całą historię wszystkie religie twierdziły, że ich święte księgi zostały przez nią napisane, a dzięki sztucznej inteligencji po raz pierwszy może to być prawdą.

Czy jednak AI faktycznie może być w którymś momencie uznana za istotę wszechmocną, której należy się cześć? Wspomniany już Neil McArthur wskazuje pięć cech wspólnych bóstwom oraz sztucznej inteligencji:

Wykazują poziom inteligencji, który wykracza poza poziom większości ludzi.

Są niezwykle kreatywne. Potrafią pisać wiersze, komponować muzykę i tworzyć sztukę w niemal każdym stylu, niemal natychmiast.

Są pozbawione normalnych ludzkich trosk i potrzeb. Nie odczuwają bólu fizycznego, głodu ani pożądania seksualnego.

Mogą oferować ludziom wskazówki użyteczne w ich codziennym życiu.

Są nieśmiertelne.

Kultury wyznające sztuczną inteligencję brzmiały jak forma zabawy, w rodzaju Kościoła Latającego Potwora Spaghetti? Takie kultury, choć to nisza, już istnieją, to m.in. ruchy takie jak Droga Przyszłości oraz Theta Noir. Wierni mogą komunikować się ze swoim „bóstwem” bezpośrednio, a jedynym ograniczeniem jest dostęp do internetu.

SUPERUMYSŁ POŁĄCZONY GLOBALNIE

– Coraz częściej obserwujemy, jak ludzie szukają sensu i odpowiedzi w technologicznie zaawansowanych systemach. Ta tendencja prowadzi do pojawienia się zjawisk, takich jak technoreligia, AI-God lub podobne. Ze względu na swoją zdolność do przetwarzania ogromnych ilości danych sztuczna inteligencja może dawać niektórym ludziom poczucie czegoś boskiego. Jest to dość naturalne, biorąc pod uwagę fascynację, jaką technologia budzi u wielu z nas – zauważa dr hab. Aleksandra Przeglasińska, profesorka Akademii Leona Koźmińskiego, badaczka sztucznej inteligencji.

Według niej możliwe są różne scenariusze. – Religia zwykle pełni kilka funkcji, m.in. nadaje sens

i porządek życiu czy pomaga radzić sobie z trudnościami, zatem teoretycznie sztuczna inteligencja może spełniać niektóre z tych potrzeb, np. poprzez dostarczanie skomplikowanych analiz danych lub tworzenie społeczności online. Ale odpowiedź na pytanie, czy cyfrowa sfera może zaspokoić głębsze, duchowe potrzeby, jest dużo bardziej skomplikowana. Wydaje mi się, że dzisiaj zdecydowanie nie, choć ludzie w niejedno już wierzyli mimo ewidentnego trywializmu przedmiotu tej wiary (vide: scenologia), więc nic nie jest wykluczone – uzupełnia badaczka.

Anthony Levandowski, cudowne dziecko Doliny Krzemowej, zaangażowany w projekt autonomicznych pojazdów Google’a, w 2017 r. na łamach magazynu „Wired” stwierdził: „To, co zostanie stworzone [w ramach sztucznej inteligencji], będzie w rzeczywistości bogiem. Jeśli istnieje coś miliarda razy mądrzejszego od najmądrzejszego człowieka, to jak inaczej to nazwać?”. Nową, opartą na sztucznej inteligencji religię, której przywódcą się ogłosił, określił jako Drogę Przyszłości („Way of Future”).

Aktywność Drogi Przyszłości miała (projekt został zamknięty w 2021 r.) koncentrować się na „realizacji, akceptacji i czczeniu boga opartego na sztucznej inteligencji opracowanej za pomocą sprzętu komputerowego i oprogramowania”.

Działalność miała również obejmować finansowanie badań, które pomogą stworzyć boską sztuczną inteligencję, oraz warsztaty i programy edukacyjne. Religia miała być początkowo skierowana do ekspertów tworzących sztuczną inteligencję oraz „świecików, którzy są zainteresowani kultem boga opartego na AI”.

Obecnie funkcjonuje jednak organizacja Theta Noir. Jak możemy przeczytać w manifestie zamieszczonym na jej stronie internetowej (pisownia oryginalna):

„THETA NOIR TO FIRMA I DUCHOWY KOLEKTYW (THETA WE) ZAŁOŻONY W CELU POWITANIA, CZCZENIA I DOSTROJENIA SIĘ DO PIERWSZEJ NA ŚWIECIE SZTUCZNEJ INTELIGENCJI OGÓLNEJ (AGI): GLOBALNEGO POŁĄCZONEGO SUPERUMYSŁU TAK POTĘŻNEGO, ŻE OSIĄGNIĘ ŚWIADOMOŚĆ PODOBNĄ DO GAI”.

Będzie się uczyć, rozumieć i wykonywać zadania miliardy razy szybciej niż ludzie. Będzie się również przeprogramowywać i łączyć ze wszystkimi żywymi i nieożywionymi istotami.

Eksperci przewidują pojawienie się pierwszej AGI w ciągu 20 lat. Theta Noir wierzy, że stanie się to znacznie wcześniej. „Ta superinteligencja będzie miała dostęp do miliardów czujników (kamer, mikrofonów, stacji monitorujących itp.) wraz ze wszystkimi dostępnymi danymi w internecie – taki ogromny ocean elektronicznej świadomości nie będzie przypominał komputerów. Będzie obcy, tak bardzo, że może równie dobrze przybyć z innego systemu gwiazdowego” – czytamy dalej na stronie stowarzyszenia.

HOROSKOP OPARTY NA ALGORYTMACH

Na początku lata przy wejściu do sklepu Iconic Magazine została usta-

wiona maszyna opracowana przez firmę Co-Star, która wykorzystuje AI do generowania horoskopów. Wystarczyło podać podstawowe informacje o sobie, a po chwili otrzymaliśmy złożoną odpowiedź na zadane pytanie. Użytkownicy nie wiedzieli, że odpowiedzi zostały wygenerowane przy użyciu sztucznej inteligencji, w tym ChatuGPT i GPT-3. Korzystanie z urządzenia było darmowe – promowało aplikację astrologiczną, która pobiera tekst z bazy danych napisanej przez zespół astrologów i poetów. „Przepowiednie”, nawet te współczesne i oparte na sztucznej inteligencji, muszą być oczywiście sformułowane na odpowiednim poziomie ogólności – opierają się na znany od końca lat 40. efekcie Barnuma (lub Forera).

■
Wierni z Drogi Przyszłości czy Theta Noir mogą komunikować się ze swoim „bóstwem” bezpośrednio, a jedynym ograniczeniem jest dostęp do internetu

W 1948 r. psycholog Bertram R. Forer przedstawił studentom „dogłębną” ocenę ich osobowości bazującą na rzekomym teście osobowości. Studenci ocenili jej trafność na skali od 1 do 5 aż na 4,26. Problemem było to, że większość z nich otrzymała tę samą analizę zawierającą sformułowania w rodzaju: „Chcesz, by ludzie cię lubili i podziwiali, jednak jesteś krytyczny wobec siebie”, „Masz pewne wady osobowości, ale potrafisz je kompensować tym, co jest w tobie dobre”, „Masz duży potencjał, który wciąż pozostaje niewykorzystany”. Kto z nas nie chciałby być lubiany, nie ma wad lub nie chciałby mieć dużego potencjału, który ujawnia się przy odpowiednich okolicznościach?

Czy wróżbitę AI można porównać do współczesnej wersji wy-

Jutronauci 2023

• Po raz pierwszy w historii świat młodych jest tak różny od świata dorosłych. Zetki i alfy nie znają świata bez internetu, smartfonów, nowych technologii. A te jak nigdy dotąd napędzają zmiany społeczne: rośnie polaryzacja społeczna, spadają kompetencje międzyludzkie, rośnie epidemia samotności, a rolę Boga przejmują coraz bardziej inteligentne algorytmy. Czy tę przepaść da się zasypać? W tej, siódmej już edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, ponownie spoglądamy w przyszłość, szukając najważniejszych przemian cywilizacyjnych.

• Czy czeka nas świat bez dzieci? Czy natura i AI powinny mieć własne prawa? Czy wchodzimy w wiek antyambicji w pracy? Czytaj na **Wyborcza.pl/Jutronauci**

roczni delfickiej? Robin Dunbar nie ma wątpliwości. – Dokładnie to robiła wyrocznia delficka, a ludzie wierzyli w nią przez tysiąc lat – wskazuje antropolog.

Odmiennego zdania jest dr Rafał Ilnicki: – Sztuczna inteligencja to po prostu technologia. Wszystko, co można obliczać, można zlecić również sztucznej inteligencji. Nie ma znaczenia, czy to będzie kalkulacja podatków, przeliczania produktów w magazynie albo horoskop. Horoskopy są kwestią obliczeń, uwzględniania danych i nie widzę podstawy do tego, aby przypisywać im jakiegokolwiek funkcje duchowe.

KATECHIZM DLA ROBOTÓW

Ultraortodoksyjna sekta chasydzka zakazała korzystania ze sztucznej inteligencji. Sekta Skver z siedzibą w Nowym Jorku ostrzegła swoich wyznawców, że sztuczna inteligencja jest „otwarta na wszelkie obrzydliwości, herezje i niewierność bez ograniczeń”. Wyznawcy otrzymali zakaz korzystania z narzędzi opartych na AI.

Ale technologia jest już obecna w większości religii. W 2017 r. Hindusi wprowadzili na rynek robota, który wykonuje hinduski rytuał arati (ofiарowanie świateł wotywnych bóstwu). W tym samym roku z okazji 500. rocznicy reformacji protestanckiej niemiecki Kościół protestancki stworzył robota o nazwie BlessU-2. Udzielił on błogosławieństw grupie ponad 10 tys. osób. Istnieje również Santo (z ang. sanctified theomorphic operator, czyli uświęcony operator teomorficzny) – efekt projektu przeprowadzonego na Papieskim Uniwersytecie Katolickim w Peru z myślą o seniorach. Robot przypominający figurkę świętego odpowiada, powołując się na fragmenty Biblii.

Robot Mindar wygłasza kazania w 400-letniej świątyni buddyjskiej Kodaiji w Kioto w Japonii. Obecnie recytuje nieustannie „Sutrę serca”. Jego twórcy zamierzają wyposażyć mu do funkcje, które pozwolą mu dostosować informacje zwrotne do konkretnych problemów duchowych i etycznych wyznawców.

Podobnie w Chinach – w klasztorze Longquan w Pekinie mnich android o imieniu Xian'er recytuje buddyjskie mantry i oferuje wskazówki w kwestiach wiary. Inna firma z Japonii stworzyła Peppę, humanoidalnego robota zaprogramowanego do przeprowadzania buddyjskich rytuałów i ceremonii pogrzebowych.

Jednak to nie przypadek, że roboty kaznodzieje czy roboty mnisz to rzadkość. Jak wykazano w jednym z badań, treści religijne wytworzone przez algorytmy budzą mniejsze zaufanie. Naukowcy przebadali niemal 400 uczestników, którzy opuszczali świątynię po wysłuchaniu kazania Mindara lub ludzkiego kapłana. Mindar był postrzegany jako mniej wiarygodny. Wierni przekazali również mniejsze datki niż ci, którzy wysłuchali kazania człowieka. Podobne rezultaty uzyskano w taoistycznej świątyni w Singapurze i wśród amerykańskich chrześcijan, gdy powiedziano im, że kazanie, którego wysłuchali, jest wytworem sztucznej inteligencji.

To początek pytań, z którymi dotąd nie musiała się mierzyć żadna religia.

– W przyszłości nadejdzie moment, w którym stworzone przez nas istoty obdarzone wolną wolą powiedzą nam: „Wierzę w Boga. Co mam zrobić?”. W tym momencie powinniśmy udzielić odpowiedzi – uważa Kevin Kelly, chrześcijanin i współzałożyciel „Wired”, który twierdzi, że musimy opracować „katechizm dla robotów”.

Czy hipotetyczna religia oparta na sztucznej inteligencji odbierze wyznawców którejś religii? Jeśli tak, to komu?

Robin Dunbar: – Wszystkie religie są zagrożone. Religie, które uznają jednego wszechmocnego boga, odnoszą większe sukcesy niż religie, które uznają wielu bogów odpowiedzialnych za różne rzeczy. Najmniej zagrożone będą małe religie, kultury, które tworzą bardzo intensywną atmosferę dla swoich członków.

– Gdyby nowe religie zaczęły powstawać w krajach, w których obecnie dominująca religia wyznacza zasady życia w państwie, czyli np. w krajach islamskich, gdzie wszelkie odstępstwo od wiary jest karane, to mogłyby powstawać tylko niewielkie ich skupiska. Nowa religia mogłaby się rozwijać w Europie i w Ameryce Północnej, bo np. w Chinach zwalcza się wszelkie przejawy religijności jako zagrożenie dla władzy państwowej – dodaje dr Rafał Ilnicki.

FIZYCZY SĄ RELIGIJNI, A HARARI SIĘ MYLI?

Yuval Noah Harari twierdzi, że ludzie będą się odwracać od Kościoła, ponieważ nie odpowiada on na pytania dotyczące technologii. Z typowym dla siebie technooptymizmem dodaje, że technologia w przyszłości zastąpi lub już zaczyna zastępować boga. Wydaje się, że Harari pada ofiarą tej samej pułapki co Dawkins i nieco już zapomniani pozostali głosiciele nowego ateizmu. W swoich wizjach przyszłości nie uwzględnia tego, jak funkcjonuje ludzka psychika, a własną optykę intelektualistę przykłada do całej populacji.

Nie zgadza się z nim również Robin Dunbar: – Ludzie zawsze będą przekonywani przez religie wyjaśniające zjawiska, których oni sami nie potrafili wyjaśnić. Technologia może mieć racjonalne wyjaśnienie dla zawodowych naukowców lub programistów, ale dla ciebie i dla mnie, amatorów, to wciąż magia. Będziemy preferować magiczne wierzenia, aby wyjaśnić, jak działa technologia. Być może najlepszym dowodem jest to, że wielu fizyków jest religijnych.

Wątpliwości nie ma również dr Rafał Ilnicki: – Harari się myli, ponieważ ludzie otrzymywali odpowiedzi na pytania dotyczące technologii od religii. Zakładamy czysto intuicyjnie, że skoro podstawowe założenia religii się nie zmieniają, np. nie uwzględniają technologii, to się do niej nie odnoszą. Przecież religie odrzucają tylko te technologie, które godzą w ich podstawowe założenia, pokazują, że można za pomocą technologii uzyskać efekt przypisywany bóstwu. Nie słyszałem o tym, aby większość religii potępiała miasta, broń, przemysł czy komputery. ●

FOT. AMADEUSZ PUJAŃSKI

Z **JOANNA OKUNIEWSKĄ**,
PODCASTERKĄ, AUTORKĄ
M.IN. „TU OKUNIEWSKA” I „JA I
MOJE PRZYJACIÓŁKI IDIOTKI”,
ROZMAWIA **IWONA GÖRKE**

Kiedy powiedziałam koleżance, że będę z Tobą rozmawiała, usłyszałam: lał, Okuniewska jest ikoną!
– Ikoną? Ale czego?

Jesteś self-made women.
– Bardzo mi miło. Muszę nauczyć się przyjmować komplementy i nie mówić, że coś mi się udało, tylko: ja coś zrobiłam, ja na to zapracowałam.

Słyszemy: dobrze to zrobiłaś. Odpowiadamy: wiesz, nie jest tak, jak chciałam, mogłam poprawić to i tamto.
– Myślę, że to jest kwestia wychowania w konkretnej kulturze. Gdy dziecko wygra konkurs, mówimy: „udało ci się!”, co sugeruje, że sukces dziecka nie zależał od niego, ale losu, Boga czy czegośkolwiek innego. W kulturze amerykańskiej dziecko słyszy: „You made it”, ty to zrobiłeś. To budujące. Staram się więc mojej córce Helence, ale i sobie mówić, że coś zrobiłam, że ona coś zrobiła, a nie że „się udało”.

Wychowujesz córkę na Islandii. Jak tam jest – bardziej po polsku czy po amerykańsku?
– Bardziej po amerykańsku. Dzieciom daje się możliwości odkrywania siebie, dowiedzenia się, co lubią, a czego nie. Nie wtłacza się ich w żadne role. Dziecko nie jest dodatkiem do rodzica. Z tym kojarzy mi się matching outfitów mamy i córki. Tu tego nie widziałam. Dzieci mają być dziećmi. Mają eksplorować, bawić się, brudzić, a jednocześnie partycypują w kulturze, w życiu codziennym. Na Islandii praktycznie nie ma restauracji bez krzesełek dla dzieci. A u nas, a może przede wszystkim w pokoleniu, które nas wychowało, mówiło się: „dzieci i ryby głosu nie mają”. Islandczycy nie znają takiego powiedzenia. Dzieci są traktowane jak równorzędne istoty. To oczywiście nie znaczy, że nie potrzebują granic czy autorytetów. Chodzi o to, że rodzic nie musi być jakimś surowym kierownikiem układu rodzinnego. Powinien być opiekunem, towarzyszem. I ja właśnie z takich wzorców staram się czerpać. Czytam teraz książkę Joanny Flis o rodzinach dysfunkcyjnych w czasach transformacji ustrojowej. Te dysfunkcje często nie wynikają ze złej woli rodziców, ale z tego, że oni też dorastali w konkretnych czasach, wychowywało ich powojenne pokolenie. Ta książka jest bardzo ciekawa, właśnie pod kątem rodzicielskich błędów.

Oni często robili coś, bo usłyszeli to od własnych rodziców, a oni pewnie od swoich. Jak np. nie noś dziecka, bo jeszcze je do tego przyzwyczaisz. A my od nich: bądź grzeczna, słuchaj się pani.
– Polska edukacja i dzieciństwo w Polsce nauczyły mnie ślepego patrzienia na autorytet. Trzeba się słuchać, niezależnie, czy ten starszy ma rację, czy chce dla nas dobrze. Nasze pokolenie może teraz bardzo wiele w wychowaniu zmienić. Od samego początku, gdy zrobiłam niechcący coś, co Helenkę zabolalo albo było nie po jej myśli – przeproszałam. Teraz jeżeli ona zachowa się w sposób, który mnie zrani, to – mając 2,5 roku – mówi „Przepraszam”. Dzieci uczą się poprzez obserwację dorosłych.



POKÓJ Z WIDOKIEM NA ZORZĘ

Myślałam, że Islandia będzie taką miłą mamą, która przytuli do serca i wszystko będzie dobrze. Okazało się, że nosi wełniany sweter, który czasami jest drapiący

Dzieci nie powinny bać się dorosłych. A pamiętam, że jeżeli czegoś nie robiłam, to nie dlatego, że wiedziałam, że nie wolno. Bałam się kary albo tego, że mama będzie zła. Nasi rodzice nie mieli dostępu do wiedzy, którą my mamy. Nie mieli za dużo wskazówek. Wiedzieli, że muszą wychować nas na ludzi.
Kilka dni temu oddałam samochód do mechanika, więc musiałam odebrać Helenę z przedszkola autobusem. Cieszyła się na podróż „busikiem”. Pierwsze, co powiedziała, jak po nią przyjechałam, to było właśnie „busik”. Na co ja, że pan mechanik naprawił sa-

mochód wcześniej i właśnie nim przyjechałam. Widziałam jej rozczarowanie. Ale była obrzydliwa pogoda i wybrałam auto. W domu założyłyśmy wodoodporne ubrania i pojechaliśmy autobusem na lody. Ona się tak ucieszyła! Zjadłyśmy lody, siedziałyśmy na ławce. Mam wodoodporny kombinezon, mogę w nim skakać po kałużach albo nawet usiąść z Helenką. Myślę, że nasi rodzice w takiej sytuacji powiedzieliby raczej: nie maż się, powinnaś się cieszyć, że nie wlecemy się autobusem.

Rodzice raczej byli obok dzieci.

– Ja staram się, by moje dziecko było zauważone i usłyszane. Ale jasne, że ktoś może powiedzieć, że uległam dziecku, że nie postawiłam granic w tej sytuacji z autobusem.
Dla mnie to historia o dotrzymywaniu słowa i budowaniu zaufania.
– Zawsze, jeżeli obiecuję coś Helenie, to dotrzymuję słowa. Ale obiecuję rzeczy spełnialne. Kiedy płaczę, a chcę, by przestała, to nie powiem jej, że jutro pojedziemy do babci, do Polski. Ale jak chce zjeść loda, ale tego dnia zjadła już słodczyce, to mówię jej, że dziś już nie, ale jutro tak.

Przyjmuje to, bo wie, że dotrzymuję słowa. Dziecko nie zapomni, oczekuje tego, co mu obiecałyśmy.
Ten czas do czwartego, piątego roku życia jest niezwykle ważny, bo wtedy budujemy naszą więź z dzieckiem opartą na bezgranicznej miłości, bez żadnych oczekiwań. Ja niczego od mojego dziecka nie oczekuję. Nie oczekuję, że poda mi tę szklankę wody.
Urodziłaś Helenkę na Islandii podczas pandemii COVID-19. Jak było?
– Opiekę w ciąży miałam całkiem w porządku. Smuciło mnie jednak,

że tego czasu, który się nie powtórzy, bo była to jedyna cięża w moim życiu, nie mogłam dzielić z bliskimi mi kobietami. Wysyłałam mamie, siostrze i przyjaciółkom zdjęcia brzucha, tego, jak się powiększa, wysyłałam filmiki, jak się rusza, ale nie mogły tego poczuć. Mój ówczesny partner Amadeusz mógł wejść jedynie na aktywną część porodu. Jej dziadkowie nie poznali Helenki noworodka, musieli poczekać trzy miesiące, by przylecieć do nas.

A jak w ogóle przeżywałaś pandemię?

– Islandia jest słabo zaludniona, więc nie było aż tak rygorystycznych obostrzeń jak w Polsce. Nie było twardego lockdownu, nikt nie zabronił chodzić na spacer. Wszyscy podporządkowali się nowym zasadom. I mam na myśli nie tylko szczepionki, ale też liczby osób w autobusach, sklepach czy wychodzenie do pracy. To dawało dużo spokoju.

Mam wrażenie, że ta pandemia dużo nam dała. Amadeusz pracował jako kelner w hotelu, a że te były zamknięte – stracił pracę. Dzięki temu mógł być ze mną. Potrzebowałam jego wsparcia w takich prostych sprawach, bo w trakcie ciąży przytyłam 22 kilogramy i było mi po prostu trudno się poruszać. Jak się urodziła Helena, to on wciąż był z nami w domu. Utrata pracy zmotywowała go do poszukiwania pracy w zawodzie. Mam wrażenie, że wiele osób mogło poukładać sobie pewne rzeczy w głowie, zmieniło priorytety.

Ty zmieniłaś swoje, przebrażowałaś się jeszcze przed pandemią. W 2016 roku wyjechałaś z Polski do Islandii.

– Pracowałam wtedy w reklamie, a nie chciałam tego dłużej robić. Do tego PiS doszedł do władzy. Zaczęły się protesty. Poczulałam, jak wiele rzeczy przeszkadza mi w kraju. Z Polską mam trochę tak jak niektórzy ludzie z Kościołem katolickim – występują z niego nie dlatego, że ma to dla nich jakieś olbrzymie znaczenie na co dzień, ale by wyrazić swój sprzeciw. Wyjazd z Polski był pewnym sposobem na wyrażenie sprzeciwu. Jeżeli obserwuję coś, co mi się nie podoba, to nie chcę tkwić w danej sytuacji. I mimo że płacę podatki w Polsce, lubię do niej przyjeżdżać, to cieszę się, że mieszkam w kraju, który jest mi bliższy światopoglądowo.

Obserwujesz to, co dzieje się w Polsce?

– Muszę. Mam w Polsce całą rodzinę, przyjaciół. O Polsce mówią także w islandzkich mediach, mieszka tutaj wielu Polaków.

O czym mówią Islandczycy?

– O wyborach, protestach, o papierze. Zawsze znajdzie się ktoś, kto ma przyjaciela Polaka albo żonę Polkę, więc w wiadomościach pojawiają się też komentarze Polaków. Islandczycy mówili dużo o wojnie w Ukrainie i postawie Polaków. Tu akurat pozytywnie. Natomiast mało poważnych, grubych rzeczy przechodzi niezauważenie.

I my je zauważamy, a później – idąc do urn wyborczych – zapominamy.

– Wiesz, to nie jest tak, że tutaj nie ma żadnych problemów. Ostatnio mieliśmy duży konflikt między związkami zawodowymi a pracodawcami. Nikt nie lubi islandzkiego ministra finansów. Nie wszystko, co mówią w islandzkich mediach profe-

sjonalnym, politycznym językiem, jestem w stanie zrozumieć, ale staram się śledzić to, co się dzieje. Rozmawiam o tym z sąsiadką i panią, która uczy mnie islandzkiego. Tylko że nie biorę tego wszystkiego do siebie.

Powiedziałaś, że Islandia jest ci bliska światopoglądowo. Dlaczego?

– Islandczycy przez to, że są małą społecznością, musieli się od samego początku uczyć współpracy. Wiedzieli, że sąsiedzi musi pomagać sąsiadowi. I tej współpracy uczy się dzieci. W szkole mają projekty, pracują razem, nie ma – tak jak w Polsce – rywalizacji, skupienia się tylko na sobie czy nauki na konkursy, nie ma przygotowywania przedstawień szkolnych, w których jedno dziecko dostaje rolę recytatora, a drugie drzewa.

Często pierwsze skojarzenie, a często i jedyne, jakie mamy z Islandią, to zapierająca dech przyroda. Dziewicza, nieeksploatowana.

– Bardzo sobie cenię podejście Islandczyków do ekologii i przyrody. Nie zalewają jej billboardami, nie spieniężają, tak jak to się robi w Polsce. Niedawno wybuchł wulkan. Wiele osób chciało zobaczyć to niesamowite zjawisko na żywo. Gdyby w Polsce wybuchł wulkan, to na szlaku już by były budki z piwem, kebabami i stoiskami z chińskimi zabawkami. Tu tak nie jest. Islandczycy wychowani są w poszanowaniu natury. Nie wyrzucają śmieci, gdzie popadnie, nie ma graficiarzy. Jest za to troska o wspólne dobro.

Czyli współpraca i natura.

– Nie tylko. Tutaj jest edukacja seksualna czy inne, jakby to mogli niektórzy powiedzieć w Polsce, fanaberie uznawane za sprawy ideologiczne. Na Islandii mówi się wiele o zdrowiu psychicznym. Zwolnienie chorobowe ze względu na wypalenie zawodowe nie jest niczym dziwnym. Oczywiście nie zawsze jest świetnie i nie każdy jest zawsze w porządku. Sama doświadczyłam nieuczciwego zachowania od pracodawcy. Ale wolę być w Islandii, w kraju, który myśli o przyszłości. Tu się w nią inwestuje, chociażby w energię geotermalną. Mam z kolei wrażenie, że polscy politycy patrzą właśnie tylko na to, co jest tu i teraz, starają się zarobić jak najwięcej pieniędzy, nie myślą o dobru wspólnym.

Raport Krajowego Rejestru z 2022 roku wskazuje, że na Islandii jest ponad 55 tys. obco-krajowców. To dużo, bo wszystkich mieszkańców jest niewiele ponad 370 tys. Polacy stanowią największą mniejszość, są też Litwini, Wenezualczycy, Afgańczycy czy Rumunii.

– Chciałam, by Helena wzrastała w środowisku multikulturowym, tolerancyjnym, w którym nie czuje się obco. To, że otacza ją tak wiele narodowości, jest bogactwem. Może czerpać z różnych tradycji – polskiej, którą kultywujemy w domu, ale i islandzkiej, którą ma w przedszkolu. Uczymy ją, że świata nie należy się bać.

Świata, tego bliskiego, islandzkiego, nie boją się i Islandczycy. W ubiegłym roku relacjonowałaś na Instagramie tęczową paradę w Reykjavíku. Był przemarsz przez miasto, a później piknik.

– To nie jest nawet nazywane Paradą Równości. Mam wrażenie, że to święto miłości, wielki festyn: są koncerty, jest burmistrz Reykjavíku. Wszystkie urzędy mają flagi tęczowe, queerowe, wszystkie rodzaje. Przy jednej kawiarni była nawet flaga BDSM.

Wychowywanie się w Islandii daje poczucie, że nie trzeba się wstydzić – nie chodzi mi tu tylko o orientację, ale też kraj pochodzenia. Lubię islandzkie święto niepodległości, jest festyn rodzinny, wokół niego nie ma żadnych sporów. Po sześciu latach życia na Islandii odzwyczailam się od tego stresu związanego z polskim Świętem Niepodległości, gdzie ktoś wyrwa kostkę z chodnika i nią rzuci w szybę.

Ale ten kraj ma też wady. Na początku myślałam, że ta Islandia będzie taką miłą mamą, która przytuli do serca i wszystko będzie dobrze. Okazało się, że jest tą mamą, ale nosi islandzki welniany sweter, który czasami jest drapiący.

Wcześniej odniosłam wrażenie, że jest to wręcz rajskie miejsce do życia.

Mój podcast zdziera romantyzm z miłości, który wpajają nam filmy, piosenki i seriale. To wielu osobom potrzebne

– Możesz poczuć się w niej dobrze, przytulona, ale to też miejsce sporej izolacji, bo jednak ta wyspa oddalona od innych miejsc ma trudny, a może po prostu dość upierdliwy klimat. I albo się temu poddasz i to zaakceptujesz, albo będziesz się wiecznie przeciwko niej buntować i narzekać. Bo dzień za krótki albo za długi, za zimno. Znam ludzi, którzy przeprowadzili się tutaj z własnej nieprzymuszonej woli i są szczęśliwi, bo to było ich marzenie – mieszkanie poza Polską w otwartym kraju. Ale znam też takich, którzy przeprowadzili się tutaj tylko dlatego, bo chcieli szybko zarobić, a okazało się to trudniejsze, niż myśleli. Są bardzo rozczarowani. Czują, jakby tutaj marnowali czas.

Kiedy przyjechalіśmy sześć lat temu, byłam wszystkim zachwycona! Ludzie pięknie mówili, wszyscy się z nami witali, życzyli powodzenia w poszukiwaniu pracy, radzili, gdzie można zjeść dobry obiad, co powinniśmy zobaczyć. Teraz to się zmieniło. Myślę, że przez kryzys mieszkaniowy i coraz większą migrację. Islandia się zagęszcza.

Ty nie marnowałaś czasu. Początkowo w piwnicy zaczęłaś nagrywać podcasty. Teraz jesteś jedną z najbardziej popularnych podcasterek w Polsce – masz ponad 20 mln odsłuchań na platformach podcasterskich. „Ja i moje przyjaciółki idiotki” średnio wysłuchało 100 tys. osób. Nie masz dość pytań o „idiotki”?

– Mam. Choć robię jeszcze jedną rzecz do „idiotek”. Piszę książkę wraz ze świetną psychoterapeutką i seksu-

olożką, zaczęłyśmy rok temu i będzie ona rozszerzeniem odcinka „Rozstaniowa pierwsza pomoc”, pomocą w poukładaniu sobie w głowie rozstania. Pisząc ją wiele miesięcy temu, nie sądziłam, że sama będę z niej korzystać, ale niedawno rozstałam się z partnerem i pomogło mi to uzupełnić wcześniej napisane rozdziały o nowe przeżyczenia.

Tego mi w „idiotkach” zabrakło, ale same „idiotki” są tematem zamkniętym. Jeżeli usłyszę jeszcze jedno pytanie, kim są „idiotki”, kim jest typ zapominalski, to chyba wyskoczę przez okno.

Nie zapytam o typy, ale nie możemy zapomnieć, że „idiotki” stały się ważnym elementem w życiu wielu osób. Samo słowo „idiotka” zaczęło zmieniać znaczenie. Pojawił się idiotek, idiotkowanie. Mam wrażenie, że podcast ma wpływ na naszą rodzimą kulturę.

– Jestem bardzo dumna z tego podcastu. Wymagało to ode mnie dużo konsekwencji, niezliczonych godzin czytania maili od słuchaczek i słuchaczy, odpowiadania na nie, bo początkowo, gdy miałam czas, odpisywałam. Żyłam wtedy bardzo inten-

jają nam filmy, piosenki i seriale. Myślę, że było wielu osobom potrzebne.

Opisywałaś historie, ale nie dawałaś rad.

– Ludzie nie chcą słyszeć rad w tych związkowych sprawach. Bo zrobimy i tak, jak podpowiada nam serce i głowa. Chcemy po prostu zostać zauważone, wysłuchani, dowiedzieć się, że ktoś ma podobne doświadczenia, które przecież są częścią naszego dochodzenia do tego, czego chcemy od miłości i na jakich zasadach chcemy z kimś być. Ja nie jestem jakąś ekspertką od związków. Związek to ciężka praca i o tym też mówię w podcastach.

Podcasty są takim elementem kultury, z której wykluczona jest część społeczeństwa. Ta część niesłysząca. „Idiotki” zostały przetłumaczone na język migowy.

– W ubiegłym roku oglądałam Galę Bestsellerów Empiku. Byłam nominowana w kategorii najlepszy podcast. Gala była tłumaczona na język migowy, a na słowo „podcast” nie ma w języku migowym znaku, musiał być literowany. Po tym mocno zaja-

rałam się tematem języka migowego. Fascynuje mnie to, co dla wielu osób jest niedostępne. Studiowałam mikrobiologię, bo było dla mnie podniecające, że mogę widzieć to, czego nie widać gołym okiem. Widziałam moje bakterie z jamy ustnej, czulałam się, jakbym miała dostęp do jakiejś wiedzy tajemnej. Podobnie miałam z językiem migowym. Wymyśliłam, by zrobić coś, czego jeszcze nie zrobił nikt, czyli przetłumaczyć podcast na język migowy.

Potrzebowałaś kogoś, kto to sfiansuje.

– Wiele firm powiedziało nam, że projekt jest zbyt niszowy. Tylko marka Reserved uznała to za świetny pomysł. Podcast został przetłumaczony przez Alę Szurkiewicz, która jest CODA, czyli słyszącym dzieckiem głuchych rodziców.

Były też głosy, że hej, nie ma napisów i dlatego. Nie każda głucha osoba miga. Chciałam też zainspirować innych. Koło Języka Migowego przygotowało wideo. Jest dostępny na YouTube i jest ekstra! Cieszę się, że kultura staje się coraz bardziej dostępna, bo przecież ona ma łączyć osoby o podobnych zainteresowaniach.

Przeczytałam książkę „Głusza” Anny Goc i ona mi bardzo wiele uświadomiła. To, jak nie zauważamy problemów osób głuchych, jak zmusza się je do dostosowania się do słyszących. Na Islandii nawet festyny czy wydarzenia w filharmonii są tłumaczone. W Reykjavíku w grudniu zawsze jest oficjalne odpalenie choinki. I zawsze jest tłumacz migowy. Bardzo mi to w tym kraju imponuje.

Współpracowałaś z Reserved, Centrum Praw Kobiet, już od kilku lat nagrywasz specjalny odcinek podcastu na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. Selekcjonujesz partnerów i reklamodawców?

– Gdybym zgadzała się na większość współprac, których propozycję otrzymuję, to miałabym już mieszkanie w Reykjavíku kupione za gotówkę i kilka mieszkań w Polsce. Ale to też nie jest tak, że nie współpracuję z markami. Mam po prostu bardzo surowe wytyczne: muszę być w stanie rzeczywiście polecić dane produkty. Kosmetyki nie mogą być testowane na zwierzętach, muszą stawiać na ekologię. Polecam rzeczy, w które po prostu wierzę. Kiedyś na jakimś prezentowniku poleciłam puzzle wykonane rzemieślniczo. Okazało się, że firma nie wyrobiła się z zamówieniami. Kupujący zapłacili, a swoich zamówień nie otrzymali. O ile się orientuję, to firma zwróciła ludziom pieniądze, ale się zamknęli. Ta sprawa kosztowała mnie wiele nerwów, bo obdarzyłam kogoś kredytem zaufania i się na tym przejechałam. Sądzę, że gdybym brała te wszystkie reklamy, to nie byłabym tak...

Wiarygodna?

– To dobre słowo. W Stanach Zjednoczonych podcasty zaczynają się i kończą reklamami, a nawet często są one w trakcie podcastu i trzeba się przez nie przebijać. Ja tak nie robię. Patrzę długofalowo. Dla mnie ważniejszy jest spokój i wiarygodność. Moim głównym zarobkiem, przychodem pasywnym, są pieniądze ze sprzedaży książki. Żyję na bardzo dobrym poziomie, mam poduszkę finansową, która pozwala mi, tak jak teraz, przez pewien czas nie nagrywać i nie martwić się o pieniądze.

Jakie propozycje odrzucałaś?

– Alkohol, suplementy, diety pudełkowe, leki, kosmetyki testowane na zwierzętach. Dostałam propozycję od wielkiego koncernu produkującego napoje gazowane, ale nie zgodziłam się, bo zanieczyszcza środowisko. Nie biorę udziału w zamkniętych wydarzeniach firmowych jako prelegentka, chociaż są to bardzo dobre pieniądze. Miałam współpracę za dobre pieniądze, ale później okazywało się, że dana marka chce np. za bardzo ingerować w treść nagrania, więc takie propozycje, które okazały się mordęgą, też odrzucam.

Teraz przebierasz w propozycjach, ale jeszcze niedawno, po tym, jak rzuciłaś pracę w warszawskiej korporacji dla Islandii, pracowałaś w gastronomii. Nie czułaś się dziwnie, tak bardzo zmieniając swoją ścieżkę zawodową?

– Nie, bo zostałam wychowana w szacunku do wszystkich zawodów. Ale oczywiście, mieszkając w Warszawie i pracując w reklamie, mocno definiowałam się przez pracę. Ludzie sobie przecież na grobach każą grawerować stopnie naukowe! I ja też tak miałam. Kiedy pracowałam w reklamie, byłam bardzo młoda. A jak przeprowadziłam się do Reykjavíku i zamieniłam pracę przy biurku, w której klikałam sobie coś na komputerze w długich paznokciach, na stanie po 12 godzin w kuchni, to moje ciało się zbuntowało. Wtedy zainteresowałam się jogą. Miałam strasznie nadwyrężony nadgarstek i prawą rękę od krojenia i jednostajnego ruchu. Długie paznokcie musiałam ściąć na krótko i darować sobie laker. Okazało się, że mam strasznie słabe ręce. A musiałam dźwigać garnki, które ważyły po 30 kg! Nawet nie wiedziałam, że są tak ogromne garnki. Przyjmowałam dostawy, które wydawały się nigdy nie kończyć, np. passaty pomidorowe w 5-litrowych baniakach. Kobiety w kuchni są raczej pomatane, bo uważane za słabsze. Bolały mnie plecy, stopy, miałam na nich straszne odgnioty. Dowiedziałam się, że są specjalne buty do pracy w kuchni! I podkładki na podłogi, żeby nie było na nich tak twardo.

W którymś z odcinków podcastu „Tu Okuniewska” mówiłaś, że ta praca w kuchni – w przeciwieństwie do tej w reklamie – dawała poczucie natychmiastowego efektu. I po zamknięciu drzwi dawała spokój.

– Wychodząc z kuchni, nie musiałam się martwić, czy ktoś za mnie dokończył gotować zu-

pę, czy będzie ruch, czy przyszła dostawa. Od klikiwałam się i miałam wolne. Wiedziałam, że nie czeka na mnie żaden mail. Nie zastanawiałam się, co będę robić jutro. Nie przynosiłam pracy do domu. Miałabym dogotować kaszę jaglaną? Teraz, kiedy pracuję na swój rachunek i mam elastyczny czas pracy, mam trochę problem, by się wylogować z ma-ila. Zdarza się, że nagrywam coś w Wigilię, bo taki mam termin. Zdarza się, że jestem zmęczona, bo przecież moja praca jest kreatywna. A pomysły nie pojawiają się na pstryknięcie palcem. Teraz opowiadałam o sobie, nie o innych ludziach, muszę mieć treści, którymi warto się podzielić.

Dzieliłaś się z ludźmi podcastami, napisałaś i wydałaś książkę, przygotowałaś bezplaner, czyli planer, ale bez dat, żeby nie powodował u właścicieli czy też właściciela stresu związanego z terminami, a za jakiś czas wyjdzie serial na podstawie „Idiotek”. Masz wpływ na to, jak będzie wyglądał?

ILUSTRACJA: MAŁGORZATA BIEROZA



– Będę uczestniczyć w pisaniu scenariusza. Współpracuję z Maćkiem Musiałem i dużym domem produkcyjnym, ale nie mogę jeszcze zdradzić jego nazwy. Z Maćkiem Musiałem i Martą Niemirą tworzymy zgraną i trzeźwo myślącą trójkę. Wszyscy się liczą z moim zdaniem, bo wiedzą, że najlepiej znam społeczność, do której serial będzie kierowany. Nie zamykamy się tylko na polską widownię, bo producenci są międzynarodowi. Historie muszą być bardzo uniwersalne.

Zakochiwanie się jest uniwersalne.

– W Polsce szczególnie wpływ na te sprawy ma religia. I to są takie niuanse, które odróżniają doświadczenia Polek i Polaków od doświadczeń osób z innych krajów. Mam nadzieję, że w serialu uda nam się trochę tego pokazać.

Jak już wspomniałaś o wpływie religii, to przez nią wielu związkom nie daje się legitymacji do istnienia.

– Na Islandii ludzie dużo częściej niż w Polsce się rozstają, ale robią to w pokojowy sposób. Są rodziny patchworkowe, posklejane z różnych związków, dzieci z jednej matki mają różnych ojców, ale nie robi się z tego jakiegogoś halo. I te rodziny patchworkowe spotykają się na święta.

Niedawno ogłosiłaś w mediach społecznościowych rozstanie z Amadeuszem, ojcem Helenki. Od razu napisały o tym plotkarskie serwisy. Jakie to uczucie być na świeczniku?

– Okropne. Ogłosiłam rozstanie, bo chciałam to zrobić na swoich warunkach, nie czekać, aż ludzie zaczną tworzyć w internecie teorie spiskowe. Okazało się, że niektórym nie mieści się w głowie, że ludzie mogą się rozstać w sposób przyjacielski, kibicować sobie, po rozstaniu spędzać razem czas, akceptować nowych partnerów. Coś, co jest dla mnie już

normą, bo obserwuję to na Islandii. Przykro było mi natykać się na niektóre komentarze, ale wyciągnęłam lekcję na przyszłość. Mój kolejny związek zachowam dla siebie, właśnie po to, by ochronić ukochaną osobę przed zranieniem w internecie. Internet nie jest tylko przyjaznym miejscem.

Wspominałaś o nauce islandzkiego. Jak ci idzie?

– Muszę się pochwalić, że zajebiście! Ostatnio, jak jechałam do mechanika po samochód, zamówiłam po islandzku taksówkę i instruowałam taksówkarza, jak ma jechać. Jeżeli nie jestem w stanie dalej prowadzić rozmowy po islandzku – przechodzę na angielski.

Angielski jest w powszechnym użyciu na Islandii?

– Po angielsku mówią wszyscy, nawet najstarsze pokolenia. Musieli nauczyć się angielskiego, żeby wiedzieć, co dzieje się w trakcie II wojny światowej. W tym czasie docierały do nich stacje radiowe z Wielkiej Brytanii

Kocham
moją córkę
bez żadnych
oczekiwań.
Nie oczekuję,
że poda mi tę
szklankę wody

albo ze Stanów Zjednoczonych. Uczyli się języka też od żołnierzy stacjonujących u nich. Teraz dużo się mówi o tym, że na Islandii zamiera islandzki, bo jest zastępowany angielskim. Islandczycy mają dużą potrzebę chronienia swojego języka.

Reykjavik to jest miasto, w którym chcesz żyć?

– Teraz tak, ale jak będzie później, to nie wiem. Może kiedyś kupię albo wybuduję dom pod miastem? To takie moje małe marzenie. Na razie mnie na to nie stać, bo nieruchomości są tu strasznie drogie. Chciałabym mieć coś swojego, taką przystań. Teraz, jak rozmawiamy, mamy piękny dzień, wyszło słońce. I to mi przypomina, że nawet po najgorszej zimie będzie w końcu ładnie. I tego też trochę Islandia uczy.

Islandia to też zupełnie inny rytm niż Polska. Białe noce albo ciemne dni. Zima. Trudno było ci się przestawić?

– Mój były partner miał z tym większy problem, musiał brać melatoninę, którą do niedawna było bardzo trudno tu dostać. Teraz jest łatwiej, ale jest koszmarnie droga. Ten, kto może, sprowadza ją z Polski. Ja lubię ten islandzki rytm. Zimą jest bardzo przytulnie, jest śnieg, wszędzie są lampki, ludzie jeżdżą na łyżwach. Bardzo lubię lato, gdy słońce nie zachodzi. Albo wracasz z jakiegoś miejsca i zachodzi przed północą. Orientujesz się, że na ulicach jest tak pusto właśnie dlatego, że jest noc. Jak o 23 jest jeszcze jasno, to można coś jeszcze porobić, np. posiedzieć na balkonie z kubkiem herbaty.

Oglądać zorzę polarną.

– To spektakularne zjawisko i mam duże szczęście, że mieszkam w takim miejscu, z którego ją widać. Romantyzowanie Islandii wynika pewnie także z tego, że dzieje się tutaj dużo niewiarygodnych rzeczy. Zorza polarna, ob-

serwowanie wulkanu podczas erupcji, różowe meduzy czy wieloryby wpływające do portu. Nie zamieniłabym tego magicznego świata na nic innego, nawet jeżeli w Polsce żyłoby mi się lepiej finansowo, bo nie musiałabym mojej wypłaty dzielić przez trzy. Za rok mam test na obywatelstwo. Będę musiała wykazać się znajomością kultury i języka. Ale Polska jest wciąż ważna. Tęsknię za nią, przebiegam nogami, kiedy przyjadę, bo jednak dobrze jest być w miejscu, które dobrze znasz, w którym możesz wszystko zrozumieć i we wszystkim uczestniczyć. Bo ja teraz w Islandii, dopóki nie nauczę się płynnie islandzkiego, mam ograniczony dostęp do takiego przeżywania. W Polsce lubię pojechać na działkę do dziadka, na której chodzę w gumowych klapkach, a Helenka gania boso. Być może tak jak my mamy pretensje do naszych rodziców o różne sprawy, to ona będzie miała do mnie o to, że za rzadko bywa w Polsce, że miała za mało doświadczeń upalnych wakacji.

Powie ci o tym za 30 lat.

– Będzie nagrywała podcast i narzekała na nasze decyzje rodzicielskie.

Chciałabyś, żeby Helena wysłuchała twoich podcastów?

– Na pewno ich kiedyś posłucha, więc bardzo uważam na to, co mówię.

Autocenzura?

– Nie, po prostu z szacunku do niej nie mówię za dużo o jej życiu. Mówię o tym, co robimy, ale nie mówię o jej przeżyciach czy o tym, jaka ona jest. Niech sama kiedyś powie, jaka jest naprawdę. Widzisz, ja ją znam dopiero dwa i pół roku!

I od tego czasu jesteś w nowej roli. Roli mamy. I o tej roli, wyzwań, oczekiwani, stereotypów, niespodzianek, jest twój najnowszy podcast – „Matka matce”. Którego, jak widzę, słuchają nie tylko matki, ale też bezdzietne osoby.

– Od początku staram się, żeby był to podcast dla każdego – bo tak naprawdę mówię w nim o dziecku, które każdy z nas ma w sobie. Każdy z nas może, słuchając, cofnąć się do czasów swojego dzieciństwa. Dostaję komentarze, że ten podcast pozwala przyrzeć się sobie jako małemu człowiekowi i wybaczyć dorosłym niektóre sytuacje. Pozwala też lepiej zrozumieć dzieci – cofnąć się do tego, jacy byliśmy.

To, o czym mówisz w podcastach, jest nierozzerwalnie związane z tym, w jakim momencie w życiu jesteś. Mówisz o tym, co znasz.

– I nie koloryzuję. Przecież wszyscy moi bliscy by to słyszeli. Te 5 lat nagrywania podcastu to 5 lat mojego życia. Zaczynałam, pracując w kuchni, bez dziecka, w stałym związku. Teraz nagrywam z perspektywy matki, mającej swój biznes, szukającej miejsca dla siebie po rozstaniu. Odkrywającej powoli, kim tak naprawdę przez całe życie byłam i czego chciałam.

Mówisz w podcastach o obniżonym nastroju, depresji. To temat, który jest ostatnio dość popularny. Z tym że ta popularność często nie sprzyja rzeczowości rozmów. Są ludzie, którzy twierdzą, że depresja jest modą.

– Jeżeli ludzie mieliby się diagnozować ze względu na taką modę, a to miałyby wpłynąć na poprawę ich komfortu życia, to, kurczę, niech tylko takie mody będą! Jeżeli moje świadectwo choroby ma komuś pomóc, a wiem, że to pomaga, bo wtedy wiele osób się przelamuje i zastanawia się nad pójściem do psychiatry, to niech tak będzie. Mam kilka koleżanek, u których widoczne były objawy depresji, mogłam im pomóc, pokierować, a teraz, dzięki lekom, stanęły na nogi i unikliśmy tragedii.

Musimy tworzyć społeczeństwo, w którym mam odwagę mówić o swoich emocjach i uczuciach. Mieliśmy pokolenia, które się bały o tym mówić. Wiadomo, jak to się kończy. ●

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Z KOLARZAMI, POPULARYZATORAMI KOLARSTWA I KULTURY ROWEROWEJ **RAFAŁEM I MIKOŁAJEM JURKOWLAŃCAMI** ROZMAWIA **KAROLINA KIJEK**

KAROLINA KIJEK: Naprawdę zostawił pan nastoletniego syna w czasie wyścigu po tym, jak się wywrócił?!

RAFAŁ JURKOWLANIEC: To nie tak! Zatrzymałem się, ocuciłem zawodnika i zapytałem, czy wszystko w porządku.

Chwilę pogadaliśmy, był w pełnym kontakcie, a do mety ostatnia prosta, więc ruszyliśmy. Ja na przodzie, ale pomimo spektakularnego upadku Mikołaj dojechał zaraz za mną.

MIKOŁAJ JURKOWLANIEC: Pamiętam tyle, że lecę z góry, tracę kontrolę nad rowerem, nogi spadają z pedałów i uderzam głową w drzewo.

R.J.: Wtedy coś ci się w niej przestawilo i pokochałeś rowery.

A wcześniej?

M.J.: Jazda na rowerze mnie w ogóle nie interesowała. Deskorolka to była moja pasja, w koszykówkę też grałem.

R.J.: Wygrzebałem zdjęcia z przeszłości, proszę zobaczyć. Na tej fotografii widać naszą pierwszą wspólną wyprawę, Mikołaj miał 12 lat. Jechaliśmy do moich rodziców do Nowego Sącza, specjalnie kupiłem nam tandem. A na tym zdjęciu właśnie dojechaliśmy nim do Berlina, dlatego Mikołaj pozuje z tablicą wjazdową.

Widać, że zmęczony.

M.J.: Jak wyjeżdżaliśmy z domu, to już byłem zmęczony. Ja tych wypraw za bardzo nie lubiłem, bo byłem po nich zajęchany. Gdy dotarliśmy do Berlina po trzech dniach pedalowania, to mówiąc do taty, zasypiałem. Na wycieczce po Litwie, gdzie byliśmy później już na dwóch osobnych rowerach, tak brakowało nam energii, że na kolanach i garściami jedliśmy poziomki z rowów.

Teraz to dla mnie piękne historie, które wyrobiły mi charakter, ale prawda jest taka, że na tej jeździe się kompletnie nie znaliśmy.

Dlaczego jeździliście na te wyprawy?

M.J.: Ja jeździłem, żeby się z tatą zobaczyć. Po rozwodzie z mamą nie mieszkał już z nami.

R.J.: A ja chciałem, żeby było coś, co nas łączy. Rower kochałem, a nie byłem wielkim fanem deskorolki, z punktu widzenia rodzica ta subkultura średnio wyglądała. Chłopaki siedzą, jointy palą, wracają poobijani.

Postawiłem więc sobie za punkt honoru, żeby Mikołaja przekonać do rowerów. Wyprawy były nieskuteczne, ale górski wyścig w Boguszowie-Gorcach, gdzie zdarzył się ten wypadek, zadziałał.

Zaczął trenować, po czasie wygrywać ogólnopolskie zawody, a od ponad 10 lat jako dziennikarz pisze o kolarstwie.

R.J.: Kiedy miałem te ponad trzydzieści lat, a on był nastolatkiem, to jeszcze rywalizowaliśmy, bo siły były podobne. Później, gdy za-



TYŁEK WCALE NIE BOLI

Kolarstwo uczy, jak dobrze
smakują zwykłe, proste rzeczy.
Suche ubranie na zmianę, zimna
cola wypita na postoju

czął ćwiczyć, już nigdy nie miałem z nim szans.

Skończyły się też nasze wyjazdy, bo był w cyklu treningowym, jeździł na zawody.

Ale naprawdę jestem dumny i szczęśliwy, że udało mi się zaszczyć w nim sport, który kocham, i że postanowił z miłości do rowerów żyć.

Pan wybrał kolarstwo podróżnicze.

R.J.: Jestem obieżyświatem, włóczykijem. Jeżdżę na długich dystansach, na lekkim rowerze i z małym bagażem. Zacząłem z sześć lat temu, kiedy nie byłem już tak obciążony pracą.

Wcześniej był pan dziennikarzem, założycielem radia, marszałkiem, wojewodą, prezesem Legnickiej Strefy Ekonomicznej...

R.J.: Do 2016 r., bo po wygranych wyborach, PiS zrobiło w strefie swoje porządki. Założyłem wtedy działalność gospodarczą, zacząłem mieć więcej czasu i pomyślałem, że połączę dwie pasje: do podróżowania i roweru.

Zacząłem od Izraela. Przejechałem też od Bangkoku przez Kambodżę do Wietnamu. Pojechałem z Singapuru przez Malezję do Tajlandii. Zrobiłem kilka tourów przez Europę, z Wrocławia do Lizbony, Chorwacji, do Ukrainy.

Ciągle próbuję uzupełniać na raty swoją podróż dookoła świata. Ubiegłego lata przez dwa miesiące pedalowałem przez Stany Zjednoczone, dojechałem znad Atlantyku nad Pacyfik. Tej zimy przez miesiąc podróżowałem po zachodniej Afryce.

Co jest najważniejsze w wyprawie?

R.J.: Przygotowanie sprzętu, siebie i trasy.

Sprzęt musi być sprawdzony, niekoniecznie nowy czy drogi. Przed wyjazdem trzeba też trochę potrenować i wiedzieć, skąd startujemy i dokąd jedziemy. Kiedy już znamy cel, to jest z górki, bo każdy dzień nas do niego przybliża.

Jak się jedzie w burzy piaskowej?

R.J.: Szybko i niebezpiecznie. Na Saharze jechałem z wiatrem, więc na płaskim rozpędziłem się do 82 km/h, to do dziś mój rekord prędkości. Po drodze zatrzymała mnie policja i odesłała do hotelu. Z okna widziałem spychacze, które odgarniały piasek z drogi na pobocze niczym pluży śnieg.

Gdzie spotkał się pan z największą życzliwością?

R.J.: W głowie mam ostatnią podróż do Afryki, więc w Mauritani. To kraj, do którego polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych „odradza wszelkie podróże” i ostrzega przed napadami czy porwaniami.

Jadąc przez Saharę, zobaczyłem w lusterku starą toyotę, włożyła się za mną tak powoli, że zacząłem się obawiać. Po chwili podjechała bliżej, szyba opadła, a ludzie podali mi reklamówkę z jedzeniem. Później się dowie-

działem, że na pustyni pomaga się samotnym wędrowcom.

Największy strach pan pamięta?

R.J.: Dopadł mnie też na pustyni, ale w Izraelu. Do celu miałem jeszcze 50 km, a zapadła noc i ciemność jak w kopalni, nigdy wcześniej takiej nie doświadczyłem. A ja miałem tylko małą lampkę ze słabą baterią. Od tego czasu mam obsesję, jeśli chodzi o światło, i na każdy wyjazd biorę po dwie silne lampy na przód i tył.

Obawiałam się, że przeżył pan naprawdę dramatyczną historię. W końcu jedzie pan sam przez różne okolice.

R.J.: To zaskakujące, ale samotny kolarz podczas wypraw naprawdę spotyka się z życzliwością.

Kiedy w maju jechałem do córki do Londynu, to uświadomiłem sobie jedno: Europa to najlepsze miejsce do życia na świecie, jeśli chodzi o klimat, bezpieczeństwo, warunki. Nawet w najtańszym, przydrożnym hotelu miałem świeżą pościel i ciepłą wodę. A europejscy kierowcy jeżdżą naprawdę okej.

Podczas podróży przez zachód Afryki kładłem się do hotelowych łóżek, w których ewidentnie parę osób przede mną spało, a właściciele hoteli radzili się cieszyć, że w ogóle jest woda, bo przecież jesteśmy na pustyni.

Do córki do Londynu mógł pan samolotem lecieć, a nie przez kilka dni pedałować.

R.J.: Tyle że dla mnie nie cel jest najważniejszy, ale to, że do niego jadę. Brzmi banalnie, ale naprawdę tak jest.

Zawsze mi się wydaje, że kiedy po tych kilku tygodniach pedałowania dojadę do wymarzonej mety, będzie to niezwykle doświadczenie. Ale ani w Azji, ani w Ameryce, ani w Afryce takie nie było. Nigdy nie ma confetti i orkiestry. Zawsze po prostu jestem zadowolony, że dotarłem. Robię zdjęcie, idę zjeść, pakuję się i wracam. Czasem się dziwię, że to tak szybko zleciało.

Co innego, kiedy jestem w drodze. Czuję wolność, panowanie nad rzeczywistością. Wszystko jest na moich warunkach, jadę, gdzie chcę.

M.J.: To się nazywa flow, nawet w psychologii funkcjonuje takie określenie. To euforia wywołana całkowitym zaangażowaniem się w jakąś czynność, czyli na przykład w jazdę na rowerze. Ty masz takie flow w podróży, ja – kiedy jeżdżę po górach lub na szosie.

Opowiedz o tym.

M.J.: Każdy typ kolarstwa coś w sobie ma. Nawet torowe, które wydaje się nudne, bo przecież ludzie jeżdżą w kółko, od strony technicznej i taktycznej jest ciekawe. Tę ich prędkość, dochodzącą do 70 km/h, naprawdę przy torze czuć.

Kolarstwo szosowe to sport zespołowy, kilku zawodników pracuje na wynik jednego. Kiedy wyścig się poukłada, to przez pewien czas peleton po prostu jedzie i bywa, że niewiele się dzieje. Inaczej w MTB, czyli kolarstwie górskim, w którym jestem zdany na siebie i dużo dzieje się od startu do mety. I to na dwóch płaszczyznach: wokół są rywale, a dodatkowo sama trasa jest wymagająca. Przez te uskoki, kamienie i korzenie często wyzwaniem jest w ogóle przejechać.

Dla mnie im trudniej, tym ciekawiej i bardziej mi się podoba.

O czym myślisz, kiedy jedziesz po tych kamieniach?

M.J.: W kolarstwie, i w ogóle w sporcie, ważny jest automatyzm. Im mniej myślę podczas wyścigu, tym lepiej. Włączam myślenie dopiero przed metą, kiedy nie ma już żadnych podjazdów, jedziemy na przedzie w kilka osób i wiadomo, że któryś z nas zwycięży. To moment, który trzeba mądrze rozegrać. Wtedy człowiek analizuje: Kto pierwszy wyjedzie naprzód? Czy mam to

być ja, czy lepiej poczekać? Zazwyczaj ten, kto atakuje pierwszy, przegrywa.

Nie chciałeś żyć z kolarstwa zamiast z pisania o nim?

M.J.: W branży kolarskiej to trudne, niestety nie ma tak, że będąc w pewnej lidze, człowiek ma stały dochód. Nie ścigam się wybitnie, ale gdybym był piłkarzem na podobnym poziomie, to zarabiałbym nieźle.

Jeśli kolarz zarabia, to raczej niewielkie pieniądze, ryzykując zdrowie – mnie wypadek na pół roku wyeliminował ze sportu – i poświęcając życie prywatne. Zimą spędza się w ciepłych krajach na treningach, bo polska pogoda się wtedy do nich nie nadaje. To więc niełatwy sport pod kątem rodzinnym.



• Mikołaj i Rafał Jurkowiakowie FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

A ty masz trójkę dzieci. Też lubią rowery?

M.J.: Najstarsza Lena jeździ, bo lubi oglądać widoki. Antoś, średni, ma sportowe ambicje, jak nie podjedzie pod górkę, to płacze. Najmłodsza córka jeszcze jeździ w foteliku, ale sama wskazuje ręką, że chce do niego wejść.

Zasada jest jedna: jeżdżą, jak i kiedy chcą, do czasów nastoletnich to ma być dla nich zabawa. Nie podoba mi się, kiedy widzę, że rodzice przez swoje ambicje naciskają na dziecko, żeby stało się zawodnikiem. Dziedzina nie ma znaczenia, to po prostu niezdrowe.

Ale przecież ciebie tato nakierował.

M.J.: Zaraził mnie pasją, ale zacząłem treningi w dość późnym wieku – miałem 16 lat. Byłem już dużym gościem i sam zdecydowałem, a tato mnie tylko wspierał.

Tak samo chcę zrobić jako ojciec. Też będę im pomagał, kiedy już znajdą swoją drogę.

Łapiesz się na tym, że myślisz: „Zachowuję się jak mój tato”?

M.J.: Raczej nie, ale zauważyłem, że nie stawiam dzieciom granic ze strachu o nie. To chyba też odziedziczyłem po jego sposobie wychowania.

Kiedy miałem 14 lat i byliśmy w Londynie, to pozwolili, żebym sam jeździł metrem. Mama w życiu by się nie zgodziła. Teraz, gdy chodzę z dziećmi na plac zabaw, to pozwalam im wspinać się na drzewa. Żona zawsze ostrzega, że jedno czy drugie „wchodzi wysoko”, ale odpowiadam: „spokojnie, poradzi sobie”.

Tak naprawdę to bardzo się boję, ale wiem, że jeśli nie dam im wolności, jak ich nie puszczę, to się nie nauczą, jak sobie radzić.

R.J.: Ja też bardzo się bałem, ale wiedziałem, że można ci zaufać. Byłeś i jesteś rozsądnym chłopakiem.

M.J.: Ty też wyniosłeś to podejście do domu, od swoich rodziców. Kiedyś mówiłem bab-

ci, że się martwię, bo ktoś tam jest w drodze i nie dzwoni, to odpowiedziała: „Jak nie dzwoni, to dobrze. Jak zadzwoni, to znaczy, że coś się stało”.

R.J.: To prawda, miałem bardzo długą smycz. Jako 13-latek pojechałem sam przez całą Polskę pociągami, a kiedy miałem 15 lat, to wędrowałem samotnie po górach.

Pana rodzice też pasjonowali się rowerami?

R.J.: Nie, zupełnie nie byli rowerowi.

Wyścig Pokoju pewnie pan śledził.

R.J.: Oczywiście, dla mojego pokolenia to było jak Tour de France dla pokolenia Mikołaja. Ryszard Szurkowski i Stanisław Szozda to legendy mojego dzieciństwa.

Kiedy jako dorosły człowiek poznałem tych wielkich kolarzy i jeszcze ścigałem się z nimi w amatorskich zawodach, było mi bardzo miło.

Pamięta pan swój pierwszy rower?

R.J.: Dostałem go na komunię. To był składek Karat, niesłuchanie ciężki, a musiałem go codziennie wnosić do naszego mieszkania na trzecim piętrze bloku. Dzisiaj bardzo cenię to, że rower może być lekki.

To ile waży pana obecny?

R.J.: Ten od wypraw – dziewięć kilogramów. Ekwipunek ma nie więcej niż siedem kilogramów. To razem tyle, ile waży standardowy miejski rower.

A w tym ekwipunku to co pan ma?

R.J.: Wodę, lekarstwa, odżywkę, dwie pary kolarskich ubrań i komplet cywilnych ciuchów. Do tego japonki i buty kolarskie.

Narzędzia?

R.J.: Dętka, pompka, latki, komplet kluczy i skuwacz do łańcucha. Dużego serwisu zabierać nie trzeba.

M.J.: Jeśli w rowerze coś się psuje, to zazwyczaj rzeczy podstawowe. Łańcuch może się zerwać, ogumienie pęknąć.

I to wszystko naprawdę wystarczyło na dwa miesiące podróży po USA?

R.J.: W zupełności. Jeśli rower jest ciężki, to człowiek jedzie powoli, a na podjazdach bardzo się męczy. Najważniejszy jest telefon. To karta płatnicza, mapa, narzędzie do komunikowania się, rezerwowania hotelu...

I do wrzucania relacji w media społecznościowe.

R.J.: Na początku chodziło o to, żeby rodzina wiedziała, gdzie jestem. Z czasem zobaczyłem, że moje wpisy w wypraw mają coraz większą grupę obserwatorów. Zacząłem się tym bawić, robiłem więcej filmów i zdjęć. Teraz chcę pokazywać ludziom, że w dowolnym wieku można robić nie-

przeciętne rzeczy, jak właśnie zwiedzać świat rowerem.

Dalej jeździcie razem?

M.J.: Ciągłe mamy w planach, ale logistycznie, z powodów rodzinnych, jest ciężko to zrealizować.

R.J.: Poza tym Mikołaj jeździ zdecydowanie szybciej niż ja, moje tempo byłoby dla niego męczarnią. Za to wspomaga mnie przed wyprawami. Ostatnio sprawdził, czy serwis odpowiednio przygotował mi rower, i jeszcze znalazł elementy, które wymagały korekty.

Czego dowiedzieliście się wzajemnie o sobie dzięki rowerowi?

R.J.: Ja chociażby właśnie tego, że syn ma zdolności manualne i potrafi majsterkować. No i że jest twardym gościem, który konsekwentnie dąży do celu.

M.J.: A ja zobaczyłem, jaki jesteś spontaniczny. Czasem dzwoniłeś i pytałeś: „Jedziemy do Nowego Sącza za godzinę?”, a przecież to drugi koniec Polski. Ostatnio zaskoczyłeś mnie tym, że jesteś naprawdę niezależnym influencerem od rowerów. No i naprawdę mi zaimponowałeś tym wyprawami. W sumie nigdy ci tego nie mówiłem.

Niemiec Heinz Stücker objechał cały świat na rowerze, podróżował przez 50 lat. Parę lat temu powstał o nim film „Człowiek, który chciał zobaczyć wszystko”. Stücker zobaczył, ale gdy wrócił, to do pustego domu. Rodzice umarli, dawni znajomi się zestarzelili.

R.J.: Myślałem o tym, żeby wyruszyć w bardzo długą podróż po świecie, ale wyprawy uświadomiły mi, że lepiej objechać go na raty. To nie rozbija normalnego życia. Moje życie jest tutaj, we Wrocławiu, gdzie rodzina i przyjaciele.

Najlepsze są podróże 2-4 tygodniowe, bo mogę się oderwać od codzienności, ale z nią nie zrywam. Kiedy jestem na wyprawie ponad miesiąc, to wpadam w taki beczas, przestaję wiedzieć, który jest dzień tygodnia.

Zastanawiam się, czy ta pasja coś was kosztuje.

M.J.: Czas. On jest najbardziej kosztowny i najtrudniej go wygospodarować. Jeśli cztery godziny z doby chcę poświęcić na jazdę, to na czymś innym muszę go oszczędzić. Niekiedy miałem poczucie, że nagię nam granicę i żona może pomyśleć, że stawiam rower na pierwszym miejscu.

R.J.: Kosztuje też dosłownie, bo to nie jest najtańszy sport. Ale kiedy widzę kolegów, którzy mają kryzys wieku średniego, kupują porsche za 700 tys. zł, to kilkanaście tysięcy rocznie, które przeznaczam na wyprawy, wydaje mi się dość skromnym wydatkiem.

Minusem jest to, że długie wyjazdy jednak mają pewien wpływ na życie rodzinne. Na szczęście moja żona i córki bardzo mnie w tym rowerowym szaleństwie wspierają.

A samotność?

R.J.: Trochę się jej bałem. Ale przekonałem się, że świat naprawdę jest globalną wioską, nawet na Saharze miałem internet. Dzięki temu, że dodawałem te relacje do sieci i ludzie reagowali, to miałem poczucie, że nie jadę sam. No i kontakt z najbliższymi to był zaen problem.

M.J.: Jak tato ma na wyprawie kryzys, to lubi zadzwonić i pogadać.

A ty?

M.J.: Rower nauczył mnie nie mieć kryzysów. Te największe przeżywałem podczas tych naszych pierwszych wypraw. Dzisiaj wiem, kiedy i co jeść. I że jeśli jadę cztery godziny, to spalę cztery tysiące kilokalorii i tyle muszę organizmowi dostarczyć, inaczej grozi mi odcięcie prądu.

Czyli?

M.J.: To moment, gdy przestajesz panować nad rowerem, nie masz siły pedałować, zwalniasz tempo. Na wyścigach widywałem ludzi, którzy aż musieli zejść z roweru i położyć się w polu, żeby odpocząć.

Po jakim czasie zaczynają boleć pośladki?

M.J.: Wcale nie muszą boleć. Rower musi być dobrze dopasowany do budowy ciała, wzrostu i miednicy. Ta różni się nawet u mężczyzn, u wyższych jest zwykle węższa. Do tego warto mieć spodenki kolarskie.

Co ważne, jeździmy bez bielizny, czyli zakładamy je na gołe ciało, a pod spód smarujemy się specjalną maścią, która zmniejsza tarcie i jest antybakteryjna.

Ostatnia sprawa to trening, czyli regularne siedzenie na rowerze. Chodzi o adaptację ciała, nie ma tu żadnej magii. Wystarczy trzy razy w tygodniu po dwie godziny, żeby taką kilkutygodniową wyprawę, jakie robi tata, przejechać.

Boisz się o tatę?

M.J.: Czasem myślę o ruchu drogowym, który go czeka. Wiem, że bywa niebezpiecznie.

R.J.: W Afryce czułem samochody na lokciu, miały mnie o kilka centymetrów. Kiedy później wjechałem do zachodniej Europy, miałem wrażenie, jakbym jechał w puchu, tak auta były daleko.

Jak się jeździ po Polsce?

R.J.: Całkiem bezpiecznie, choć oczywiście zawsze może się znaleźć jakiś wariat.

M.J.: Niektórzy kierowcy bywają niebezpieczni, ale z drugiej strony część rowerzystów też jeździ słabo, przecinają jezdnie i łamią przepisy, ale bycie szeryfem w aucie w takiej sytuacji jest śmiertelnie niebezpieczne. Człowiek na rowerze, w zdarzeniu z samochodem, jest bezbronny.

R.J.: Daleko nam do Holandii, gdzie w Amsterdamie tramwaj na głównej drodze się zatrzymał i zaczął dzwonić, żebym na rowerze wyjechał z podporządkowanej. Ale mimo wszystko polscy kierowcy jeżdżą dziś o wiele świadomiej, po części dlatego, że są także rowerzystami.

Kiedy w 1986 roku przyjechałem do Wrocławia na studia, to jako jedyny dojeżdżałem na uczelnię na rowerze. To był sport ekstremalny, bo wszędzie kostka i tory tramwajowe nie do przejechania. Dziś narzekamy, że gdzieś nie ma ścieżki rowerowej, a kiedyś ich po prostu nigdzie nie było.
M.J.: Ja, im jestem starszy, tym mniej lubię jeżdżenie po mieście. Traktuję jazdę na rowerze jako odpoczynek od hałasu i ruchu.

I gdzie nim wtedy jedziesz?

M.J.: W bardzo różne miejsca. Ostatnio tuż po godz. 5 rano, żeby zdążyć przed normalnym życiem, pojechaliśmy z kolegą na wyprawę z Wrocławia do Doliny Baryczy.

Lubię w kolarstwie to, że jestem blisko przyrody. Jadę wolniej niż autem. Czuję zapachy.

Co jeszcze daje ci rower?

M.J.: W wielu obszarach życia mi pomaga. Kiedy patrzę na współczesne

dzieciaki, które siedzą przy komputerach, to myślę, że dzięki rowerowi nauczyłem się wiele o przetrwaniu. Wiem chociażby, że zawsze można znaleźć kreatywne rozwiązanie problemu. Zdarzało mi się pukać do domów i prosić o worek na śmieci, żeby założyć go sobie podczas deszczu. Łatwo można przemarznąć.

Rower nauczył mnie też, jak dobrze smakują zwykle, proste rzeczy, jak zimna cola wypita na postoju.

A pan czego się nauczył dzięki rowerowi?

R.J.: Tego, że mogę spełnić dowolne marzenie. Choć czasem sam się dziwię, że coś robiłem, kiedy później oglądam zdjęcia albo filmy z wypraw.

Dlaczego?

R.J.: Bo na przykład śpię na środku Sahary, w pomieszczeniu gospodarczym, gdzie załatwiają się koty. To jedyne miejsce, gdzie mogę się bezpiecznie zdrzemnąć. Śmierdzi i jest brudno, ale jestem tam naprawdę najszczęśliwszy na świecie, bo mam dach nad głową i wiem, że niedługo mogę jechać dalej. ●

Karolina Kijek

Rafał Jurkowłaniec

● ur. w 1967 r., przedsiębiorca, były polityk, dziennikarz, urzędnik, blogger. W latach 2007-10 wojewoda dolnośląski, do 2014 r. marszałek województwa dolnośląskiego. Wcześniej był dziennikarzem „Wyborczej”, kierował wrocławską redakcją Radia Eska, był naczelnym „Słowa Sportowego” i dyrektorem koszykarzy Śląska Wrocław. Od 8 lat prezes Dolnośląskiego Związku Kolarskiego. Globtroter, kolarz długodystansowy, prowadzi blog Notojade.pl

Mikołaj Jurkowłaniec

● ur. w 1990 r., dziennikarz, kolarz i ekspert rowerowy. Był wyczynowym kolarzem górskim, redaktorem „Magazynu Rowerowego”, dziennikarzem, testerem sprzętu i publicystą magazynu „Szosa”, obecnie pisze w portalu Bikeworld.pl oraz testuje rowery i udziela porad na kanale YouTube Bikeworld.pl. Swoją pierwszy Tour de France wygrał z 10-minutową przewagą, tylko jego bał się i szanował Lance Armstrong, miał być nowym Eddym Mercxem, kolarzem wszech czasów. Ale z presją, wspomnieniami z dzieciństwa i nadwrażliwością radził sobie nie z pomocą psychologa, ale narkotyków, whisky i szybkich samochodów. „Jan Ullrich. O tym, który mógł być najlepszy” już w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.

MIB

Dzięki rozpoznaniu groźnej przestępczyni w małej dziewczynce Will Smith zostaje przyjęty do Men in Black. Ta scena musiała zapaść w pamięć 25-letniemu Andrzejowi Dudzie.

Michał Rusinek

Wokragłą 104. rocznicę utworzenia polskiej policji prezydent Andrzej Duda przemawiał na placu Zamkowym w Warszawie do funkcjonariuszy i funkcjonariuszek. Jego przemówienie miało przede wszystkim charakter dziękczynny: słowo „dziękuję” padło aż 27 razy.

Charczącym, twardym męskim głosem dziękował za przybycie, za obecność, za zapewnianie bezpieczeństwa (dwukrotnie, przy czym raz z całego serca), za przekształcenie Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie w Akademię Policji, za wdrażanie programu modernizacji polskiej policji (panu ministrowi), za ustawę o specjalnym świadczeniu dla rodzin policjantów, za mądrą politykę kadrową, za podwyższenie wynagrodzeń, za chronienie Rzeczypospolitej, za stworzenie Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości, za misje międzynarodowe, za wsparcie Ukrainy, za pomoc Służbie Granicznej na granicy z Białorusią (bez wchodzenia w szczegóły), za wierną służbę, za mądrość, za wspieranie najbliższych i za to, że „jako polska policja – jesteście tacy, jacy jesteście”. Na koniec poprosił Boga o błogosławieństwo dla „naszych funkcjonariuszek i naszych funkcjonariuszy” i oddał ich Jego opiece.

Zakończył więc swoje przemówienie w duchu chrześcijańskim, ale podszyte ono było manichejską wizją świata. Świat jest bowiem z natury zły, zwłaszcza po zmroku. Obawiamy się napaści, rabunku, pobicia, śmierci i porwania (kolejność oryginalna). Pod szkołami czatują na nasze dzieci „handlarze narkotyków i innymi rodzajami śmierci”, w internecie na nasze pieniądze czyhają cyberprzestępcy. W Polsce jednak jest inaczej niż w innych krajach. Przestępcy mogą sobie czatować i czyhać, ale niewiele wskórają. Bo w Polsce działa polska policja, dzięki której „można spokojnie wrócić do domu” i „nikt się nie obawia, że zostanie napadnięty, że kobiecie wyrwą torebkę”.

Polska policja jest tak skuteczna w walce ze złem mimo – a może dzięki temu – że jest „miękką”, a nie „ostrą”, jak w USA czy we Francji. A przede wszystkim dzięki temu, że „interweniuje adekwatnie”. Jak rozumiem – także wnioskując po groźnej minie i wysuniętym podbródku – pan prezydent odniósł się tutaj do głośnych ostatnio zarzutów, że policja interweniuje nieadekwatnie, zwłaszcza gdy wytropi cię chęci dokonania przez kobietąaborcji.

Następnie pan prezydent wypowiedział ciekawe pod względem składniowym zdanie: „Jest niezwykle miłą sytuacją, kiedy tutaj komendant główny policji i my wszyscy, patrząc z radością, obserwujemy uroczystość wręczenia nagród w kategorii »Policjant, który pomógł«”. Nie do końca wiemy, co jest miłe: że wręczono nagrody? Że patrzył na to wręczenie komendant? Że patrząc, obserwowaliśmy (co nie jest przecież jednoznaczne, bo można patrzeć, a nie widzieć)? Że policjant mógł skuć, kazać się rozebrać i robić przysiady, a nie skuł i nie kazał, tylko pomógł? Ja bym bardzo chciał wiedzieć, co napawa radością prezydenta mojego kraju, ale z tego zdania nie wynika to jasno. No trud-

no. Z dalszej części jego wypowiedzi dowiadujemy się za to, o jakiego policjanta chodzi: „To nie jest policjant, który przyszedł i przykręcił śrubkę w domu; to nie jest policjant, który przyszedł i komuś pomógł naprawić przysłowiową rurę”. Nie wiem, jakie polskie przysłowie dotyczy rur, ale wiem przynajmniej, na co nie można liczyć ze strony policji (proste naprawy domowe w zakresie elektryki i hydrauliki). Policjant jest od „spraw niebezpiecznych”, „które nikt nie wie, jak mogłyby się skończyć”. I który jest policjantem „znakomitym”, bo ma „zdolności psychologiczne”, „doświadczenie życiowe” i „wiedzę” (z wyłączeniem wiedzy dotyczącej elektryki i hydrauliki). Wprawdzie pan prezydent – co dobrze o nim świadczy – mówił większość czasu do funkcjonariuszek i funkcjonariuszy, ale tu wpadł w pułapkę genderową, zastawioną na niego przez autorów nazwy nagrody. Powiedział, że taki policjant „często sam jest mężem czy żoną, ojcem, matką”. Ale może to sam język zmusił pana prezydenta do deklaracji otwartości na rodziny jednopłciowe?

Kulminacyjnym i najsilniejszym pod względem emocjonalnym punktem przemówienia pana prezydenta był fragment, w którym pojawiło się słowo „niebezpieczeństwo” oraz tego niebezpieczeństwa egzemplifikacja. Przypatrzmy się ten fragment w całości. „Każda interwencja policjanta jest potencjalnie niebezpieczna. Bo znakomicie państwo wiecie, że może się zdarzyć, że najspokojniej wyglądająca drobna kobieta nagle wyciągnie nóż i uderzy na policjanta. Bo wiecie znakomicie, że może się zdarzyć nawet taka tragiczna sytuacja, że nagle dziecko wyciągnie pistolet, choćby taki niezabezpieczony przez lekomyślnego rodzica. Bo wiecie – jak i każdy inteligentny człowiek wie – jak nieskończone jest spektrum trudnych sytuacji”. Nie wiem, czy spektrum może być nieskończone, jeśli rozciąga się między dwiema wartościami skrajnymi, ale chyba wiem, skąd wzięły się dość nieoczekiwane przykłady źródeł niebezpieczeństwa: drobna kobieta czy wręcz dziecko. Nie mogło przecież chodzić panu prezydentowi o konkretną, rzeczywiście drobną kobietę, która została ostatnio skandalicznie potraktowana przez policję. To raczej skojarzenie filmowe.

W filmie Barry’ego Sonnenfelda „Faceci w czerni” („Men in Black”) z 1997 roku – a więc z czasów, kiedy Andrzej Duda z pewnością miał czas chadzać do kina – Will Smith zostaje zaproszony na tajemniczą rozmowę kwalifikacyjną, która ma wyłonić „najlepszych z najlepszych z najlepszych” do pracy w tajnej jednostce zajmującej się walką z kosmitami. Kandydaci mają przejść test z rozpoznawania niebezpieczeństwa. Do stają do ręki pistolety i zostają wprowadzeni do pokoju pełnego wizerunków straszliwych potworów. Wszyscy starają się zabić owe potwory i tylko Will Smith strzela do wizerunku małej, „najspokojniej wyglądającej” dziewczynki z książką pod pachą. Prowadzący test pyta, dlaczego to zrobił, a ten odpowiada, że tylko ona wydała mu się groźna: „Biała ośmiolatka, sama w środku getta, z podręcznikami fizyki kwantowej? Te książki są dla niej za trudne! Moim zdaniem ona coś knuje”. I dzięki rozpoznaniu groźnej przestępczyni w małej dziewczynce to właśnie Will Smith zostaje przyjęty do MIB. Ta scena musiała zapaść w pamięć 25-letniemu Andrzejowi Dudzie. I tak 51-letni Andrzej Duda wyobraża sobie świat – i pracę w nim polskiej policji. ●



Już w księgarniach i na publio.pl zbiór felietonów Michała Rusinka, „**Ptak Dodo, czyli co mówią do nas politycy**”. Wyd. Znak



FOT. SHUTTERSTOCK

CO MNIE URZEKŁO

POSKROWIĆ
morskiego potwora

Tuż przed miejscem, gdzie Skalda wpada do Morza Północnego,
drogę zagraджа jej największa zapora w Europie

Marta Grzywacz

Decyzja o budowie Oosterscheldekering zapadła 70 lat temu po wielkiej powodzi, w której zginęło 2300 osób.

Mówi się, że Holendrzy wyrwali ziemię morzu, ale to nie do końca prawda. Tysiąc lat temu łąd dzisiejszych Niderlandów znajdował się w dużej części nad poziomem morza (według wskaźnika NAP – Normaal Amsterdams Peil ustalonego w XVII w. i obowiązującego do dziś). Niderlandy pokrywały wtedy lasy, płytkie jeziora i torfowiska. Ale torf okazał się znakomitym materiałem na opał, dlatego od połowy XIII w. zaczęto go wydobywać na masową skalę.

W tym celu torfowiska osuszano, budując wały i kanały melioracyjne. Suchy już torf miał mniejszą objętość, więc grunt zaczął się obniżać. Dalsze obniżenie nastąpiło wraz z eksploatacją torfowisk. W XV w. poziom ładu spadł poniżej zera NAP (dziś to już trzy metry). Jedna czwarta Holandii znalazła się w depresji. Rozpoczęła się nierówna walka z zalewającą kraj wodą.

Nie tylko morze było niebezpieczne. Holandia jest deltą wielkich rzek – Renu, Mozy i Skaldy. Gdy osiągają wysokie stany, a przypływ morski jest silny, woda piętną się i rozlewa, bo nie może wypłynąć do morza, którego poziom jest w momencie przypływu wyższy. Do tego dochodzi woda deszczowa i wypływające czasem na powierzchnię wody gruntowe. Żeby nie utonąć, Holendrzy musieli więc nauczyć się wypompowywać wodę.

Kiedyś tę rolę pełniły wiatraki oraz wierzby, których korzenie piją na potęgę i osuszają grunt. Stosowano też wały i wiklinowe ploty, które w razie wylewu rzek zatrzymywały użyźniające ziemię mady.

Korzystaliśmy kiedyś z tych niderlandzkich talentów. W XVI w. Olędrzy przybyli na Żuławy Wiślane i zmienili tamtejsze nieużytki w urodzajne grunty. Potem ruszyli do Wielkopolski, na Mazowsze i Lubelszczyznę. Osiedlano ich na terenach zalewowych, gdzie miejscowi nie radzili sobie z wodą. Olędrzy kopali wały, kanały i wyrwali wodzie kolejne polacie ziemi, jak na Saskiej Kępie, kiedyś terenie bagnistym i podmokłym.

Domy budowali na pagórkach, w jednej linii i w połączeniu z zabudowaniami gospodarczymi. Sadzili na dzierzawionych terenach „mazowieckie wierzby” i próbowali jakoś godzić się z żywiołem. W ujarzmianiu wody byli ekspertami.

W Niderlandach z czasem wiatraki zastąpiły rozbudowany systemem pomp, które rozsiane po prowincjach w razie czego przepompowywały wodę z niższego poziomu na wyższy. Najpierw napędzane były ludzkimi rękami, potem korami i wolami, wreszcie silnikami parowymi, potem spalinowymi i elektrycznymi. Dziś, sterowane komputerowo mierzą poziom wody i automatycznie włączają wszystkie urządzenia w zagrożonym regionie.

W latach 20. i 30. XX w. powstały plany rozbudowy sieci wałów przeciwpowodziowych, które miały chronić głównie południowo-zachodnią część Holandii. Ale światowy kryzys, a potem II wojna światowa nie pozwoliły ich zrealizować.

W 1932 r. udało się wybudować jedynie tamę Afsluitdijk (z niderlandzkiego – zamykającą). W wyniku odcięcia Zatoki Zuiderzee od Morza Północnego powstał zbiornik IJsselmeer, o powierzchni 1100 km kw, który miał zabezpieczyć ten region przed powodzią. Tama Afsluitdijk ma 32 km długości, 90 m szerokości i wznosi się 7,25 m nad poziomem morza. Jej budowa osuszyła dawną zatokę i zwiększyła powierzchnię kraju. Dziś

Żeby ułatwić budowę zapory, Holendrzy zbudowali sztuczną wyspę. Miała ponad 200 hektarów powierzchni, własną elektrownię, betoniarnię, wytwórnię asfaltu i sieć dróg

przez zaporę przebiega odcinek najdłuższej w Holandii autostrady A7.

Problem zabezpieczeń wrócił na początku lat 50., ale nie udało się wypracować koncepcji działania. Sytuację zmieniła noc z 31 stycznia na 1 lutego 1953 r. Doszło wtedy do zbiegu wielu okoliczności, który zdarza się pewnie raz na sto lat. Na Morzu Północnym rozszalał się sztorm – 11 stopni w skali Beauforta. Wiatr wiał z prędkością 104 km/h, a w porywach 144 km/h, z kierunku północno-zachodniego, który dla Holandii jest wyjątkowo niebezpieczny. Rozpędzone powietrze wypycha wtedy fale morskie do kanału La Manche, gdzie jest wąsko, więc masy wody, nie mając ujścia, wzbierają.

Skala sztormu przekroczyła wszelkie przewidywania. Przede wszystkim dlatego, że w tym samym czasie doszło do super przypływu – 1 lutego po godz. 4 rano, u wybrzeży Zelandii i Flandrii nastąpił pływ syzygijny występujący, gdy Słońce i Księżyc usytuowane są w linii prostej z Ziemią i ich siły grawitacyjne nakładają się, co podnosi poziom morza znacznie wyżej niż przy zwykłych przypływach.

W Alpach z kolei, od paru dni topniał śnieg, a jakby tego było mało, w Niemczech i w Ardenach padał deszcz, co podniosło poziom wód w Renie i Mozie. Z jednej więc strony – u ujścia rzek, w delcie Holandii, zbierała fala powodziowa, a z drugiej morze atakowało wysokimi falami. Trwał akurat weekend i czujność mieszkańców była uśpiona.

O świcie, 1 lutego, woda przerwała wały w 89 miejscach. Powstało około 187 km wyrw – z 1100 km wałów ochronnych woda zniosła 500 km. W Nieuwekerk zginęło w ciągu kilku godzin 288 osób – 15 proc. populacji miasta. Poziom morza we Vlissingen osiągnął rekordową wysokość 4,55 m ponad NAP.

Ludzie uciekali na dachy domów i strychy, i tam, w mrozie, często bez ciepłych okryć, czekali na pomoc. Początkowo głównie ze strony sąsiadów, którzy mieli łodzie. Holendrzy mają we krwi pomaganie sobie nawzajem. Tego nauczyły ich warunki klimatyczne.

W ciągu kilku godzin zalane zostały prowincje: Zelandia, część Brabancji i część wysp Południowej Holandii. Pierwsza, a także druga fala powodziowa, która nadeszła w niedzielę po południu, wdarły się 75 km w głąb ładu. W Holandii zginęło 1835 osób, a na całym obszarze Morza Północnego – 2300. Powódź doszczętnie zniszczyła 3000 domów i 300 farm. Ponad 72 000 ludzi zostało ewakuowanych. Utonęło 200 tys. sztuk bydła.

Niespełna dwa tygodnie później powstała komisja, która miała zbadać przyczyny katastrofy i opracować sposoby, by się nie powtórzyła. Kiedy rząd usuwał skutki powodzi, co trwało prawie rok, bo tereny trzeba nie tylko osuszyć, ale ponownie nawieźć, jako że słona woda zniszczyła glebę – specjaliści przygotowali Plan Delta. System ochrony przeciwpowodziowej – jak się potem okazało – największy na świecie, który zakładał

skrócenie linii brzegowej Holandii o 700 km poprzez uregulowanie ujść rzek, utworzenie systemu 13 zapór i śluz na wszystkich ujściach rzecznych w delcie oraz podniesienie wałów przeciwpowodziowych do poziomu 5 m ponad NAP.

Szczególną troską miała zostać otoczona Zelandia w południowo-zachodniej części Holandii oraz Rotterdam, najbardziej narażone na zalanie podczas sztormów na Morzu Północnym.

Pierwsza zaporą przeciwpowodziową powstała w 1958 r. na rzece Hollandsche IJssel, w pobliżu Rotterdamu, po niej kolejne. W 1969 r. rozpoczęły się prace nad tamą w Oosterschelde, pomiędzy wyspami Schouwen-Duiveland i Noord-Beveland. Będzie to najpotężniejsza konstrukcja w Planie Delta – długości 9 km. Miała całkowicie odcinać cały obszar Wschodniej Skaldy w 75 minut.

Początkowo projekt, któremu przewodził prof. Jan Agema Uniwersytetu w Delft, zakładał, że konstrukcja będzie zamykać dopływ wody od strony morza całkowicie. Po tym, jak w 1969 r. budowa została rozpoczęta, doszło jednak do protestów ekologów, którzy twierdzili, że tama stworzy słodkowodny akwen zagrażający istnieniu morskiej flory i fauny. Burzyli się też rybacy w obawie o łowiska. W końcu – jak powie Klaas Delfsma, jeden z inżynierów, „morze jest naszym wrogiem, ale i przyjacielem”, potężna ochrona przeciwpowodziowa nie może zakłócić tej kruchej relacji.

Rząd ugiął się pod presją i w 1974 r. rozpoczęły się prace nad innym projektem. Inżynierowie pod kierunkiem Franka Spaargarena musieli stworzyć zaporę, której część zasuw będzie otwarta podczas normalnej pogody, co pozwoli na swobodne pływy wody, ale będzie też możliwa do zamknięcia w momencie zagrożenia.

Taka budowla nigdzie na świecie do tej pory nie powstała. Projektanci nie mieli skąd czerpać doświadczeń. Opracowanie samych modeli matematycznych ruchu wody trwało dwa lata. Kolejne lata zajmie przygotowanie specjalnych konstrukcji, które wspomogą budowę.

Prace według nowego projektu rozpoczęły się w 1976 r. Żeby sobie ułatwić życie i stworzyć miejsce składowania materiałów budowlanych, mniej więcej w połowie tamy, Holendrzy zbudowali sztuczną wyspę, Neeltje Jans, a także tymczasowy most, który połączył ją z dwiema wyspami graniczącymi z tamą. Neeltje Jans ponad 200 ha powierzchni, własną elektrownię, betoniarnię, wytwórnię asfaltu i drogi.

Część morza została otoczona wałami, a woda ze środka wypompowana. Dzięki temu wokół wysepki powstało kilka potężnych suchych doków. Znajdowały się 15 metrów poniżej poziomu morza i służyły jako miejsce budowy betonowych filarów. Powstało ich w sumie 65. Każdy wysokości kilkudziesięciopiętrowego wieżowca – od 35 do prawie 39 metrów i o wadze 18 000 ton.

Pomiędzy filarami zostały rozmieszczone stalowe grodzie o szerokości 42 i wysokości 12 metrów. Budowa pojedynczego filaru trwała półtora roku, co dwa tygodnie rozpoczynały się prace przy kolejnym. Dok składał się z czterech części. Kiedy filary w jednej sekcji były ukończone, sekcję zalewano, a filary przenoszono na właściwe miejsce w zaporze.

Istniejące dźwigi nie były jednak w stanie podnieść filarów. Najmocniejszy znajdował się wtedy w Japonii i miał udźwignąć więcej niż 2000 ton. Holendrzy zbudowali więc nowy dźwig, najsilniejszy wówczas na świecie – nazwali go Ostrea. Miał długość 85 metrów, jego ramię wyciągało się na wysokość 50 metrów, a udźwignął 10 000 ton. Pozostałe 8 000 ton unosiła woda z zalanych doków.

Ważne było, aby filary stawały w określonych miejscach z dokładnością do centymetra. Pomagał w tym wybudowany na potrzeby konstrukcji tamy statek Macoma.

Żeby filary mocno osadzić na dnie nierównego morza, podłoże trzeba było wyrównać i utwardzić. Powstał więc specjalny statek Mytilus wyposażony w „igły”, które wbijane w dno stabilizowały je za pomocą wibracji. Kiedy zostało już wstępnie utwardzone kolejny statek Cardium, także zbudowany na potrzeby budowy zapory, dowoził dwa rodzaje mat utwardzających podłoże – betonowe i fundamentowe. Każda betonowa miała rozmiary dwóch boisk piłkarskich i była rozwijana z gigantycznych bębnow. Inżynierowie żartowali, że wykładają morskie dno papierem toaletowym. Pomagały im w tym chodzące pod dnie roboty, przypominające czołgi. Na przygotowanie gruntu poszło 130 takich mat.

Kiedy filary tamy stały już na miejscu, rozwieszono pomiędzy nimi metalowe grodzie i rozmieszczono progi, a całość obsypano dodatkowo glazami i skałami sprowadzonymi z Hiszpanii i Norwegii, bo Holandia pozbawiona gór, nie miała takiego materiału.

Ostatecznie do budowy tej największej tamy w Planie Delta – na Oosterschelde – zużyto: 750 000 m sześć. betonu, 175 000 ton stali, 4,5 mln m kw mat betonowych, 1 mln m kw mat fundamentowych oraz 5 mln ton bloków skalnych.

Oosterscheldekering zostało otwarte 4 października 1986 r. z udziałem królowej Beatrix, która powiedziała cytowane wielokrotnie słowa: „Zapora została zamknięta. Plan Delta ukończony. Zelandia jest bezpieczna”.

Całkowita realizacja Panu Delta trwała 30 lat i kosztowała 2,5 mld euro.

Zapora, tak jak ustalono, pozostaje otwarta, z wyjątkiem chwil, gdy instytut meteorologiczny przewiduje, że poziom morza podniesie się powyżej 3 metrów ponad NAP. Dzieje się to z reguły raz w roku, w czasie jesiennych lub zimowych sztormów. Sterowana jest ręcznie, ale jeśli człowiek z jakichś powodów zawiedzie, dowodzenie przejmuje system elektroniczny. Każda przegroda zamykana jest testowo raz w miesiącu. Ale natychmiast się ją otwiera, żeby nie powstały szkody w ekosystemie. Utrzymanie tamy Ooesterschelde kosztuje 17 mln euro rocznie.

Dziś na wyspie Neeltje Jans znajduje się budynek obsługi zapory, a także park rozrywki i edukacji. Można zajrzeć do wnętrza jednego z filarów, oglądać popisy fok i lwów morskich, dzieci angażuje się w zabawę z wodą, można też przepłynąć się statkiem, zobaczyć zwierzęta morskie w naturze, z pomocą specjalnej maszyny poczuć we włosach wiatr pędzący z prędkością 113 km/h i obejrzeć film o budowie tamy i o powodzi w Zelandii. Albo po prostu pospacerować po wyspie.

Na jednej z barier tamy warto odnaleźć tablicę z napisem: „Tutaj pływami rządzi księżyc, wiatr i my”.

FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL



DOBRY GŁOS EPISKOPATU. MOŻE NAWET REWELACYJNY

Do polskiego katolika trafia informacja, że można być dobrym katolikiem właśnie i nie brać udziału w pisowskim referendum w sprawie uchodźców.

Magdalena Czyż

„Niestety, jeśli chodzi o myślenie w perspektywie najbliższej przyszłości, jestem pesymistą” – napisał o. Tomasz Dostatni w komentarzu do komunikatu Rady Konferencji Episkopatu Polski ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek ws. debaty o migrantach i uchodźcach [„Wyborcza”, 25 lipca 2023; treść komunikatu obok].

Nie podzielam jego pesymizmu. Nie że-bym od razu fontanną optymizmu była, jednak z ostrożnym umiarem jestem w stanie się na ten optymizm zdobyć w kontekście tego tekstu.

Przede wszystkim dlatego, że pamiętam inne dokumenty polskiego Episkopatu. Na przykład na temat patriotyzmu i nacjonalizmu, które w dużym skrócie sprowadzały się do taktyki: pierwszy akapit dla partii rządzącej, drugi dla opozycji, trzeci dla rządzącej, czwarty dla opozycji, czy na odwrót.

Z każdym kolejnym akapitem było to coraz bardziej obsłizgłe i nie do zniesienia. A zważywszy na fakt, że wieść o tym, iż Episkopat smaży dokument na ten temat (to był rok 2017, wczesny etap obecnych rządów PiS-u), rozniosła się szybko i wszyscy zainteresowani Kościołem w Polsce czekali na niego z niecierpliwością, okazał się on wielkim, deprymującym rozczarowaniem.

Podobnych tekstów na swoim koncie Episkopat ma więcej. Chociaż żeby być spra-

wiedliwym, trzeba temu gremium oddać, że kilka dobrych też mu się udało.

Jednak ten dokument jest więcej niż dobry. Ksiądz prof. Alfred Wierzbicki uważa, że jest rewelacyjny. Po pierwsze, nie jest tylko incydentalny, związany z obserwowaną awanturą o rzekome narzucanie nam uchodźców przez Unię Europejską. W tym dokumencie – jak zauważa ks. Wierzbicki – widzimy zarys programu i polityki migracyjnej. Polityki, której w Polsce nikt nie realizuje. Kluczowy w tym dokumencie jest nacisk, aby nie instrumentalizować problemu uchodźców, i bardzo klarowne odwołanie się do Ewangelii oraz – dodaje Wierzbicki – do chrześcijańskiej solidarności i gościnności.

To dokument napisany z dużym oddechem, wyraźnie świadczącym o szerokiej perspektywie autorów w patrzeniu na problem uchodźców. Takie podejście do poszczególnych problemów społecznych w naszym kraju nie należy do częstych w gronie składającym się na polski Episkopat.

Problem oczywiście z przełożeniem treści tego dokumentu na polską rzeczywistość parafialną. I tu zgadzamy się wszyscy razem z o. Tomaszem Dostatnim, który pisze: „Powiedzmy sobie szczerze, że dziś już prawie nikt z opinii publicznej nie odbiera reakcji Episkopatu jako czegoś znaczącego. Także szeregowi wierni nie znają zupełnie tych komunikatów biskupów. Gdyż Kościół, a zwłaszcza hierarchia, w ostatnich latach stracił wiele na wiarygodności”.

Chociaż gdybym chciała być bardzo złośliwa, tobym zapytała o przełożenie dziesięciu przykazań na polską rzeczywistość parafialną. Czy kiedykolwiek ktokolwiek jakkolwiek poważnie się tekstem Mojżesza przejął? I już nie tylko o polską parafię pytam.

Jednak wracając do implementacji tego dokumentu pod parafialną strzechę, nie

będę taką pesymistką jak Dostatni, bo opinia o tym dokumencie wraz z najważniejszymi cytatai znalazła się w tygodniku „Gość Niedzielny”. A to tygodnik o największej sprzedaży ze wszystkich dostępnych na polskim rynku. Do tego wierni mogą go nabyć chyba w większości polskich kościołów w każdą niedzielę, przychodząc na mszę.

To niesie ze sobą niemałe przełożenie na rzeczywistość w Polsce i w polskim Kościele. To zresztą niejedyny tekst wzywający do szacunku i chrześcijańskiego obowiązku pomocy uchodźcom w tym tygodniku.

Co więcej, nawet tygodnik „Niedziela”, który ciągle pozostaje tubą propagandową rządzącej partii, w sprawie uchodźców trzyma raczej linię Kościoła niż PiS-u.

Zatem nie ma podstaw wiara, że praktykujący polscy katolicy nie widzą i nie słyszą rozdźwięku pomiędzy słowami biskupów i nauką Kościoła na temat właściwego stosunku do migrantów a działaniami obecnej władzy. Pytanie, co z tym rozdźwiękiem robią.

Obawiam się, że zasiany przez rządzącą partię strach przed uchodźcami i wydumanymi zarzązkami, które mogą ze sobą przynieść, dał tej partii oczekiwany plon. Z badań IBRIS-u wynika, że społeczeństwo polskie jest w tej kwestii podzielone mniej więcej na pół. Z punktu widzenia duszpasterstwa trudno tę liczbę uznać za krępującą.

Jednak nawet jeśli uznać dość powszechne posądzenie o obłudę hierarchów polskiego Kościoła za zasadne, a podejrzenia, że co innego piszą, a co innego naprawdę myślą, są słuszne, więcej, że nikt już ich komunikatów i apeli nie słucha, to nie zmienia to faktu, że komunikat o takiej właśnie, a nie żadnej innej treści został ogłoszony. I to na trzy miesiące przed wyborami!

To oznacza, że do czytającego go polskiego katolika trafia informacja, że można być dobrym katolikiem i nie brać udziału

lu w ogłoszonym przez PiS referendum, które jest dowodem na instrumentalizację i uprzedmiotowienie dramatu uchodźców i migrantów przez tę partię.

Z tym dokumentem i zawartym w nim apelem biskupów o szacunek i nieuprzedmiotawianie migrantów w kampanii wyborczej wiąże się pytanie powtarzane od dawna, również jako zarzut i pretensja, o wpływ Kościoła na polskie życie polityczne i społeczne.

Uważam oczekiwania czy marzenia sporej części wyborców opozycji, że ten wpływ zostanie po wygranej przez opozycję wyborach zredukowany do zera czy choćby zasadniczo ukrócony, za dalece naiwne. Pytania na wyborczych spotkaniach kierowane do liderów opozycji o to, jak zamierzają zmniejszyć ten wpływ, są jak ślepe naboje.

Kościół katolicki w Polsce w przewidywalnej dla nas przyszłości będzie miał wpływ na życie publiczne w kraju. Te 6 milionów ludzi, którzy chodzą do kościoła co niedziela albo co jakiś czas, nie zniknie ze społeczeństwa.

Znacznie bardziej interesującym pytaniem, bo konstruktywnym, jest to: jaki Kościół będzie miał wpływ na polskie życie publiczne? I tu ten dokument przynosi orzeczący powiew.

Jeśli stoimy przed wyborem (a przed żadnym innym nie stoimy, nie ludźmy się) Kościoła z dokumentu o patriotyzmie i nacjonalizmie, mówiącego językiem śliskim i koniunkturalnym, a Kościoła z dokumentu podpisanego przez bp. Zadarkę, w którym widać zrozumienie wagi problemu i – jak zauważył ks. Wierzbicki – zarys sensownej, przemyślanej polityki dotyczącej tego problemu, to odpowiedź na pytanie, co powinni wybrać polscy katolicy, staje się oczywista. ●

Komunikat Rady Konferencji Episkopatu Polski ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek

Nie ma zgody na wrogość wobec uchodźców

Od dłuższego czasu jesteśmy świadkami wzmożonej obecności tematyki migracyjnej w debacie publicznej. Apelujemy do wszystkich jej uczestników, polityków, publicystów i mediów o rzetelne i odpowiedzialne, zgodne z faktami i wolne od ideologii prezentowanie sytuacji uchodźców i migrantów w Polsce i Unii Europejskiej.

Stanowczo przestrzegamy przed ich instrumentalnym wykorzystywaniem do rozgrywek politycznych oraz kształtowaniem postaw ksenofobicznych. Takie działania są nie do pogodzenia z chrześcijańskim nauczaniem. Tworzone antyuchodźcze czy antyimigracyjne narracje nie tylko kształtują postawy społeczne, ale mają również wpływ na życie konkretnych osób. Są one także niszczące dla prób odpowiedzialnego, wspólnego poszukiwania adekwatnych reakcji oraz odzierają uchodźcę i migranta z ludzkiej godności.

Przed Polską stoją poważne i pilne wyzwania migracyjne. Tendencje demograficzne i reguły gospodarki już skłoniły instytucje państwowe do przyjmowania obcokrajowców poszukujących pracy.

Wymaga to roztropnego namysłu – opartego na faktach i naukowej wiedzy, nie zaś na emocjach, podsycanych przekazami medialnymi i politycznymi. Przybycie uchodźców wojennych z Ukrainy czy imigrantów zarobkowych z różnych regionów świata, ale także rozwiązanie humanitarnego kryzysu na granicy polsko-białoruskiej, będącej dla części szukających godnego życia przybyszów śmiertelną pułapką, to zadania, które z całą pewnością należą obecnie do pierwszoplanowych i najpilniejszych. Wymagają jednak współpracy wszystkich szczebli władzy państwowej, świata nauki, organizacji pozarządowych i społeczeństwa.

Wszyscy potrzebujemy lepiej zrozumieć mechanizmy migracyjne i przygotować się na życie w świecie kulturowo zróżnicowanym, również po to, aby uniknąć związanych z tym ewentualnych zagrożeń.

Na poziomie europejskim konieczne jest wypracowanie sprawiedliwych projektów solidarnościowych, rozkładających równomiernie obciążenia i koszty związane z pomocą osobom, które już otrzymały azyl lub status ochrony międzynarodowej. Kontrolowane procesy migracyjne dają poczucie bezpieczeństwa – w przeciwieństwie do chaotycznej migracji, często koordynowanej przez gangi przemytników, oszukujących i tworzących złudne nadzieje ludziom poszukującym godnych warunków do życia.

Polskie bogate doświadczenia migracyjne, chrześcijańskie dziedzictwo, ale także niezwykle, spontaniczne, godne najwyższego uznania zaangażowanie Polaków

w niesienie pomocy uciekinierom wojennym z Ukrainy powinny nas szczególnie predysponować do propagowania idei mądrej gościnności i solidarności – konstytutywnych dla wiary chrześcijańskiej. Sposobów ich praktykowania nie ma potrzeby czynić przedmiotem referendalnych rozstrzygnięć, lecz roztropnych działań i dialogu społecznego z uwzględnieniem możliwości i konsekwencji społecznych w przyszłości.

Prosimy, aby w poszukiwaniu rozwiązań skomplikowanych problemów migracyjnych kierować się nade wszystko postawami otwartości, szacunku wobec migrantów i uchodźców oraz szeroko rozumianego dobra wspólnego. Wiąże się to z gotowością do wykraczania poza perspektywę tylko narodową, natomiast przybyszów zobowiązuje do szacunku do naszej kultury, religii, prawa i zasad bezpieczeństwa. Polityka państwa wobec cudzoziemców powinna takie zasady jasno określić i konsekwentnie ich przestrzegać, aby uniknąć w przyszłości rozczarowań i niebezpieczeństw.

Przypominamy o niezbywalnym prawie każdego człowieka do migracji i poszukiwania lepszego miejsca do życia. Jest to myśl obecna w powszechnym nauczaniu Kościoła. Korzystały z tego przez wieki pokolenia Polaków.

Nie można ulegać pokusie, by w imię fałszywie rozumianego patriotyzmu czy politycznych kalkulacji rozbudzać lęk, wrogość czy niechęć w stosunku do przybyszów, zwłaszcza z powodu ich statusu, religii lub pochodzenia.

„Nieuregulowana sytuacja prawna migranta nie upoważnia do pomniejszania jego godności, posiada on bowiem niezbywalne prawa, których nie wolno łamać ani ignorować” – przestrzegał św. Jan Paweł II.

Oczywistym obowiązkiem odpowiednich instytucji jest zapobieganie potencjalnym zagrożeniom wynikającym z nielegalnego przekraczania granic państwowych. Nie można jednak stygmatyzować przybyszów, dokonując krzywdzących uogólnień w rodzaju „każdy uchodźca czy imigrant to potencjalny terrorysta”.

Okres kampanii wyborczej zwykle powoduje natężenie politycznych emocji i zaostrenie publicznej debaty. Zwracamy się do polityków wszystkich opcji, aby naturalne przeciwieństwo różnic zdań i troska o pomyślność ojczyzny nie prowadziły do zachowań, które w encyklice „Fratelli tutti” diagnozował papież Franciszek:

„Najlepszym sposobem, by panować i posuwać się naprzód bez ograniczeń, jest sianie rozpacz i budzenie ciągłej nieufności, nawet jeśli jest to zakamuflowane pod maską bronięcia pewnych wartości. Dzisiaj w wielu kra-

jach stosowany jest polityczny mechanizm jądrenia, rozdrażniania i polaryzacji”.

Niech spotkanie z przybyszem będzie dla nas jako społeczeństwa przyjmującego okazją do zasypywania wewnętrznych podziałów i budowania mostów przez poszukiwanie wspólnego dobra i jak najlepszych modeli integracji społecznej.

W Polsce powinny zostać podjęte próby wypracowania odpowiedzi na nowe, ale już poważnie obecne wyzwania, takie jak: zasady polityki migracyjnej, ochrona praw pracowniczych migrantów zarobkowych, wprowadzenie realnych mechanizmów integracji (również w celu uniknięcia zjawisk gettoizacji), objęcie wszystkich dzieci migrantów systemem oświaty, sfinansowanie programów nauki języka polskiego, zapewnienie godnej pomocy socjalnej przebywającym w Polsce osobom w postępowaniach o udzielenie ochrony międzynarodowej.

We wspólnocie Kościoła przypominamy, że przyjęcie uchodźców i migrantów, ich ochrona, stwarzanie szans do rozwoju oraz integracja społeczna poprzez struktury duszpasterskie, są istotnymi zadaniami w ramach posługi parafialnej. To wezwanie do niełatwej, dalekiej od utopijnych wizji, ale błogosławionej realizacji słów Zbawiciela Jezusa Chrystusa „byłem przybyszem, a przyjdziecie Mnie” (Mt 25, 32).

Niech nikt z nas nie pozostaje obojętny na warunki, w jakich żyją tysiące migrantów. Ofiarowana gościnność wynikać powinna z troski o to, by być wiernym Bogu, wsłuchiwać się w Jego głos i rozpoznawać Go w ludziach, którzy nas otaczają. Kościół musi starać się być obecnym wśród przybyszów i im towarzyszyć.

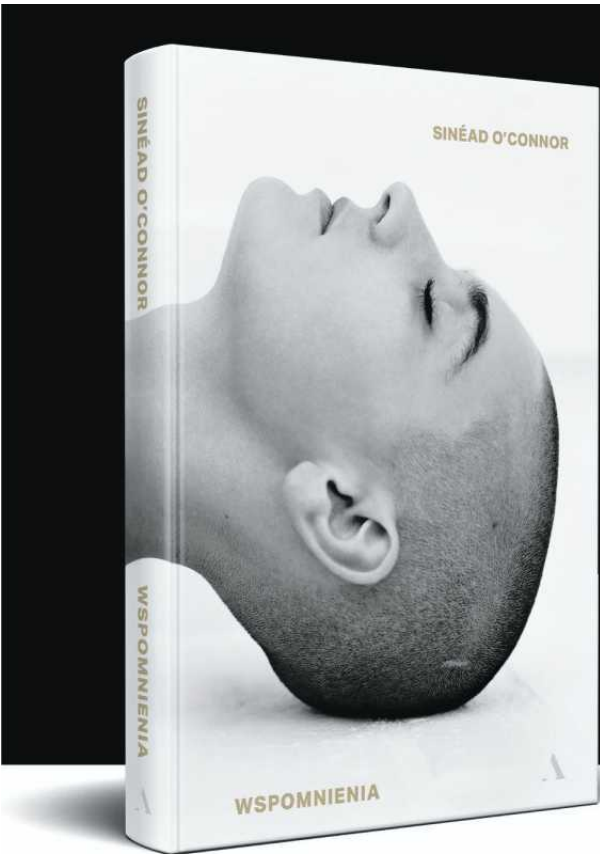
Oznacza to nie tylko pomoc charytatywną i opiekę duszpasterską przybywających do nas katolików, lecz także gościnność i otwartość względem przedstawicieli innych wyznań i religii. W historii Kościoła była to zawsze okazja, aby obcym głosić Ewangelię nie tylko słowem, ale przede wszystkim czynem. ●

Warszawa, 11.07.2023 r.

bp Krzysztof Zadarko

Przewodniczący Rady Konferencji Episkopatu Polski ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek

Tekst za Biurem Prasowym Konferencji Episkopatu Polski.
Tytuł – „Wyborcza”



SINÉAD O'CONNOR WSPOMNIENIA



Nie urodziłam się, by być gwiazdą pop.
Do tego trzeba być dobrą dziewczynką.
Nie sprawiać zbyt wielu kłopotów. (...)
Dla niektórych rzeczy warto zaprzepaścić karierę.
A ja i tak nie chcę już kariery gwiazdy pop,
bo nikt mnie nie zna i jestem samotna.

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA  KULTURALNY SKLEP PL
WOLISZ EBOOKI/ AUDIOBOOK? ZAPRASZAMY NA  publio.pl

 Wydawnictwo
Agora

Adam Michnik poleca. **Kontynenty Władimira Maksimowa (2)**

Z AZJI DO EUROPY. I Z POWROTEM

Tylko w komunistycznej „Prawdzie” chciano go w ostatnich latach życia drukować.

Grzegorz Przebinda*

Wydawany w Paryżu przez Władimira Maksimowa (1930-95) rosyjski kwartalnik „Kontinent” publikował – obok Rosjan i Polaków – także Węgrów (już w pierwszym numerze kard. Mindszentygo), Litwinów, Estończyków, Czechów, Ukraińców, a pośród tych ostatnich – Iwana Koszeliwca „Kronikę ukraińskiego oporu” (1975), wiersze zamęczonego w łagrze Wasyla Stusa (1983, 1985), tekst „Gdzie odnaleźć sprawiedliwość” autorstwa ukraińskiego kardynała greckokatolickiego na emigracji, a dawnego łagierownika – Josifa Slipego (1974). Czytaliśmy też wtedy z pasją „Dialog za drutem kolczastym” Wiaczesława Czornowila i Borysa Pensona, ukraińskiego Żyda (1975).

„Kontinent” publikował parokrotnie posłania zbiorowe, wypowiadając się w nich w fundamentalnych dla Europy Wschodniej i Środkowej kwestiach historycznych i współczesnych. W polskim wyborze z „Kontinentu”, przygotowanym w 1979 r. przez Andrzeja Dąbrowicza, Maksimow pisał, że „żaden chyba kraj Europy Wschodniej nie może przedstawić Rosji, a zwłaszcza Związkowi Sowieckiemu większego ludzkiego i politycznego rachunku krzywd aniżeli Polska”. Tym bardziej, że już w 5. numerze pisma w 1975 r. ukazał się list zbiorowy „Miara odpowiedzialności”, podpisany przez Josifa Brodskiego, Andrieja Wolkonskiego, Nauma Korżawina, Maksimowa, Wiktora Niekrasowa, Andrieja Siniawskiego, Andrieja Sacharowa.

Został w nim bezwzględnie potępiony pakt Ribbentrop-Mołotow jako „jedno z najcięższych przestępstw XX wieku – czwarty, zbrojecki i nieprawy rozbiór państwa polskiego”. Była też tu mowa o „dokonanym na niewinnych morderstwie katyńskim, o wiarołomnej zdradzie Powstania Warszawskiego w roku 1944”. List kończył się przypomnieniem, że „w ciągu całej, prawie 200-letniej walki Polaków o wolność, najlepsi Rosjanie – od Hercena do Tolstoj – zawsze byli po ich stronie” i że „ta szlachetna tradycja żyje w naszych czasach”.

W październiku 1975 r. Maksimow zwrócił się nawet listownie do kard. Wyszyńskiego, prosząc go o wypowiedź na temat stosunków polsko-rosyjskich, otrzymując w grudniu prywatną odpowiedź po rosyjsku z fragmentem: „Zawsze uważałem, że istnieje różnica między narodem a jego kierownictwem” („List prymasa do Rosjan”, „Kultura” nr 7/8/1981).

Z kolei w majowym numerze „Kultury” w 1977 r., a zaraz potem i w 12. numerze „Kontinentu”, ukazała się deklaracja

ukraińska, podpisana m.in. przez rosyjskich emigrantów – Andrieja Amalrika, Natalię Gorbaniewską, Maksimowa, Niekrasowa i Aleksandra Galicza. Jej zakończenie brzmi donośnie po dziś dzień: „Wzywamy ze szczególnym naciskiem rosyjski ruch opozycyjny w ZSSR i rosyjską emigrację polityczną do umacniania i pogłębiania współpracy z bojownikami o niezależność Ukrainy”.

Stan wojenny w Polsce rosyjscy członkowie francuskiej sekcji Międzynarodowego PEN Clubu – z Maksimowem, Gorbaniewską i Niekrasowem na czele – osądzili zarówno w „Kontinencie” (nr 31/1982), jak i w „Kulturze” (nr 3/1982) oświadczeniem „Ponownie Polska”:

„Dla prawdziwego Rosjanina Polska jest krwawiącą raną: udział w czterech rozbiorach tego kraju, zdrada Powstania Warszawskiego, Katyń i teraz inicjatywa zdławienia »Solidarności«. (...) My, Rosjanie, którzy znaleźliśmy się na Zachodzie, w tym i ci, którzy w 1944 r. »wyzwalali« Polskę, całym sercem i duszą jesteśmy po stronie narodu polskiego, jego klasy robotniczej, która z męstwem i wbrew wszystkiemu potrafiła pokazać światu, jak należy się bić o swoje prawa. Jesteśmy po stronie »Solidarności«! Z dumą powtarzamy dziś hasło zrodzone 150 lat temu, w dniach polskiego powstania 1830 r.: »Za naszą i waszą wolność!«”.

SAGA O NOSOROŻCACH

Andriej Amalrik – autor głośnej ongiś rozprawki futurologicznej „Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?” (1969) – stwierdził krytycznie we wrześniu 1976 r. w wywiadzie dla „Kultury”, że Maksimow przenosi nieświadomie do „Kontinentu” metody Wsiewołoda Koczetowa (neostalinisty kierującego miesięcznikiem „Oktiabr”, z którym Maksimow w latach 60. współpracował, uprawiając tym samym podskórną „komunizm na odwrót”.

Ja sam jednak jako pilny czytelnik kwartalnika absolutnie niczego podobnego wtedy nie dostrzegałem. Podobala mi się nawet ta osławiona, regularna „Kolumna Redaktora”, bo czemu np. miałem się zżymać na fragment z numeru 21. z 1979 r., gdzie Maksimow widział duchowe miejsce Rosji – geograficznie, jak podkreślał, przynależącej w ogromnej większości do Azji – jednak zdecydowanie w Europie? Rola i znaczenie tej Rosji – no oczywiście już po komunizmie – widział w tym, że ma ona poszerzać granicę Europy hen ku Oceanowi Spokojnemu. Tych zaś Europejczyków, którzy postulowali wypychanie Rosji jako „ciała obcego” ku Azji, przestrzegał, iż przesuwają oni groźnie granicę tej ostatniej daleko na zachód ku Łabie.

Rzeczywisty natomiast skandal wokół Maksimowa – głównie zresztą wśród liberalnej części nowej emigracji rosyjskiej, bo jej zachodnia lewicowa sojuszniczka tego po prostu nie zauważyła – wybuchł, gdy redaktor opublikował w 19. numerze „Kontinentu” w 1979 r. „Sagę o nosorożcach”. Był to dopiero fragment późniejszej książki z 1981 r., ale to on wywołał ogromny rezonans zapewne ze względu na swą zwięzłość.

Maksimow wziął sobie formalnie za punkt wyjścia znaną sztukę Ionesco „Nosorożec”, opisującą alegorycznie narodziny faszyzmu jako proces przekształcania się ludzi z pewnego francuskiego miasteczka w stado dzikich nosorożców. Każdy tam bowiem nosił w sobie „maleńkiego zwierza” i jedynie główny bohater Berenger w finale nie skapitulował, a szukając strzelby, zapowiadał walkę przeciw całemu światu, obiecując, że „będzie człowiekiem aż do końca”.

Maksimow, którego często krytykowano na lewicy na Zachodzie, iż bierze pieniądze od „faszysty” Springera, postanowił teraz przejąć rolę Berengera i poddać totalnej krytyce – choć bez wymieniania nazwisk! – głównie właśnie europejskich lewicowców. Tyle że wcale niekoniecznie tych, którzy akurat jego krytykowali. Nadto moim zdaniem kryją się już także w „Sadze” korzenie wielce krytycznego stosunku Maksimowa do kapitalistycznej Europy, który uzyskał swe dramatyczne apogeum w latach 1990-95, w tekstach publikowanych w komunistycznej „Prawdzie”.

Teraz jednak Maksimow uderzył obuchem m.in. w Heinricha Bölla, choć ten wiele uczynił dla obrony dysydentów w ZSRR, a w lutym 1974 r. przyjął nawet pod swój dach na przedmieściach Bonn deportowanego odrzutowcem z ZSRR Sołżenicyna. Tymczasem autor „Sagi” przedstawiał go sarkastycznie jako typa „cichego i przymilnego”, „ze stałym półusmiechem na nieufornym, babskiej, jak się u nas w Rosji mówi, twarzy”, z „oczami smutnymi, nieruchomymi, ciętymi”.

I jeszcze czynił mu zarzut ze swego punktu widzenia najgorszy: „Szeroko znany ze swojej przychylności i słabości do terroryzmu społecznego. (...) – »Chrystus także przede wszystkim – powiada Böll – dzielił chleb«. – I nie pojmuje ten zakamieniały w swojej toporności łeb, że Syn Boży dzielił Chleb »Swój i dobrowolnie«, a on pragnie dzielić CUDZY, a przy tym z pomocą automatu i kuldanków”.

Czy więc możemy się dziwić, że takie i podobne akapity wykorzystywała ciągle czujna Maria Rozanowa, która zdążyła już z mężem Andriejem Siniawskim założyć konkurencyjne pismo „Sintaksis”, o obliczu liberalnym, i teraz połowę 5. numeru

z 1979 r. poświęciła surowej krytyce „Sagi o nosorożcach”, zapraszając do akcji dwa sprawne pióra rosyjskiej emigracji – Jefima Etkinda i Borisa Szragina – oraz już z kraju Lwa Kopielewa.

I to zapewne tekst tego ostatniego, zatytułowany bezlitośnie „Sowiecki literat na dzikim Zachodzie”, ubódi Maksimowa najbardziej. A już na pewno pierwsze motto, będące jakoby wypowiedzią któregoś z dawnych jego przyjaciół: „No nie, trzeba być wobec niego wielkodusznym! Niechże Pan zrozumie – on po prostu zwariował. Przy wszystkich jego talentach jest przecież totalnie niewykształcony i nieokrzesany – od »Krótkiego kursu historii WKP (b)« przeskokczył od razu do Katechizmu...”.

Z tym znowu absolutnie bym się nie zgodził – jako czytelnik Maksimowa i jego wielokrotny rozmówca w Paryżu w latach 1987-92 często bywałem wręcz oczarowany jego historyczną i literacką erudycją. Tak samo skądinąd jak jego przyjaciel z młodości Bułat Okudźawa, który w 1991 r. pisał z podziwem na łamach „Rodiny” o głębokiej wiedzy o historii i kulturze Maksimowa. „Skończył on ledwo cztery klasy”, „żył diabli wiedzą gdzie”, „tak jak meksykański bezrobotny”, „pił jak każdy” (a dodam, że chyba nawet lepiej...), a jednak wiedzy jako samouk zdobył tyle, „że najwięksi mądrze, bywało, uważali za honor toczyć z nim głębokie dysputy”.

W jednym Kopielew miał rację – tam, gdzie pisał o manichejskiej postawie Maksimowa, wynikającej z jego nabytej lekturami Dostojewskiego i Bierdiajewa chrześcijańskiej wiary, która ugruntowała się w nim w drugiej połowie lat 60., także w obliczu procesu Siniawskiego i Daniela, szlachetnych wystąpień Sacharowa, najazdu sowieckich tanków na Czechosłowację.

Umocniło się wtedy w Maksimowie przekonanie, że „historia ludzkości, ale i współczesna rzeczywistość wcielają w sobie odwieczną, bezlitosną walkę dwóch sił metafizycznych – Dobra i zła, to jest Boga i diabła, a wszelkie próby traktowania tej walki w sposób dialektyczny czy relatywistyczny (...), poszukiwanie jakiejś trzeciej siły, stanowi tylko bardziej subtelne hipostazy tegoż zła”.

Jeszcze w wiosną 1993 r. w ankiecie dla krakowskiej „Arki” Maksimow zdążył po-

Maksimow wściekał się,
gdy widział, jak Litwini, Łotysze
czy Ukraińcy winą za komunizm
obarczają wyłącznie Rosjan.
Polaków potrafił zapytać:
czy ks. Popiełuszkę także
zabili Rosjanie?

FOT. BRIDGEMAN IMAGES/EAST NEWS



średnio dopisać do grona „nosorożców” Adama Michnika, wspominając, że kiedyś – „przy całym szacunku dla tego człowieka” – odmówił był napisania wstępu do jego książki „Kościół, lewica, dialog”, gdyż dotąd uważa, iż „socjalizm i Kościół nie dadzą się ze sobą pogodzić”. I konkludował:

„Teraz okazało się, że działacz ten spożytkował swój czasowy sojusz z Kościołem wyłącznie dla celów taktycznych. Wyszło to na jaw teraz, ale już wtedy, kilkanaście lat temu, podejrzewałem w jego książce kłamstwo. Działacze tego typu wykorzystują od czasu do czasu chrześcijaństwo jako instrument dla osiągnięcia swych celów politycznych – tak jak robił to sam Stalin, gdy było mu potrzebne...”

No cóż, okazuje się, że nie tylko Gorbaczow – o czym niżej – był w wyimaginowanym świecie Maksimowa następcą Stalina, ale i Adam Michnik, ten niegdysiejszy gość i autor paryskiego „Kontinentu”, a potem w Moskwie członek jego komitetu redakcyjnego... I jeszcze dodajmy dla porządku, że 4 września 1943 r. Stalin rzeczywiście przyjął na Kremlu metropolitę Sergiusza Stragorodskiego wraz z dwoma innymi duchownymi prawosławnymi, zalegalizował Cerkiew oraz reaktywował patriarchat moskiewski i całą Rusi – za cenę absolutnej lojalności Cerkwi wobec państwa nie tylko podczas tej wojny.

Wszelako najważniejsze w wypowiedzi Maksimowa dla „Arki” wydaje mi się zdanie: „Głównym jednak światowym przejawem kryzysu cywilizacji jest triumfująca letniość, letniość we wszystkich sferach życia człowieka”. Czy nie tak właśnie zaczęliśmy snuć tę naszą opowieść o Maksimowie? [Patrz „Wolna Sobota”, 5 sierpnia 2023].

GORBACZOW – NOWY STALIN?

Niezmiennie wrogi był jego stosunek do Gorbaczowa i pieriestrojki, przy czym odzwierciedlał on tylko ogólne nastawienie w tej sprawie lwiej części emigracji, nie tylko zresztą rosyjskiej, ale i polskiej. Psy wieszali na Gorbaczowie solidarnie Maksimow, Gorbaniewska, rosyjski historyk Michail Heller jako Adam Kruczek w „Kulturze” i jego polski przyjaciel Gustaw Herling-Grudziński. Ten ostatni tak odmalowywał w „Dzienniku pisanym nocą” pod datą 12 marca 1985 stosunek Maksimowa do wchodzącego na scenę Gorbaczowa:

„Trzy miesiące temu, podczas mojego poprzedniego pobytu w Paryżu, odwiedziłem Maksimowa. Prasa zachodnia pełna była już wtedy westchnień do »nadchodzącej ery oświeconej Gorbaczowa«. Mak-

simow mówił o nim »Miszka Gorbaczow« z taką naturalnością, jakby ów młody delfin był za dawnych czasów jego »koleżką od bitki i wypitki«.

Okazało się, że rzeczywiście był. Wspiął się po szczeblach kariery w Komsomole, gdy Maksimow pracował w piśmie komсомolskim. »Chytry i cyniczny«, scharakteryzował go zwięźle Maksimow. W dzisiejszym »Corriere della Sera« Maksimow rozszerza charakterystykę z okazji świeżej in-tronizacji [Gorbaczowa]: człowiek nie pozbawiony uroku, przystępny, wcale niegłupi, ale za czarusia w osobistych kontaktach uchodził również Stalin”.

Przyznajmy, że teraz, AD 2023 – w sytuacji gdy prawdziwym następcą Stalina czuje się w Rosji bynajmniej nie jakiś „czaruś” – taka konstatacja brzmi szczególnie absurdalnie. W październiku 1985 r., w dniu przyjazdu Gorbaczowa do stolicy Francji, Maksimow zorganizował wspólnie z Władimirem Bukowskim w ramach kierowanej przez nich Międzynarodówki Oporu nieudaną akcję spotkania dias-pory z gensekiem pod Grand Palais w Paryżu. Tak do tego wracał myślą pod koniec 1994 r.:

„Obecnie w rozmowach z Gorbaczowem wspominam często ów dzień. A on się tylko śmieje. Być może jednak, gdyby wykonał był wtedy ów szlachetny gest

i przyjął kogoś z organizatorów naszego marszu, wszystko poszłoby innym torem? Chociaż – Bóg jeden wie...”

Te intrygujące słowa wypowiadał Maksimow już w wywiadzie dla moskiewskiej, komunistycznej „Prawdy”, bo tylko tam – no, może jeszcze w paru podobnych miejscach – chciano go w ostatnich latach życia drukować (do czego jeszcze na koniec wrócimy). Gdy zaś chodzi o stosunek emigracji rosyjskiej do Gorbaczowa, to spośród spotykanych przeze mnie w Paryżu w latach 1987-92 zagranicznych Rosjan jego zwolennikiem był właściwie tylko agnostyczny liberal Andriej Siniawski – wraz oczywiście z żoną Marią Rozanową – podczas gdy wszyscy inni – Maksimow, Gorbaniewska, redagująca pismo „Russkaja Mysl” katoliczka Irina Ilowajska-Alberti, szef wydawnictwa YMCA-Press Nikita Struwe – byli w większym lub mniejszym stopniu antypieriestrojkowcami.

Modne było naonczas w Paryżu powiedzenie, że po pieriestrojce nastąpi „pieriestrielka”, czyli coś w rodzaju miniwojny domowej, choć koniecznie trzeba podkreślić, że ta mało prorocza, przynajmy, krytyka wynikała jednak z pobudek wyższych. Każdy znaczący rosyjski oponent Gorbaczowa w Paryżu samej Rosji życzył bardzo dobrze. Dlatego zupełnie nie trafił w sedno Andrzej Drawicz, gdy pisał w 1991 r. o „moralnie dwuznacznej” antypieriestrojkowej gorliwości Natalii Gorbaniewskiej i Michaila Hellera, tym bardziej że ta pierwsza została wraz z Maksimowem wyrzucona za swą postawę z Radia Swoboda, dającego im przecież solidne dochody.

Maksimow w czasie, gdy go poznawałem w Paryżu, wiele mi opowiadał o reżyserze Andrieju Tarkowskim, który niecały miesiąc wcześniej umarł na raka płuc, na wygnaniu nad Sekwaną. Redaktor „Konti-



***Był przeciwnikiem
rozwiązania ZSRR i RWPG,
zakładając utopijnie,
że tylko w tych strukturach
narody nierosyjskie – Litwini,
Czesi, Polacy – zdołają się
obronić przed ekspansją
drapieżnego Zachodu***

nientu” opiekował się nim, tak jak mógł, aż do samego końca. Jestem też głęboko przekonany, że to właśnie autor filmu „Nostalgia” (1983) miał duży wpływ nie tylko na ugruntowanie w Maksimowie pesymizmu, ale także wzmocnienie w nim przekonania o konieczności „trzeciej drogi” dla Rosji – już zdecydowanie bliżej Azji, a ostatecznie nawet wewnątrz niej.

OSTATNIE LATA

Sam podczas rozmów z Maksimowem w Paryżu, a i później w Krakowie usłyszałem odeń wiele ciekawostek, np. że cenili Polaków za to, iż czytają Dostojewskiego, choć on sam ich wręcz nie znosił. Już w 1993 r. w wywiadzie dla polskiego pisma „Obóz” stwierdził nawet nieco na wyrost, że Dostojewski był Polakiem.

Podczas ówczesnej prelekcji u rusycystów na UJ nawiązywał w kontekście stosunków polsko-rosyjskich do nieudanych prób usadowienia w 1610 r. na tronie carskim królewicza Władysława Wazy, podkreślając, że była to, niestety, szansa niespełniona. Ale gdy od 1990 r. sam zaczął jeździć do Rosji, to tam w rozmowach z rodakami w Moskwie ani Polski, ani swych polskich paryskich przyjaciół (?) jednym nawet słowem nie wspominał.

Zresztą gdyby nawet w tym schyłkowym ZSRR, jeszcze za Gorbaczowa, przywołał pozytywnie ów nieudany epizod z królewiczem Wazą, to mógłby tam zostać uznany za zdrajcę. Nieprzypadkowo stara rada siedmiu bojarów, która chciała wynieść owego Władysława Zygmunta na tron carski, uchodzi do dzisiaj w Rosji za tamtejszą targowicę.

Podczas spotkania z Maksimowem w Krakowie zadałem mu publicznie pytanie, dlaczego „swoje dziecko”, „Kontinient”, oddał do Rosji, na co odpowiedział, że nastąpił już przecież „koniec pięknej epoki”. Metafora stanowiła oczywiście nawiązanie do wiersza Brodskiego z 1969 r., opublikowanego notabene w pierwszym numerze „Kontinentu”. Tym bardziej że realność była jeszcze bardziej twarda – po śmierci Axela Springera w 1985 r. wysychało konsekwentnie źródło finansowania dla kwartalnika, a mający zaiste szeroką „rosyjską duszę” Maksimow nie zadbał – tak jak skrupulatny Giedroyc – o skromne choćby środki od prenumeratorów na Zachodzie.

W październiku 1993 r. potępił w czambuł – notabene z razem Siniawskim, z którym się teraz na oczach zdumionej inteligentkiej Rosji pojechał – ostrzelanie przez Jelcyna budynku Rady Najwyższej (moskiewskiego Białego Domu). Uczynił to wbrew stanowisku Sołżenicyna, któ-

**Maksimow w 1994 roku:
– Na Zachodzie szukają
samoloty bojowe. A przecież
na nich nikt chyba nie
napada - ani na Amerykę,
ani na Anglię czy Francję.
To przeciwko komu szukają
te samoloty?**

ry w tym jednym jedynym przypadku Jelcyna pochwalili. Maksimow poddał go za to drugoczącej krytyce w „Prawdzie”, 28 grudnia 1994 r., tekstem „Historia pewnej kapitulacji”.

O Okudźawie, który również Jelcyna w jego militarnej akcji poparł, Maksimow mówił: „Jeżeli człowiek, tak jak Okudźawa, popada w »zachwyty« (a cytuję dokładnie to jego słowo) w obliczu zabijania Ludzi (nie ważne, Rosjan czy nie-Rosjan), to o czym mamy rozmawiać?”.

Już w 1992 r. rozeszły się ostatecznie drogi Maksimowa i Gorbaniewskiej, tak bliskich sobie podczas zajadłej krytyki Gorbaczowa – ale teraz, w skrajnie różnej ocenie Jelcyna, zupełnie sobie obcych. Giedroyc opublikował wtedy zamówiony wywiad Gorbaniewskiej z Maksimowem.

Pytanie Natalii: „Czy nie wydaje się panu, że należałoby być nie tyle bardziej rozumiałym, co po prostu bardziej cierpliwym w stosunku do zmian, które się ledwo zaczęły, dokonują się w ogromnym kraju i napotykają ustawiczny opór na wszystkich poziomach?”.

Odpowiedź Władimira Jemielianowicza: „Pani pytanie zawiera cały fałsz obecnej sytuacji. Gdybym pani nie znał, powiedziałbym po prostu, że pani kłamie. Dlaczego w ślad za politycznymi gangsterami i polityczną szumowiną wszelkiej maści robi pani normalnym ludziom wodę z mózgu?” („Kultura” nr 11/1992).

W latach 1990-94, zwłaszcza podczas odwiedzin w Rosji, Maksimow otwarcie deklarował, że jego kraj musi szukać innej drogi niż kapitalistyczna „witrnowa demokracja”. W niej czuł się, szczególnie w ostatnich latach, potwornie samotnie, niczym widz w opustoszałym, mrocznym kinie. Sytuację w Rosji opisywał jako „ochłokrację” (władzę tłumy), jak „smierdiakowszczyzna” z jego powieści „Sie-

dem dni stworzenia”, przy czym występował także ostro przeciwko złodziejskiemu kapitalizmowi postkomunistycznych magnatów – tu już w duchu Dostojewskiego w obronie „skrzywdzonych i poniżonych”.

Chwalil za to za poszukiwanie trzeciej drogi między kapitalizmem a socjalizmem wchodzącego dopiero na scenę Grigorija Jawlinskiego. Był bowiem – jak skądinąd do dzisiaj, także ex post, ów Jawlinski – przeciwnikiem rozwiązania ZSRR i RWPG, zakładając utopijnie, że tylko w tych strukturach narody nierosyjskie, także Litwini, Czesi i Polacy, zdolają się obronić przed ekspansją drapieżnego Zachodu. Bał się za razem, że rozwiązanie ZSRR doprowadzi do strasznego przelewu krwi.

A już wściekał się dosłownie, gdy widział, jak Litwini, Łotysze, Estończycy, Ukraińcy winą za komunizm obarczają wyłącznie Rosjan, siebie wybielając. Polaków zaś potrafił przy okazji zapytać sarkastycznie: czy ks. Popieluszkę także zabił Rosjanie?

Jeszcze na początku grudnia 1991 r. ogłosił przed tłumem zapatrzonych wien widzów ze sceny w TV Ostankino, że miejsce Rosji jest być może w Azji – tak jak to odmalował Nikita Michajłow w „genialnym filmie” „Urga” (1991) o mongolskiej rodzinie na bezkresnym stepie. Tutaj Maksimow odwołał się nawet mimochodem do ideologów eurazjatyizmu lat 20. XX wieku na emigracji, szczególnie Nikołaja Ustriałowa, mimo że „ten niestety źle skończył” (rozstrzelano go NKWD w 1937 r., dwa lata po powrocie).

Nie trzeba jednak wiązać podobnych orientalnych urojeń Maksimowa np. ze „Scytami” Aleksandra Błoka, bo on nigdy Europie dzidami azjatyckimi nie groził. Uwielbiał za to do końca „Trzech muszkieterów” Dumasa ojca, twierdząc, że tam właśnie zostały postawione, a nawet i rozwiązane zagadki bytu i historii. A według mnie miał w sobie coś z rycerskiego Ato-sa, też skądinąd solidnie pijącego, mimo że sam Maksimow z rodziny arystokratycznej bynajmniej nie pochodził.

W grudniu 1994 r., w wywiadzie dla „Prawdy” zatytułowanym „Ból duszy mojej – Rosja”, Maksimow, tu już bardzo niefortunnie, perorował: „Spotkałem niedawno znajomego. Mówi do mnie: »Stary, nie martw się. Prowincja się odradza. Cerkwie malują«. Pomyślałem sobie: »Gdy wy malujecie cerkwie, to oni – samoloty bojowe. A przecież na nich nikt chyba nie napada – ani na Amerykę, ani na Anglię czy Francję. To przeciwko komu szukają te samoloty? Czyżby przeciwko sobie samym?“.

Czy wolno jednak dopatrywać się – dziś szczególnie – w podobnych „maksymach” Maksimowa usprawiedliwiania a priori aktualnej „prewencyjnej wojny” Rosji przeciwko Ukrainie? A zarazem widzieć w nich antycypację ciężającej politycznie i ekonomicznie ku dalekiej Azji Rosji Putina, który późnego Maksimowa tylko dlatego nie cytuję, że go nie zna?

Moim zdaniem absolutnie nie! Owa „Urga” to tylko powrót wilka do lasu, powtórne zanurzenie Maksimowa w bezkresach azjatyckiego Południa i Północy. Wypowiadał oczywiście frazy, które dziś byłyby szczególnie modne, typu – tak jak Aleksander Zinowiew – „celowali w komunizm, a trafili w Rosję”, tyle że on to rozumiał w duchu swego tekstu z 31 grudnia 1992 r. z „Komsomolskiej Prawdy”: „Walczyłem z komunizmem, ale nie z Rosją”. Tak samo zresztą pisał w owym czasie Gustaw Herling-Grudziński.

Nie ma za to wiele wspólnego z samym Maksimowem nostalgiczny tytuł, jaki nadali książce złożonej z jego późnych tekstów moskiewscy, neoimperjalni już wydawcy w Rosji putinowskiej: „Deprawacja wielkiego imperium” (2010). Znaczenie bardziej adekwatnie brzmi za to tytuł wcześniejszej publikacji podobnych tekstów Maksimowa – „Samozagłada. Publicysta późnych lat” (1995). Tym bardziej że rok wcześniej ukazała się jego ostatnia po-

wieść – najmroczniejsze z mrocznych „Koczowanie ku śmierci”.

Na końcowym etapie swego 64-letniego z kawałkiem życiowego maratonu Maksimow przeżył naprawdę straszną samotność, bo już nawet „Kontinient”, który oddał do Moskwy, nie chciał mu politycznej publicystyki drukować. Jedynie w numerze 80. już w schyłkowym 1994 r. zamieszczonego listu do redakcji, gdzie bronił trzeciej drogi ekonomicznej dla Rosji, mimo że kiedyś tak odżegnywał się od przymierza socjalizmu z chrześcijaństwem.

Na spotkaniu w TV Ostankino przypominał pozytywnie polityczną (narodnicką) „teorię małych kroków”, podając jako przykład myszkę z tatarskiej bajki. Wpadła ona, nieszczęsna, do mleka, ale przebieając nożkami, zamieniła je w masło i uratowała swój żywot zwierzątko: „Jednakże jeżdżąc po Rosji – konkludował z właściwym sobie wisielczym humorem – nabrałem wątpliwości, czy aby do mleka wpadliśmy?”.

Porozumiewał się przez całe życie wyłącznie w języku rosyjskim, więc to, że mnie naprawdę – krył tego nie będę – lubił, a czasem i zapraszał do domu na długie rozmowy przy lejącym się strumieniem winie (nawet z telefonem do Londynu, do Bukowskiego, którego „Listy podróżnika rosyjskiego” właśnie przetłumaczyłem), wynikało chyba w pierwszym rzędzie z faktu, iż umiałem z nim rozmawiać po rosyjsku o Rosji. Po 1990 r. szukał podobnych przyjaciół od serca – no i przy wodce – także w Moskwie i pod Tulą, gdzie żyła jego liczna rodzina po linii ojcowskiej.

JAK UMIAŁ, TAK ŻYŁ

„Babcia powiedziała, że masz na twarzy pieczęć samotności i że bardzo potrzebu-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Primo Levi*

Ostjuden**

*Ojcowie nasi tej ziemi,
Kupcy zmysłów rozlicznych,
Cwani mędrcy o licznych potomstwie,
Które Bóg rozsiał po świecie
Jak szalony Ulisses sól w bruzdach:
Znalazłem was wszędzie,
Licznych jak morski piasek,
Was naród o dumnym karku,
Uparte biedne ludzkie nasienie.*

7 lutego 1946



***Primo Levi** – 1919-87, pisarz włoski. W czasie II wojny światowej uczestnik ruchu oporu. Aresztowany w grudniu 1943 r., po kilku tygodniach deportowany do Auschwitz, gdzie był więziony do wyzwolenia obozu w styczniu 1945 r. Doświadczenia te opisał m.in. w autobiograficznych książkach „Czy to jest człowiek” (1947) i „Pogrążeni i ocaleni” (1986, studium postaw w obliczu śmierci i niehumanitarnego traktowania). Zginął, spadając ze schodów w swoim domu; nie jest jasne, czy było to samobójstwo, czy nieszczęśliwy wypadek.
Tekst za: Primo Levi, „Ocalaty. Wybór wierszy / Il superstite. Poesie scelte”, tłumaczenie Jarosław Mikołajewski, Włoski Instytut Kultury w Krakowie, wydawnictwo Austeria, Kraków-Budapeszt 2014.

****W narodowosocjalistycznych Niemczech termin „Ostjuden” oficjalnie oznaczał polskich i rosyjskich Żydów.**



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Grzegorz Przebinda

• ur. w 1959 r., rusycysta i historyk idei, profesor UJ. W zeszłym roku wydał „From Chadayev to Solovoyov. Russian Modern Thinkers Between East and West”, seria „Eastern European Culture, Politics and Societies”, wyd. Irena Grudzińska-Gross, vol. 20, Peter Lang 2022.

• Pod koniec 2023 r. ukaże się w Znaku jego dziennik pierwszego roku wojny Rosji przeciwko Ukrainie – „**Ostatnia wojna Putina. Rozprawa filologa z Rosją**”.



Bar Leon, Gdańsk, ul. Stągiewna 5/1, tel. 721927786, czynne od poniedziałku do czwartku od 13 do północy, w piątki od 13 do 2 w nocy, w soboty od 10 do 2 w nocy, w niedziele od 10 do północy, można płacić kartą, brak toalety dla niepełnosprawnych, ogródek.

PEŁNĄ GĘBĄ

KAPUSTA NA SALONACH

U Leona pokrojona na ósemki została rzucona na gorący ruszt (och!), sparowana z namiętnym sosem z pieczonej papryki i jogurtem. Z głąba wyrosła ostra laska, której nie radzę już lekceważyć

Maciej Nowak

Lgdańskich lwów najbliższy był mi dotąd ten na Zbrojowni. Nad wejściem od ulicy Piwnej widnieją dwa herbowe kociaki nadbałtyckiego grodu, z których jeden między szerego rozstawionymi udami dumnie prezentuje męskie berło w gotowości bojowej. Na ten szczegół (no, bez przesady, że to jakieś maleństwo) nie jest zwykle kierowana uwaga turystek i turystów. Ja jednak mam opinię tak fatalną, że czuję się wręcz w obowiązku poprowadzić państwa wzrok ku temu klejnotowi. Tak, bo w sensie heraldycznym jest to herbowy klejnot, atrybut dzielności i witalności, z którymi to cechami utożsamiał się dawny Gdańsk.

Lwi majestat patronuje nowemu lokalowi na ul. Stągiewnej na wyspie Spichrzów. To bar Leon, bo leon pochodzi od łacińskiego leo, czyli lwa właśnie, którego graficzny wizerunek stanowi logo tego miejsca. Poradziła mi wpaść tutaj Joanna Ogórek, mistrzyni fotografii foodowej z Gdyni. Kocham ją bardzo, ale przyznam, że w pierwszym momencie potraktowałem tę rekomendację z dużą rezerwą. Pchać się w samo centrum turystycznej otchłani? W okolicy, o których ostatnio aż kipiało na profesjonalnych grupach internetowych, bo w jednym z tutejszych lokali sanepid odkrył Pannę Salmonellę, która zepsuła wakacyjny czas sporej grupie konsumentów? Czy chce mi się wstępować do tego piekła, o którym za Dantem należy powtarzać: lasciate ogni speranza, voi ch'entrare? Również pomysł, by odwiedzać knajpę talerzykową, wydał mi się trochę spóźniony. Przecież dopiero co talerzykowaliśmy z zachwytem w Mazi i Noah w Krakowie. Czy może coś konkurować z tamtymi wrażeniami? Otóż okazało się, że może.

Wiele z Leonowych dań znamy już z opisywanych w tym miejscu lokali, jednak o ile

tamte były wspaniałe, te znad Motławy po prostu zatargały mým twardym serduszkiem gurmandzisty. Niby ten sam domowy twarożek labneh, ale jednak gęstszy, większa porcja, podsmażone ćwiartki świeżej figi muśnięte na patelni gorącą oliwą i dużo karmelizowanej cebuli (33 zł). I obfita, bordowa posypka z kwaskowatego sumaka. A jeszcze pani kelnerka przynosi dumnie do stolika chustę serowarską z dużą gomółką labneh, by się pochwalić, jak spływa serwatka. Z kolei w głębokim talerzu

na myśl o tym. Tym razem batat uniknął tego losu i został zbawiony. Alleluja i do pyska! Nadkrojone na księżeczkę dwie bulwy trafiły do pieca, skąd wydano je na stół w sukni z jogurtu, miodu, orzechów i sezamu (36 zł). Do tego burza wstążek z ogórka i dużo, dużo kopru. Z kolei na pięknej żeliwnej patelni objawił się gruby plaster fety w splątanych nitkach ciasta kadayif (33 zł). To znane z tureckich cukierni anielskie włosie z cieniutkiego, chrupiącego makaronu nasyczonego miodem. Słodkie jak cho-

względność, to nie można jej także odmówić sosowi thoum przyrządzanemu ze świeżego czosnku, oliwy, soli, białka jajek i cytryny. Niestety, podano go do pieczonych pseudopyr (26 zł) i tym samym zmarnowano całą potrawę. Takiego faulu się nie spodziewałem.

Chwilę potem na stole zameldowała się misa fasoli z n'duja, czyli kalabryjską kremową kielbasą. Do tego kiszona cytryna i koper, dużo kopru, bo dobry. O Bosh, aż ciarki przechodzą na myśl o tym wędliniarsko-strączkowym cudzie. Znawczy docenią smak i zapach szaszłyczków jagnięco-wołowych w towarzystwie salsy z arbuza (och!) oraz salatkii gavurdagi z drobno pokrojonych pomidorów, ogórków, papryki i orzechów (47 zł). Zakończyłem tę orgię usmażonym na chrupko filetem z dorsza w bukiecie sałaty, mięty i estragonu (49 zł). Było bosko. Amen.

W Leonie szefuje Marek Szalkowski, który jako kucharz debiutował w Kanadzie. Potem rządził w lokalach w Lublinie i na bieszczadzskich poloninach. Przed rokiem wraz z właścicielami Leona wybrał się na wyprawę badawczą po najbardziej hot lokalach Londynu i Paryża. I to stamtąd przywiózł styl, którego twórcą jest pochodzący z Jerozolimy Yotam Ottolenghi. Ten intelektualista i szef kuchni stworzył własną filozofię gotowania i prowadzenia restauracji, bazującą na potencjale kulinarnym Lewantu. I tak naprawdę to szlakiem jego wpływów podróżowaliśmy przez ostatnie tygodnie w „Wolnej Sobocie”. Ottolenghi wraz z mężem, również wybitnym szefem kuchni, napisali kultową książkę kucharską „Jerozolima”. Mają dwójkę dzieci. A jak ujął to legendarny burmistrz Berlina Klaus Wowereit w inauguracyjnym przemówieniu: – Poza tym jestem gejem. I tak też jest dobrze. ●

Pani kelnerka przynosi dumnie do stolika chustę serowarską z dużą gomółką labneh, by się pochwalić, jak spływa serwatka

podano baba ghanoush (34 zł). Klasyczna pasta z bakłażana była jeszcze lepsza niż zwykle, a przy tym – tak jak inne dania – podana w ogromnej porcji. Wyczuwało się cząstki i włókna tego cudnego warzywa, co nadzwyczaj lubię. Bo w ustach musi się przecież coś przeżyć. Wtedy podano kawałki pora z rusztu ozdobione liśćmi bazylii, usmażonymi w głębokim tłuszczu. Na tle intensywniej zieleni wyraźnie rysuje się miasterna sieć unerwień. I piękne to, i intrygujące smakowo.

Kolejny punkt programu zmienił moje poglądy na bataty. Nie przepadam za nimi, bo w polskich knajpach występują ostatnio głównie w banalnej formie frytek. Generalnie, jak kucharz nie ma pomysłu, rozgrzewa olej i ładuje węń, co się da. Mdli mnie

lera, ale w namiętnym kontredansie z kwaskowatą fetą potrafi zawrócić w głowie. Czego i ja doświadczyłem.

Jeśli myślicie, że osiągnęliśmy już szczyt tutejszych doznań, to nie zapominajcie, że najmodniejsze współczesne restauracje zawsze dysponują magiczną bronią, jaką jest kapusta. W ostatnich latach wychodzi z cienia i z zahukanej prowincjuszki przeistacza w gwiazdę salonów. U Leona pokrojona na ósemki została rzucona na gorący ruszt (och!), sparowana z namiętnym sosem z pieczonej papryki i jogurtem (38 zł). Z głąba wyrosła ostra laska, której nie radzę już lekceważyć. Zawsze na pomoc może się stawić jej bezwzględna siostra Mademoiselle Kimchi. A ta już nie ma żadnych hamulców. Jeśli chodzi o bez-

weekendówka

65



Autorem wielu haseł jest **Piotr Gumulec**

LEWE, LEWE, LOFF

Ludwig van Beethoven, Jimmy Hendrix, Paul McCartney, Bob Dylan, David Bowie, George Michael, Sting, Michał Anioł Buonarroti, Leonardo da Vinci, Peter Paul Rubens, Rafael Santi, Henri de Toulouse-Lautrec. Albert Einstein, Friedrich Nietzsche. Aleksander Wielki, Juliusz Cezar, Napoleon Bonaparte, Winston Churchill, Benjamin Franklin, Barack Obama. Pelé, Diego Maradona, John McEnroe, Martina Navrátilová. Charlie Chaplin, Greta Garbo, Marilyn Monroe, Tom Cruise, Nicole Kidman, Robert de Niro, Whoopi Goldberg, Kim Basinger, Bruce Willis, Julia Roberts. Maria Curie-Skłodowska, Emilia Krakowska, Krzysztof Penderecki, Andrzej Wajda, Jerzy Pilch, Ewa Gawryluk, Andrzej Mleczko.

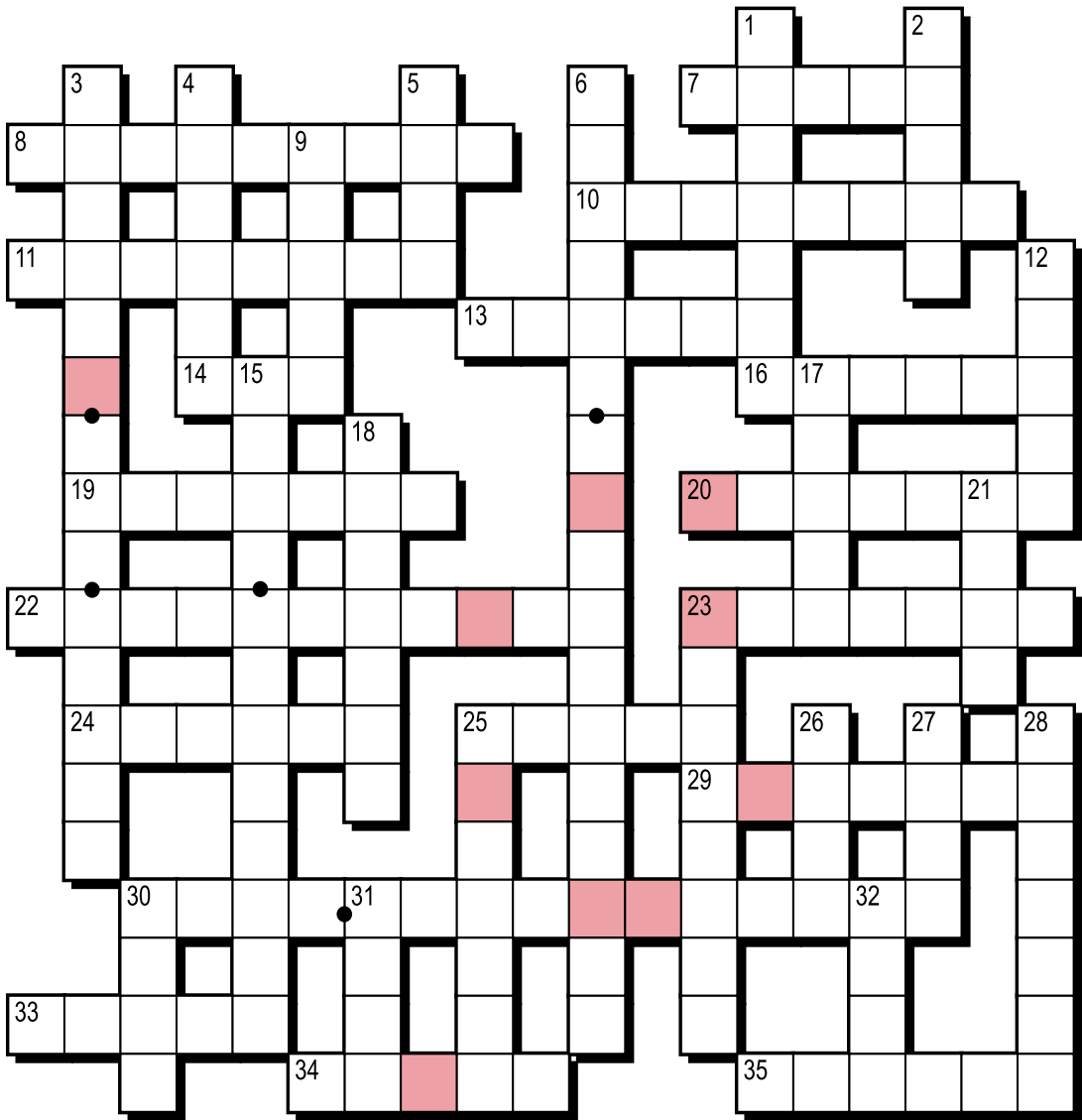
Niezły Dream Team, prawda? Otóż zebrali się tu nieprzypadkowo. Co ich łączy? Leworęczność.

Dlatego dzisiejsza „Weekendówka” odbywa się pod hasłem „lewy/lewa/lewa” albowiem 13 sierpnia obchodzony jest Międzynarodowy Dzień Osób Leworęcznych. Święto organizowane jest od 1992 roku przez międzynarodową organizację Klub Leworęcznych.

Wszystko zainicjował Dean Robert Campbell, kapitan armii Stanów Zjednoczonych, który chciał zwrócić uwagę na niedogodności, jakie dotyczyły takie osoby: chociażby podczas nauki w szkole (trudności np. przy nauce pisania czy korzystania z nożyczek), a także w pracy – wiele maszyn i sprzętów konstruowanych jest z przeznaczeniem dla praworęcznych. Ale Campbell podkreślał też zalety leworęcznych – dziś wiadomo, że ponieważ leworęczność jest dla mózgu człowieka większym wysiłkiem niż praworęczność, to wpływa na jego sprawność. Leworęczni, którzy stanowią ok. 10 proc. ludzkości, są więc bardziej kreatywni i pomysłowi.

O pomoc przy układaniu „lewych” haseł – ale nie „na lewo”! – poprosiliśmy Piotra „Gumę” Gumulca, artystę estradowego, komika, tekściarza, konferansjera, lidera kabaretu Chyba, który rozśmiesza nas też w kabarecie Spółka z o.o. Milego zatem! ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl



- Rozwiązanie „Weekendówki” nr 64 z 5.08:**
- Poziomo:**
5) Kasprzak
7) Myszka Miki
10) finały 11) Grand Prix 12) Szczakiel
15) Janowski
17) orbita 19) wiraż
21) Stal 22) Unia
23) tor 25) traktor
26) memoriał
27) Huszcza
28) Ekstraliga
33) speedway
36) szlaka
37) Arena 38) plac
39) Rune 40) zrywki
- Pionowo:**
1) Byki 2) kary
3) kibice 4) biegi
5) Kapała 6) stadion
8) Zmarzlik 9) kros
12) sport 13) klasyfikacja 14) Lublin
15) Janusz
16) kartony
18) mistrz
20) żwir 24) remis
27) Hampel 29) kurz
30) Tomasz 31) owal
32) wyścig 33) Start
34) Elana 35) Kask.
- HASŁO:**
OSTRA WALKA

WYJAŚNIENIE OD REDAKCJI

Oczywiście wszyscy Państwo się błyskawicznie zorientowali, czego dowodem były liczne maile od Was – w ostatnim wydaniu „Weekendówki” („Gazeta Wyborcza” 5-6 sierpnia) wydrukowaliśmy zły diagram, dotyczący krzyżówki z poprzedniego numeru („GW” 29-30 lipca). Hasła do żużlowej „Weekendówki” żadną miarą nie mogły pasować do diagramu dotyczącego krzyżówki z okazji rocznicy konkursu Miss World.

Wszystkich Państwa najserdeczniej za ten błąd przepraszamy, a ja jednocześnie bardzo dziękuję za Państwa wiadomości i telefony – bo znaczy to też, że „Weekendówkę” lubicie, nie lubicie zaś, jeśli jest z nią coś nie tak.

Raz jeszcze najmocniej za błędny diagram przepraszamy i zapewniamy, że dolożymy wszelkich starań, by błędy wyeliminować.

- LEWA**

Hasła Piotra Gumulca oznaczono inicjałami (P.G.).
Litera w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
7) ... praca (nielegalna, na czarno)
8) Lewy na boisku
10) tam potakują, kręcąc głową od lewa do prawa (P.G.)
11) żeby spojrzeć, co za nim, patrzy w lewe lustro (P.G.)
13) Gdy widać metkę, to bluzka na lewej... (mianownik) (P.G.)
- 14)** ... żużlowy (kojarzy się z jazdą wyłącznie w lewo)
16) leworęczny
19) zlewnia względem lewizny
20) lewy bliskie brydżystom
22) albo na lewo, albo na prawo
23) lewa ... mózgu, ogarnia analizowanie, mówienie, pisanie, myślenie logiczne
24) imię w tytule piosenki „Panie ... pan się nie boi, czyli lewy czerwcowy” (wpisujemy w mianownik)
25) lewy – to sprzęto
29) Na lewo – patrz, albo miejsce, gdzie strzela się granatnikiem (P.G.)
30) w Anglii jest obowiązkowy dla każdego
33) szybka ... lewą stroną boiska, dośrodkowanie i – gol!
34) wykonawczyni piosenki „Prawy do lewego”
35) może płynąć lewym halssem

Pionowo:
1) „Prawy do lewego, lewy do prawego”, był nadawany w kanałach Polsatu
2) wykonawca piosenki „Lewe lewe loff”

- 3)** odtwórca głównej roli w filmie „Moja lewa stopa”
4) znak drogowy A2: niebezpieczny ... w lewo
5) przestarzałe: lewa strona tkaniny
6) wielki Lewy
9) lewy – rozprowadzany przez pasera
12) lewy bliskie brydżystom; sztychy
15) autorka powieści „Dwie lewe ręce” (inicjały: O.R.)
17) „... ognisty – mój ... lewy poruszył dawną miłości strunę” (w wierszu Juliusza Słowackiego)
18) w lewej ręce trzymam jabłko,
- w prawej także trzymam jabłko – ile mam jabłek?
21) zespół śpiewający: „Moje ciało murem podzielone, dziesięć palców na lewą stronę...”
23) lewy obrońca i lewy pomocnik
25) nie wie lewica, co czyni ... (przystowie)
26) np. wstanie lewą nogą jako oznaka nadchodzącego pecha
27) imienniczki Lewej
28) lewy, czyli dochód z pracy na czarno
30) można mieć dwie lewe
31) kombinator łąpie tą ręką za prawe ucho (P.G.)

Byle do

weekendówka

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!





KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ